

Ulysses Moore

Labirynt cienia

Rozdział 1

TRZEJ SZPIEDZY

Leniwe słońce późnego popołudnia zalewało różnokolorowe dachy przedmieścia Kilmore Cove swoim złotym ciepłym światłem. Zaledwie kilka kroków od małego portu nad zatoką, między domami starego miasteczka, cień stawał się głębszy, a we wszystkich położonych na uboczu zaułkach panowała niemal absolutna cisza.

We wszystkich z wyjątkiem jednego.

Trzej kuzyni Flintowie przywarli plecami do muru jednego z domów. Oddychali łapczywie, czerwoni na twarzy, z otwartymi ustami, próbując wciągnąć jak najwięcej powietrza do płuc, które aż paliły z wysiłku.

- Widzieliście go? - zapytał jako pierwszy wielki Flint, który wyglądał na najbardziej zmęczonego i wystraszonego z całej trójki.

Mały Flint, mózg bandy, dał mu znak ręką, żeby jeszcze chwilę zaczekał (musiał złapać oddech) i oparł się o ramię średniego Flinta, zgiętego w pół ze zmęczenia.

- Widzieliście go, czy nie? - nalegał wielki Flint, rzucając niespokojne spojrzenia na róg uliczki zza którego nadbiegli, jakby w obawie, że lada chwila pojawi się tam to „coś”, przed czym umykali co sił w nogach.

- A co, myślisz... że nie widzieliśmy go? - zdołał w końcu wykrztusić mały Flint.

- Właśnie. Myślisz, że nie? - powtórzył jak echo średni Flint, który zawsze powtarzał wszystko, co mówił mały Flint.

- Jasne, że widzieliśmy go - potwierdził zdecydowanie mały Flint. - W przeciwnym razie byśmy nie uciekali. A przynajmniej nie tak szybko.

- Właśnie. Nie tak szybko.

Wielki Flint obsunął się na ziemię. Zwalił się, pozostawiając na murze ogromną mokrą plamę od potu, jak jakiś ślad po potężnym ślimaku. Złapał się obiema rękami za głowę i płaczącym głosem zapytał: - Czy można wiedzieć, co to było?

- Nie wiem - odezwał się mały Flint.

- Skąd mamy wiedzieć? - dodał średni Flint. - Uciekliśmy, nawet się nie oglądając!

- Ja nie uciekłem - uściślił mały Flint. - To wy uciekliście, a ja po prostu nie chciałem zostawiać was samych!

Wielki Flint uniósł swoją wielką głowę. Przed chwilą tak ją ścisnął, że teraz miał na twarzy dziesięć czerwonych plamek od opuszków palców. - Co takiego? Ty pierwszy uciekłeś!

- Nieprawda.

- Oczywiście, że prawda! - upierał się wielki Flint. - Widziałem cię... mało... poczułem, jak wyskoczyłeś obok mnie jak z procy i nic nie pojmowałem, tylko powiedziałem sobie: „Skoro ucieka on, ucieknę i ja!” Wiem tylko tyle, że sekundę wcześniej śledziliśmy tę dziewczynę...

- Ta dziewczyna ma imię, nazywa się Julia - poprawił go mały Flint. - Julia Covenant.

- Właśnie... a tobie, w głębi duszy, ona się podoba, może nie? - odezwał się Flint średni ze złośliwym uśmiechem.

Na twarzy okolonej kędziorami rozlał się potężny rumieniec nie mający nic wspólnego z szaleńczym biegiem.

- A co to ma do rzeczy? - zapytał mały Flint.
- Słyszałeś, kuzynie? Nie zaprzeczył!
- Słyszałem. Nie zaprzeczył.
- To mało ważne! - wrzasnął zirytowany mały Flint. - Ważne jest to, że śledzimy Julię Covenant...
- Posłuchaj, jak on to wymawia: Julia Covenant...
- O rany, aleś ty wstrętny, kuzynie!

Zaczęli się poszturchiwać, kopać i w jednej chwili trójka łobuziaków tarzała się po ziemi.

- Julia!
- Aha!
- Zostaw mnie! Zgnieciesz mi ramię!

Nagle mały Flint złapał obu kuzynów za włosy niczym za lejce w dorożce. - Przestańcie, natychmiast! - warknął.

- Ja przestanę! Przestanę!
- Dobrze, ja też, powiedz mu tylko, żeby puścił moje ucho!

Nastąpiło szybkie zawieszenie broni. Kuzyni siedli

na ziemi jeden obok drugiego i obrzucali się podejrzliwymi spojrzeniami. Wielki Flint masował sobie skórę pod czupryną. Średni sprawdzał, czy oboje uszu ma jeszcze na swoim miejscu. Mały, wściekły, spoglądał na nich z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Biała mewa poszybowała nad ich głowami, z przenikliwym piskiem kierując się w stronę wzgórz.

- Mówiliśmy... - wysapał mały Flint - że w najlepszym momencie tropienia, kiedy właśnie mieliśmy schwytać Jul... ją schwytać...

Dwaj pozostali wstrzymali oddech.

- .. wyrósł przed nami rodzaj... potwora.
- Właśnie. Pojawił się znikąd - przytaknął z przekonaniem średni Flint.
- Ja go nawet nie widziałem, tego potwora, o którym mówicie - dodał wielki Flint. -

Byłem trochę z tyłu.

- No nie mogę! Ty nałany tłściochu! - zadrwił z niego średni Flint.
- A ty suchy chudzielcu!
- CICHU! - wrzasnął mały Flint. - Cicho, przekłęci, nic z tego nie rozumiem.
- Jeśli o to chodzi, to ja nigdy nic nie rozu... - zaczął mówić wielki Flint, ale spojrzenia dwóch pozostałych kazały mu przełknąć koniec zdania.

Mały Flint spojrzął na kuzyna średniego. - Może chociaż ty go widziałeś?

Ten rozmasował sobie bolące ramię, zerknął na stłuczony łokieć i odparł: - Tak. Chyba tak.

- I jak wyglądał?
- To był potwór.
- No właśnie - przytaknął mały Flint. - Potwór. Ja też tak pomyślałem. Ale pamiętasz, jaki był?

- Nie był szczególnie wysoki.
- Nie, rzeczywiście. Powiedziałbym... mniej więcej jak my.
- Jak ja czy jak on?
- No, tak pośrodku. Ale czymś naprawdę przerażającym była twarz.
- Właśnie. Twarz.
- Była... sam nie wiem... monstrualna.
- Jak to „monstrualna”? - wtrącił się wielki Flint, który do tej pory siedział cicho, przysłuchując się.

Mały Flint przysunął sobie rękę do nosa i zrobił gest jakby go chciał wydłużyć, zamieniając w bardzo długi dziób. - Była... jak u czarnego kruka. Mężczyzna z głową czarnego kruka.

- Ale numer - szepnął wielki Flint, czując dreszcz przebiegający mu po krzyżu.
- I co tu robił?
- Tego nie wiemy, uciekliśmy.
- Właśnie, a jak się dowiemy? - zapytał średni Flint.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Nasi szefowie wymagali od nas, żeby pilnować Covenantów - odezwał się nagle zamyślony mały Flint. -1 odkryć, co kombinują. Może także ten „człowiek ptak” jest czymś, co powinniśmy odkryć.

- Właśnie. Może powinniśmy to odkryć! - zgodził się średni Flint.
- No, to nie powinniśmy uciekać - dorzucił wielki Flint.

Mały Flint rysował jakieś gryzmoły na ziemi.

- Musimy wrócić po własnych śladach. Natychmiast. I odkryć, co się dzieje.
- Może o tej porze potwór poszedł coś zjeść... O rety, już prawie pora kolacji! - zauważył uradowany wielki Flint.

- Może byś się wreszcie zamknął?- skarcił go mały Flint. Potem ze skupioną miną utkwiał wzrok w obu kuzynach. - Podsumujmy - powiedział. - Po pierwsze: dwa typy z super astona martina przewiozły nas pod warunkiem, że będziemy mieć dla nich na oku Covenantów. Po drugie: wczoraj Banner wyszedł z domu o północy i nie wrócił. Po trzecie: też wczoraj, Jason Covenant rzucił nam tę monetę. .. - wyciągnął z kieszeni małą krawkę z połączanego metalu i natychmiast wsunął go z powrotem -... i on także nie wrócił. I w końcu dziś pojawia się w miasteczku potwór z twarzą kruka i idzie na spotkanie z Julią Covenant.

- Dwaj wyjeżdżają, jeden się pojawia - podsumował średni Flint z miną kogoś ważnego, kto wyjaśnia skomplikowaną teorię matematyczną.
- I co z tego?
- Nic. Tak tylko zauważyłem.
- A zatem? - spytał niecierpliwie wielki Flint, który z całej tej historii nie zrozumiał zupełnie nic i myślał jedynie o tym, jakby tu wrzucić coś na ząb.
- A zatem wracamy i próbujemy dociec, gdzie zniknął ten potwór. I co się stało z Julią.
- Właśnie, rzeczywiście, dziewczyna. Myślisz, że...?
- Nie - uciał krótko mały Flint.

Rozdział 2

ZŁOCISTY OLBRZYM

Gigant dotarł do progu drzwi koloru kości słoniowej i jego ciemna sylwetka wypełniła je całe. Był bardzo wysoki. Miał ponad dwa metry.

Rick i-Anita cofnęli się onieśmieleni niepokojącą postacią, która niepowstrzymanie kroczyła przed siebie. Długie cienie nocy otaczały ich jak czarne plamy atramentu. Na zewnątrz tego dziwnego okrągłego budynku, w którym się znajdowali, nieustający szum deszczu i grzmoty burzy, głucho i groźnie, wznosiły jeszcze ich strach.

Mężczyzna chwiejąc się, przystanął na progu Wrót Czasu w Arkadii.

I pozostał tam, rozglądając się dokoła...

Potem wyciągnął pomalutką rękę przed siebie jakby przecierał powierzchnię jakiegoś niewidzialnego lustra i w powietrzu, przy akompaniamencie cichego skwierczenia, pojawił się złocisty tańczący pyłek.

Anita uprzytomniła sobie, że wstrzymuje oddech. Zrobiła więc wydech i wraz z powietrzem próbowała wyrzucić z siebie niepokoje i zmartwienia gromadzone aż do tej chwili. Wszystko wydarzyło się tak szybko! Ostatnia, ta kobieta, która ich przyprowadziła do tego pomieszczenia, znikła. To ona wręczyła Anicie klucz z główką w kształcie kruka i zachęciła

ją do otwarcia drzwi koloru kości słoniowej. Potem Jason przekroczył ich próg. Anita trzymała go za rękę, podczas gdy on posuwał się w głąb po omacku, w ciemności, a potem... potem puściła jego palce na sekundę przedtem, zanim drzwi z trzaskiem się zamknęły. I kiedy ona z Rickiem znowu je otworzyli, Jasona po drugiej stronie już nie było, a na jego miejscu pojawił się ten gigant, olbrzym.

Kimkolwiek był, w gruncie rzeczy, przyjrzawszy mu się uważnie, nie wydawał się groźny. Był ubrany jak starożytny Grek: krótka spódniczka, płaskie skórzane sandały, róg przewieszony przez ramię, naddarta sakwa i krótki miecz za pasem. Jego czaszka lśniła jak lustro, miał wąskie barki i chude ramiona.

Na palcach lśniło kilka pierścieni.

Nagle przestał poruszać rękami w powietrzu. - Ja was widzę, a wy, czy mnie widzicie?

Mówię do was dwojga, tam w głębi sali, wiem, gdzie stoicie!

Jego głos był ciepły i głęboki i miał dziwną intonację, jakby olbrzym recytował wyliczankę.

Anita cofnęła się głębiej w cień, mając nadzieję, że mężczyzna nie zdoła jej zobaczyć. Ale on ciągnął: - Dziewczynka na ciemno ubrana i przez rudzielca w pasie trzymana.

Potem pochylił głowę jakby chciał przejść pod belką nad drzwiami. Ale pozostał nadal w progu, przyglądając się im z wielkim zaciekawieniem.

Rick zadrżał. Opuścił ramię, którym niemal bezwiednie objął Anitę i wysunął się o krok do przodu.

Anita spróbowała go zatrzymać, ale Rick dał jej oczami znak, że chciałby porozmawiać z nieznajomym.

Zrobił następny krok w stronę otwartych drzwi. - Kim jesteś? - spytał, próbując zapanować nad głosem, żeby ukryć drżenie.

- Ach, więc posiadasz dar głosu, mały człowieku rudowłosa.

Rick odebrał te słowa z pewną przykrością, ale posunął się jeszcze trochę do przodu.

- Nie ma potrzeby, żebyś w ten sposób do mnie przemawiał - powiedział.

- Co ci przeszkadza? - spytał zdziwiony olbrzym. - To, co mówię, czy też to, że rymy sadzę?

- Rymy - odpowiedział Rick. Zawsze nienawidziłem rymów.

Mężczyzna się uśmiechnął i wziął się pod boki. Deszcz na dworze zamienił się w ulewę.

- Ale mi jeszcze nie powiedziałaś, kim jesteś... - nalegał Rick, nie przestając posuwać się ostrożnie do przodu - ani dokąd poszedł Jason.

- Jason? Kim jest Jason?

Wtedy Anita, ukryta w cieniu i stojąca za plecami przyjaciela, już nie wytrzymała. - Właśnie wszedł przez te drzwi! Nie mogłeś go nie zobaczyć! - wykrzyknęła z rozpaczą w głosie.

- Także i dziewczę może gniewać się może! - wykrzyknął gigant i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Jason to nasz przyjaciel - wyjaśnił Rick, wskazując drzwi. - Dopiero co tam wszedł... gdzie teraz stoisz ty.

- Ach, ten chłopiec, jasne! Jest tu, za mną, na ścieżce ciasnej.

- Z łaski swojej... - zadrżał się Rick, coraz bardziej rozzłoszczony na te rymowanki.

- Z łaski swojej, z prośby twojej?

- Skończ z tymi rymami! - zawołała też Anita.

- Ale czyż nie jesteście dziećmi? - zaprotestował olbrzym. - Wiem przecie, że jeśli się je lula rymem, zabawą, wesołą zagadką, zawsze będą tęsknić za twą śmieszną gadką.

- Nie jesteśmy dziećmi - wycodził Rick, siłąc się na spokój.

- Rymy - odpowiedział Rick. Zawsze nienawidziłem rymów.

Mężczyzna się uśmiechnął i wziął się pod boki. Deszcz na dworze zamienił się w ulewę.

- Ale mi jeszcze nie powiedziałaś, kim jesteś... - nalegał Rick, nie przestając posuwać się ostrożnie do przodu - ani dokąd poszedł Jason.

- Jason? Kim jest Jason?

Wtedy Anita, ukryta w cieniu i stojąca za plecami przyjaciela, już nie wytrzymała. - Właśnie wszedł przez te drzwi! Nie mogłeś go nie zobaczyć! - wykrzyknęła z rozpaczą w głosie.

- Także i dziewczę hoże gniewać się może! - wykrzyknął gigant i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Jason to nasz przyjaciel - wyjaśnił Rick, wskazując drzwi. - Dopiero co tam wszedł... gdzie teraz stoisz ty.

- Ach, ten chłopiec, jasne! Jest tu, za mną, na ścieżce ciasnej.

- Z łaski swojej... - zatrząsł się Rick, coraz bardziej rozzłoszczony na te rymowanki.

- Z łaski swojej, z prośby twojej?

- Skończ z tymi rymami! - zawołała też Anita.

- Ale czyż nie jesteście dziećmi? - zaprotestował olbrzym. - Wiem przecie, że jeśli się je lula rymem, zabawą, wesołą zagadką, zawsze będą tęsknić za twą śmieszną gadką.

- Nie jesteśmy dziećmi - wycedził Rick, siłąc się na spokój.

- I zrozumiem, że cokolwiek chcesz nam powiedzieć, twój sposób mówienia jest nie do przyjęcia! Nagle ton głosu i postawa olbrzymia zmieniły się: wydawał się przybity, jakby słowa Ricka głęboko go dotknęły.

- A jednak wiem, że kiedyś się to podobało, w czasach gdy od nas się tego oczekiwało... Nagle w pomieszczeniu rozległ się ogłuszający huk, jakby od uderzenia potężnym młotem w wielką płytę miedzianą. Piorun musiał walnąć gdzieś niedaleko, rozrywając zasłonę deszczu, która spowijała budynek i ruiny Arkadii.

Pierwszy raz Rick skrzyżował swój wzrok z wzrokiem giganta.

Jego oczy były wielkie i złociste, jak oczy kota.

Ale wydawały się też naznaczone cierpieniem i melancholią. Jak oczy kogoś, kto zbyt długo musiał znosić przymusową samotność.

- Ja jestem Rick - przedstawił się olbrzymowi chłopiec. - Rick Banner. Zaczekaj, nie przerywaj mi: nie wiem nadal kim jesteś i co tu robisz, ale mam wrażenie, że nie zamierzasz nas zabić. Dobrze mówię?

Olbrzym miał ochotę odpowiedzieć, po chwili jednak tylko wolno pokiwał głową.

- Czy teraz możesz nam powiedzieć, kim jesteś?

Olbrzym nabrał głęboko powietrza. - Jestem Zefir,

do usług - odpowiedział, pochylając głowę na znak powitania. - Od wielu lat cierpienie znoszę i w ciszy marnieję po trosze. Wołałem i błąkałem się błąkałem się i wołałem.

Szukałem kogoś i w końcu kogoś znalazłem.

- I tym wierszem, mam nadzieję, wyczerpałeś swoje zapasy rymów.

Olbrzym wzruszył ramionami.

- W każdym razie ja jestem Rick, a to jest moja koleżan-ka, Anita. - Obrócił się, by zawołać dziewczynkę.

Anita niepewnie wyszła z cienia, gdy akurat kolejny huk pioruna spowodował, że sala się zatrzęsła.

- Miło mi poznać księżniczkę.

Z wyraźnym wysiłkiem Zefir zdołał powstrzymać się od rymów, którymi miał ochotę uzupełnić słowa powitania.

- Doskonale. Teraz, gdy już się sobie przedstawiliśmy, możemy spróbować zrozumieć, co tu robimy... - zaproponował Rick.

- Dlaczego nie ma Jasona? - spytała natychmiast Anita, zerkając poza drzwi.

Zefir usunął się nieco na bok, żeby umożliwić im lepszy widok, ale wszystko, co dzieci zdołały dostrzec, to był tylko zwiewny złocisty pył wydzielany przez skórę giganta, pył, który pomału zniknął gdzieś w ciemnościach.

- Jason! - zawołała Anita.

- Jest tutaj, przy mnie, księżniczko. I mówi. Mało - nie przestaje mówić ani na chwilę.
- Ale my go ani nie widzimy, ani nie... słyszymy! -zawołał Rick.
- Wasz przyjaciel - powiedział Zefir - zaprasza was, byście przyszli do niego.

Gigant mówił teraz wolniej, siląc się, by mówić normalnie, unikając rymowania.

- A nie możecie to wy dwaj wyjść do nas? - spytała Anita?
- O, nie - uśmiechnął się Zefir, poruszając znowu przed sobą rękami w powietrzu. - Widzicie? Jak się raz wejdzie, to już nie można wyjść.

Anita z Rickiem wytrzeszczyli oczy.

- Co to znaczy, że nie da się wyjść?
- Znaczy, że nikt, kto jest już po tej stronie, nie może ponownie przekroczyć progu.
- Dlaczego?
- Nie znam odpowiedzi, młody przyjacielu.

Rick zacisnął pięści. On znał na to odpowiedź: stało się tak dlatego, że puścili rękę Jasona, kiedy drzwi się nagle zatrzasnęły. I dlatego, że te drzwi to były drzwi niedokończone. Tędy weszła większa część mieszkańców Arkadii bez możliwości wyjścia.

- Okłamujesz nas! - zawołała Anita.
- A czemu miałbym to robić, księżniczko?
- Jason! - zawołała dziewczynka, wychylając się przez próg. - Jason! Słyszysz mnie? Rick podtrzymał ją, żeby się mogła mocniej przechylić.

- Na próżno się wysilasz, księżniczko. Nie może was usłyszeć, podobnie jak wy, nie słyszycie jego. Ale, jeżeli chcecie, mogę posłużyć za pośrednika między wami a waszym młodym przyjacielem. Co wy na to?

- Akurat... niby że ty możesz rozmawiać i z nim, i z nami? - spytał podejrzliwie Rick.
- Może dlatego, że... urodziłem się po tej stronie?

Rick nie wiedział zupełnie, co o tym myśleć, ale ta odpowiedź nie była całkiem od rzeczy i mogła mieć swoją logikę.

- Jeżeli mi nie wierzycie, że on tu jest i że ma się dobrze - ciągnął Zefir - zadajcie mi pytanie, na które zna odpowiedź tylko wasz przyjaciel.

Rick błyskawicznie przemyślał sprawę. - Spytaj go, jaki jest jego ulubiony komiks.

Mężczyzna kiwnął głową, obrócił się w stronę ciemności i powtórzył pytanie. Po chwili odwrócił głowę w stronę dzieci i powiedział: - Mówi, że Kapitan Mesmer i że teraz wy musicie zrobić ruch, bo on nie zamierza pozostać tam sam i już dłużej nie chce na was czekać.

Rick przytaknął. - To on. Jason.

Anita poczuła, że serce bije jej szybciej, jak zawsze, kiedy wydarzały się sprawy, których nie potrafiła wyjaśnić. Słowa olbrzyma dźwięczały jej w głowie i powodowały wielki niepokój.

- Wasz przyjaciel nalega - podjął Zefir, wpatrując się w nich swoimi wielkimi złocistymi oczami. - Mówi, że są tu rzeczy, których szukacie. Poprawił się, mówi, że nie wie, czy są, ale jest pewien, że powinny być. - O jakich „rzeczach” mówi? - spytał Rick. Odpowiedź Zefira nie nadeszła natychmiast, ale ich zdecydowanie oświeciła. - O rzeczach, które wam pomogą ocalić Ostatnią i Kraj, który umiera. I wrócić szybko do domu.

miejsce urodzenia: za drzwiami Arkadii, w czasie niemożliwym do określenia

miejsce zamieszkania: na terytorium graniczącym z Labiryntem znaki szczególne: należy do trzeciego pokolenia IV mieszkańców Ziemi Pogranicza, tajemniczych, mrocznych ziem otaczających Labirynt.

Rozdział 3

DROŻDŻÓWKI Z WANILIĄ

- To ten tam, widzisz go? - Julia wskazała motocykl zaparkowany na poboczu drogi wzdłuż morza.

- Nie mogę uwierzyć... - szepnął Tommaso. Poprawił sobie złożony pod pachą płaszcz hrabiego Cenere, wenecką maskę konowała i teczkę ze wszystkimi fotografiami Domu Bazgrołów i zastygł w bezruchu. - Kurczę, więc to jest Ulysses Moore!

- Ciii! - uciszyła go Julia. - Oszalałeś?

Dziewczynka rozejrzała się dokoła nerwowo, ale na szczęście nie było nikogo, kto mógłby ich usłyszeć.

- Nie możesz go tak nazywać!

- Wybacz, ale po przeczytaniu wszystkich jego książek...

to dosyć emocjonujące dla mnie znaleźć się kilka kroków od jego legendarnego motoru.

- Ach, o to ci chodzi - powiedziała Julia przez zaciśnięte zęby. - To prawdziwe stare żelastwo.

- Ja bym dał nie wiem co, żeby się przejechać na tym „starym żelastwie”.

Julia czuła narastającą złość. Wiedziała od Anity, że istnieją jakieś książki napisane przez Ulyssesa Moore'a, w których jest mowa o Kilmore Cove, o kluczach do Wrót Czasu, o niej i o jej bracie, ale wydawała się jej odrażająca myśl, że ktoś w ten sposób plotkuje o ich życiu.

Westchnęła zrezygnowana i mimo wszystko wzięła Tom-masa na bok i wyjaśniła mu cierpliwie, że nigdy nie powinien wymawiać tego nazwiska w Kilmore Cove. - Nikt tego nie wie. To sekret.

Chłopiec z Wenecji wyglądał na speszzonego. - Dobrze. Obiecuję. Jak mam o nim mówić?

Julię nieco bawiło jego zażenowanie. Tommaso pojawił się dwadzieścia minut wcześniej na drodze przylegającej do plaży, miał na sobie długi czarny płaszcz i maskę z ptasim dziobem należące do hrabiego Cenere w Wenecji w 1751 roku. Przedstawił się z pewną dozą zuchwałości, wyznał Julii, że ją sobie wyobrażał mniejszą i ujawnił jej rewelację, że odkrył, jak budowano Wrota Czasu.

Julia postanowiła nie zadawać mu zbyt wielu pytań i zabrała go ze sobą na umówione miejsce spotkania z Nestorem.

Także ona trzymała coś bardzo specjalnego pod pachą: oprawioną książeczkę, rodzaj ilustrowanego cienkiego zeszytu, o wiele mniejszego od teki Tommasa z fotografiami, ale wcale nie mniej ważnego.

- Nazywaj go tak, jak tutaj wszyscy: Nestor. - Julia ściszyła głos i ciągnęła: - I masz mu mówić na „ty”, inaczej czuje się stary. To inne nazwisko wymaż z pamięci. Nie żyje, nie istnieje.

Tommi patrzył na nią speszony. - Ale wobec tego, dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego książki z Kilmore Cove są podpisane nazwiskiem Ulyssesa Moore'a?

- A skąd mam wiedzieć? Poza tym, nie wydaje mi się, żeby to był właściwy moment, by się nad tym zastanawiać.

- Zgoda, tylko że...

Tommaso spoglądał na ulicę, która biegła wzdłuż plaży aż do małego portu i jeszcze dalej. Zawahał się chwilę, czy ma kontynuować.

- Mnie się to wszystko wydaje absurdalne. Znaczący, czytałem - mało! - połknąłem wprost jego książki. I nigdy nawet nie śniłem, że mógłbym go spotkać w rzeczywistości. Zawsze myślałem o nim jak o bohaterze powieści. Nie jak o człowieku z krwi i kości.

- Który prowadzi na dodatek zdezelowany motocykl - dorzuciła Julia.

- Który prowadzi legendarny zdezelowany motocykl - poprawił ją Tommaso Ranieri Strambi z lekkim uśmiechem.

- To Tommaso, Nestorze.

Ogrodnik z Willi Argo rzucił chłopcu krzywe spojrzenie, ponieważ nie rozumiał, dlaczego Julia mu go przedstawia. Wrócił właśnie z latarni Leonarda Minaxo, gdzie próbował, z miernym skutkiem, połączyć się z latarnikiem i jego żoną Kalipso, którzy na swojej łodzi popłynęli nie wiadomo, dokąd. Nestor miał tylko nadzieję, że nie wpadli na trop konstruktorów drzwi.

- To przyjaciel Anity - dodała Julia, zauważając wzburzenie Nestora.

Krzywe spojrzenie Ulyssesa Moore'a stało się jeszcze bardziej krzywe. A broda zaczęła mu drżeć.

- Przybył dopiero co z Wenecji - zakończyła Julia. - Z tej Wenecji - podkreśliła.

- A dokładnie, o jakiej Wenecji myślisz? - warknął stary wilk morski.

- Wszedłem przed chwilą z Domu Luster, proszę pana - powiedział Tommaso jednym tchem. - I bardzo się cieszę, że nie został całkiem zburzony.

Nestor oparł sobie wolno kask o kolana.

Podmuch wiatru zwichrzył mu białe włosy; ogrodnik poruszył nerwowo potarganą bródką.

Nie odezwał się. Stał w milczeniu, obserwując morze.

- Drzwi były otwarte - ciągnął Tommaso. - Ja mieszkam w Wenecji. Znaczy, teraz. Nie pochodzę z... 1751 roku, jak pańska żona, proszę pana. To znaczy żona pana Moore'a, proszę pana.

W tym momencie Julia położyła rękę na ramieniu chłopca. - Może lepiej, jeśli pozwolisz, że ja powiem...

- Nie, pozwól mu mówić, Julio. - Nestor pochylił się nad kierownicą swojego motoru i odezwał do Tommasa: - Zatem mieszkasz w Wenecji dzisiejszej, jeśli dobrze zrozumiałem. To jak, u licha, zdołałeś tu dotrzeć?

- Najpierw znalazłem calle dell'Amor degli Amici, gdzie znajdują się Wrota Czasu Petera Dedalusa. To mi zajęło sporo czasu, muszę dodać, ale... sądziłem, że ten zaułek tak naprawdę nie istnieje, że jest wymyślony. W każdym razie w końcu go znalazłem. Myślałem, że może dlatego mi się to udało, że płynąłem gondolą pańskiego przyjaciela Petera, tą, która występuje w książce „Wyspa masek”, wie pan? Stała od strony Arsenału. Ktoś sprawił, że na mojej drodze pojawiły się małpy, kiedy uciekałem od Podpalacza, który mnie porwał...

Nestor zaczął bębnić nerwowo palcami o kask, tak silnie, jakby zamierzał go rozbić. Potem rozejrzał się. W tej właśnie chwili z cukierni Chubbera rozszedł się cudowny zapach wyjętych z pieca świeżych drożdżówek.

To było coś więcej niż delikatna sugestia.

To było wręcz zaproszenie.

- Drzwi były otwarte - ciągnął Tommaso. - Ja mieszkam w Wenecji. Znaczy, teraz. Nie pochodzę z... 1751 roku, jak pańska żona, proszę pana. To znaczy żona pana Moore'a, proszę pana.

W tym momencie Julia położyła rękę na ramieniu chłopca. - Może lepiej, jeśli pozwolisz, że ja powiem...

- Nie, pozwól mu mówić, Julio. - Nestor pochylił się nad kierownicą swojego motoru i odezwał do Tommasa: - Zatem mieszkasz w Wenecji dzisiejszej, jeśli dobrze zrozumiałem. To jak, u licha, zdołałeś tu dotrzeć?

- Najpierw znalazłem calle dell'Amor degli Amici, gdzie znajdują się Wrota Czasu Petera Dedalusa. To mi zajęło sporo czasu, muszę dodać, ale... sądziłem, że ten zaułek tak naprawdę nie istnieje, że jest wymyślony. W każdym razie w końcu go znalazłem. Myślałem, że może dlatego mi się to udało, że płynąłem gondolą pańskiego przyjaciela Petera, tą, która występuje w książce „Wyspa masek”, wie pan? Stała od strony Arsenału. Ktoś sprawił, że na mojej drodze pojawiły się małpy, kiedy uciekałem od Podpalacza, który mnie porwał...

Nestor zaczął bębnić nerwowo palcami o kask, tak silnie, jakby zamierzał go rozbić. Potem rozejrzał się. W tej właśnie chwili z cukierni Chubbera rozszedł się cudowny zapach wyjętych z pieca świeżych drożdżówek.

To było coś więcej niż delikatna sugestia.

To było wręcz zaproszenie.

- Drzwi były otwarte - ciągnął Tommaso. - Ja mieszkam w Wenecji. Znaczy, teraz. Nie pochodzę z... 1751 roku, jak pańska żona, proszę pana. To znaczy żona pana Moore'a, proszę pana.

W tym momencie Julia położyła rękę na ramieniu chłopca. - Może lepiej, jeśli pozwolisz, że ja powiem...

- Nie, pozwól mu mówić, Julio. - Nestor pochylił się nad kierownicą swojego motoru i odezwał do Tommasa: - Zatem mieszkasz w Wenecji dzisiejszej, jeśli dobrze zrozumiałem.

To jak, u licha, zdołałeś tu dotrzeć?

- Najpierw znalazłem calle dell'Amor degli Amici, gdzie znajdują się Wrota Czasu Petera Dedalusa. To mi zajęło sporo czasu, muszę dodać, ale... sądziłem, że ten zaułek tak naprawdę nie istnieje, że jest wymyślony. W każdym razie w końcu go znalazłem. Myślałem, że może dlatego mi się to udało, że płynąłem gondolą pańskiego przyjaciela Petera, tą, która występuje w książce „Wyspa masek”, wie pan? Stała od strony Arsenału. Ktoś sprawił, że na mojej drodze pojawiły się małpy, kiedy uciekałem od Podpalacza, który mnie porwał...

Nestor zaczął bębnić nerwowo palcami o kask, tak silnie, jakby zamierzał go rozbić. Potem rozejrzał się. W tej właśnie chwili z cukierni Chubbera rozszedł się cudowny zapach wyjętych z pieca świeżych drożdżówek.

To było coś więcej niż delikatna sugestia.

To było wręcz zaproszenie.

- Spróbujmy sobie osłodzić życie, zgoda? - zaproponował Nestor, odsuwając się od siodełka. Cukiernia Chubbera była dokładnie taka, jak Tommi ją sobie zawsze wyobrażał.

Taka sama od przeszło stu lat. Kolejne pokolenia klientów, wchodząc i wychodząc z jej sal, niezmiennie, wszystkie stawały najpierw przed tą samą ladą obładowaną słodkimi kolorowymi ciastkami, pysznymi włoskimi drożdżówkami, ciasteczkami francuskimi z kremem i bitą śmietaną. Same mury przesiąkły mocną wonią czekolady z wanilią i opowiadały o wietrznych popołudniach, deszczowych zimach przy wzburzonym morzu, z punktu widzenia tych, którzy je tutaj spędzili, popijając dobrą herbatę.

- Nestor! - powitała ogrodnika właścicielka cukierni. - Jak leci? Dosyć dawno nie widzieliśmy się.

Ogrodnik z Willi Argo pokuśtykał do witrynki ze słodyczami, wruszając ramionami. - Starzeję się - powiedział.

- A w Willi wszystko w porządku?

- Nie narzekam. Znasz Julię, nieprawdaż?

Julia się uśmiechnęła. - Tak, oczywiście.

- Jak się miewa twój brat, Julio? Jego też już dawno nie widziałam - zauważyła właścicielka.

Rozmawiali o Jasonie i o jego niebywałych wyczynach przy ladzie ze słodkościami i ubawili się, gdy odkryli,

że Tommaso w niczym mu nie ustępuje. Wybrał trzy różne wielkie ciacha i już wgrzyzał się w pierwsze.

- Wybaczcie... - bąknął między jednym a drugim kęsem - ale od wczoraj nie miałem nic w ustach.

Usiedli przy stoliku nieco ukrytym, parę kroków od kotary w szkocką kratę, która oddzielała tę część cukierni od jej dalszych pomieszczeń. Nestor uniósł kotarę, by sprawdzić, czy nikt nie siedzi po drugiej stronie i odprężył się.

- Zawsze lepiej się upewnić, nie? - mruknął. A potem zwrócił się do Tommasa. - No, to ile ich jeszcze tu przybędzie?

Zaskoczony chłopiec podniósł głowę znad swojego drugiego ciastka.

- Nie rozumiem?

- Najpierw Anita, teraz ty. Pytam, ile weneckich dzieci pojawi się jeszcze w Kilmore Cove?

- Myślę... że już nikt, proszę pana - odpowiedział Tom-mi nieco speszony.

- Spróbuj mnie przekonać.

Chłopiec zaczął aż podano herbatę i opowiedział krótko swoją wersję historii z tą częścią, której ani Julia, ani ogrodnik jeszcze nie znali: o Podpalaczu, który na niego czekał w Domu Bazgrołów, o przesłuchaniu w Arsenale, o pojawieniu się małp, o ucieczce w automatycznej gondoli Petera Dedalusa, a potem o tym, jak go olśniło, żeby dotrzeć do Kilmore Cove.

- Byłem pewny, że jeśli tylko znajdę te drzwi, to będą one otwarte.

- A dlaczego?

- Ponieważ na końcu książki jest napisane, że Fred Spiczuwa otworzył je, żeby wyjechać na wakacje. Miałem nadzieję, że jeszcze nie wrócił.

Julia spojrzała na Nestora. - Fred?

- Co ma do tego Fred Spiczuwa? - spytał ogrodnik.

- Jak to, co? Fred ma Pierwszy Klucz - odparł Tommi. - Nie wiedzieliście tego?

Zwazywszy zdziwienie i niedowierzanie malujące się na twarzach swych rozmówców, Tommi rozejrzał się dokoła z wahaniem. - A jednak... cała reszta jest w porządku. Dokładnie tak, jak było napisane w książkach.

- Przeczytałeś o Pierwszym Kluczu w... moich książkach?

- Tak, dokładnie na samym końcu. I, jeśli mogę panu szczerze powiedzieć, panie Nestorze...

- Mów mi na „ty”, inaczej czuję się stary.

Julia zrobiła minę, jakby chciała powiedzieć „a nie mówiłam?”

- Jak pan sobie życzy, to znaczy, jak chcesz. Mówiłem właśnie, że to zakończenie, muszę przyznać, właściwie mnie rozczarowało. Wydaje się, takie... doczepione. Jakby, nie wiem, jakby... nie było właściwe.

- I rzeczywiście nie było.

Tommaso miał sucho w gardle i już wysączył połowę filiżanki herbaty.

- To znaczy, że to nieprawda, że Fred ma Pierwszy Klucz?

- Zupełnie nie. Tak czy owak w moich dziennikach nie napisałem o tym ani słowa, ponieważ rzeczywiście, po wydobyciu tego klucza od taty Ricka, ginie o nim wszelki trop. Jedno, co pewne, to to, że go nie posiada Fred Spiczuwa.

Tommaso wytrzeszczył oczy. - Jesteś tego pewien?

- Jak tego, że jestem tutaj i że pisałem przez dwadzieścia lat dzienniki w nadziei, że mi się do czegoś przydadzą.

Patrzyli na siebie w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach. Potem Nestorowi przyszło coś do głowy. Coś, co roztrząsał już od dłuższego czasu. - Twoja przyjaciółka, Anita - powiedział - opowiadała mi, że jest ktoś w rodzaju tłumacza, kto zredagował książki na podstawie moich dzienników.

- Tak.

- Pamiętasz, jak się nazywa?

- Prawdę mówiąc, nie jest jedyny - odpowiedział Tommaso. - W różnych wydaniach książki, w różnych wersjach językowych nazwisko tłumacza się zmienia. Sprawdziłem w internecie. Ale jeśli masz na myśli tego, którego spotkaliśmy w Wenecji, sądziłem, że ty i on... że wy się znacie.

- Cóż za głupstwa! Skąd ci to przyszło do głowy?

Tommaso miał sucho w gardle i już wysączył połowę filiżanki herbaty.

- To znaczy, że to nieprawda, że Fred ma Pierwszy Klucz?

- Zupełnie nie. Tak czy owak w moich dziennikach nie napisałem o tym ani słowa, ponieważ rzeczywiście, po wydobyciu tego klucza od taty Ricka, ginie o nim wszelki trop. Jedno, co pewne, to to, że go nie posiada Fred Spiczuwa.

Tommaso wytrzeszczył oczy. - Jesteś tego pewien?

- Jak tego, że jestem tutaj i że pisałem przez dwadzieścia lat dzienniki w nadziei, że mi się do czegoś przydadzą.

Patrzyli na siebie w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach. Potem Nestorowi przyszło coś do głowy. Coś, co roztrząsał już od dłuższego czasu. - Twoja przyjaciółka, Anita - powiedział - opowiadała mi, że jest ktoś w rodzaju tłumacza, kto zredagował książki na podstawie moich dzienników.

- Tak.

- Pamiętasz, jak się nazywa?

- Prawdę mówiąc, nie jest jedyny - odpowiedział Tommaso. - W różnych wydaniach książki, w różnych wersjach językowych nazwisko tłumacza się zmienia. Sprawdziłem w internecie. Ale jeśli masz na myśli tego, którego spotkaliśmy w Wenecji, sądziłem, że ty i on... że wy się znacie.

- Cóż za głupstwa! Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo on nam powiedział, że był w Kilmore Cove. I dał nawet Anicie wskazówki, jak tu dotrzeć.

- Bzdura! Gdyby się tylko pojawił, z całą pewnością wiedziałbym o tym.

- To jak?

- Albo twój znajomy tłumacz wszystko sobie zmyślił, łącznie z zakończeniem, albo...

Nestor przechylił głowę, drapiąc się delikatnie po brodzie. - Albo była jedna jedyna osoba zdolna mu wyjaśnić, co się stało. I dlaczego.

Może dwie.

Leonard i Kalipso.

Nastało długie milczenie, podczas którego słychać było jedynie dzwonienie łyżeczek o filiżanki.

- W każdym razie... Freda już nie ma w miasteczku - przerwała ciszę Julia.

Tommaso przełknął łyk herbaty.

Nestor uniósł jedną brew.

- Jego brat mówi, że nic nie wie - ciągnęła dziewczynka - ale jeśli to prawda, że Fred miał Pierwszy Klucz i że udał się do Wenecji...

- To wierutne bzdury! - wybuchnął Nestor. Po chwili ściszył głos, zauważywszy że właścicielka cukierni zwróciła na nich uwagę.

- Fred został wplątany w tę historię całkiem przypadkiem. Black chciał mieć kogoś, kto mu będzie podlewał

stację, po tym, jak ją zamienił w szklarnię! I to wszystko. Nie wie nic a nic i nic do tej historii nie ma.

Ale kiedy Nestor mówił, po głowie nieustannie tłukły mu się imiona Leonarda i Kalipso. To oni wynieśli kufer z jego dziennikami. Oni spotkali tłumacza, czy może tłumaczy, jeśli o to chodzi. Co mu opowiedzieli? I dlaczego to zrobili?

Jakkolwiek się wysilał, nie udawało mu się znaleźć satysfakcjonującej odpowiedzi. Również dlatego, że wydawało mu się zupełnie nie do pomyślenia, by towarzysze życiowych przygód, przyjaciele z którymi wspólnie mierzył się z najróżniejszymi niebezpieczeństwami, poczynając od tych Wielkich Wakacji, kiedy to się poznali, żeby oni właśnie knuli coś za jego plecami.

- I jeszcze jedna dziwna sprawa... - odezwała się nagle Julia, ścisząc głos.

- Mianowicie?
 - Wstąpiłam do księgarni.
 - Księgarni Kalipso? - spytał Tommi radośnie.
 - Tu nie ma innej - ucieła Julia. - W księgarni zastałam Cindy, która mi pozwoliła wziąć klucze od domu Kalipso. Wisiały na tyłach sklepu, razem z innymi...
 - Ach tak, jasne! - przerwał jej Tommi. - To wiecie, prawda? O waleniu do Wrót Czasu?
 - Co ty mówisz? Jakie walenie?
 - Walenie do Wrót Czasu w księgarni Kalipso - powtórzył Tommi. - W książkach jest napisane, że kiedy Leonard był na morzu, ktoś czy... coś waliło we Wrota Czasu, żeby zawiadomić Kalipso.
 - Kto?
 - Nie wiem, z książek to nie wynika. To było jak seria uderzeń bum bum bum, coraz to silniejszych. I wtedy Kalipso pomyślała „Leonard?” I pobiegła mu na ratunek. Ja nawet przypuszczałem, że to był wieloryb, który tak walił!
- Nestor był coraz bardziej poirytowany. Poirytowany i zbity z tropu. Przybrał tak niezwykle wyraz twarzy, że Julia nie wiedziała, jak się zachować.
- Już się przyzwyczaiła do cierpkiego tonu ogrodnika, do przemilczania różnych spraw, do często teatralnego sposobu przekazywania informacji, których strzegł, po odrobinie. Nigdy jej się to nie podobało, ale wołała w każdym razie owe mury obronne rzeczy niewypowiedzianych niż widzieć Nestora wydanego na pastwę niepewności, jak teraz.
- W każdym razie... nie chciałam mówić o drzwiach w księgarni. Chciałam wam opowiedzieć, że poszłam do mamy Kalipso i znalazłam zeszyt - zakończyła.
 - Zeszyt? Gdzie? - spytał Nestor i prawie krzyknął ze zdumienia.
 - W szufladzie komody mamy Kalipso - wyszeptła dziewczynka, dostając gęsiej skórki na samo wspomnienie tej sypialni i starej kobiety, która ją wzięła za kogoś innego i prosiła, żeby jej opowiedziała jakąś historię.
 - Przypuszczam, że to ten, który zniknął z twojej biblioteki - powiedziała i wręczyła zeszyt Nestorowi, który go natychmiast rozpoznał.
 - I jak tam trafił...? - zapytał ogrodnik, obracając z niedowierzaniem zeszyt w rękach. Potem wstał gwałtownie od stolika. - Muszę zrozumieć. I muszę to zrobić natychmiast.
 - Dokąd idziemy?
 - Do domu - odpowiedział Nestor. - Musimy... skorzystać natychmiast z zeszytu, żeby się połączyć z tamtymi i...
- Julia podniosła tekę Tommasa. - Tommaso twierdzi, że też ma nam coś do pokazania... Nestor przytaknął. - Idę zapłacić.
- Ja skoczę do toalety - powiedział Tommi. - Nie byłem tam od 1751 roku.
- Uniósł kotarę w szkocką kratę za plecami Nestora i Julii i zniknął w wąskim korytarzu po drugiej stronie. Rażnym krokiem doszedł do małej toalety.
- Wydało mu się, że słyszy jakieś dziwne odgłosy na zewnątrz.
- I czyjś głos, który powtarzał: - Idź, idź, idź!
- Okienko w toalecie było otwarte.
- biblioteki - powiedziała i wręczyła zeszyt Nestorowi, który go natychmiast rozpoznał.
- I jak tam trafił...? - zapytał ogrodnik, obracając z niedowierzaniem zeszyt w rękach. Potem wstał gwałtownie od stolika. - Muszę zrozumieć. I muszę to zrobić natychmiast.
 - Dokąd idziemy?
 - Do domu - odpowiedział Nestor. - Musimy... skorzystać natychmiast z zeszytu, żeby się połączyć z tamtymi i...
- Julia podniosła tekę Tommasa. - Tommaso twierdzi, że też ma nam coś do pokazania... Nestor przytaknął. - Idę zapłacić.
- Ja skoczę do toalety - powiedział Tommi. - Nie byłem tam od 1751 roku.

Uniósł kotarę w szkocką kratę za plecami Nestora i Julii i zniknął w wąskim korytarzu po drugiej stronie. Rażnym krokiem doszedł do małej toalety. Wydało mu się, że słyszy jakieś dziwne odgłosy na zewnątrz. I czyjś głos, który powtarzał: - Idź, idź, idź! Okienko w toalecie było otwarte.

Rozdział 4 ZA PROGIEM

W półmroku okrągłej sali Rick wpatrywał się w złocistego olbrzyma stojącego nieruchomo w progu drzwi w kolorze kości słoniowej, a w jego głowie kłębiły się setki pytań.

- Mówisz, Zefirze, że urodziłeś się po tamtej stronie drzwi...
- Tak było.
- A co jest po tamtej stronie?
- Miasteczka. Rozległe nieużytki, bardzo niebezpieczne, z wąską ścieżką, która prowadzi w dół rzeki. A dalej...
- A dalej? - zapytała zaciekawiona Anita.
- Dalej jest Labirynt.
- Labirynt?
- Tak go nazywają. Nie wiem, dlaczego. Wiem tylko to, co mi opowiedziano.
- Wiesz chociaż, co się znajduje... wewnątrz Labiryntu? - pytał Rick coraz bardziej zaciekawiony.

- Tysiąc sal i tysiąc korytarzy - odparł Zefir. - Najrozmaitsze cuda i najrozmaitsze niebezpieczeństwa. Ale tak naprawdę to dokładnie nie wiem, zważywszy, że nigdy nie spotkałem nikogo, kto mógłby tam wejść.

Anita chciała coś powiedzieć, ale Rick ja uprzedził. - Podczas gdy my, twoim zdaniem, możemy tam wejść?

- Wasz przyjaciel tak - odpowiedział olbrzym. - Ma ze sobą klucz. „Klucz Jasona... to znaczy, że mu go pokazał?” przeszło Rickowi przez głowę i przycisnął swój klucz mocno do siebie. Także Anita miała klucz, ten z krukiem, który jej wręczyła Ostatnia. Ale jakie znaczenie miało posiadanie klucza? I co chciał powiedzieć ten dziwny osobnik? Czy były dalsze drzwi do otwarcia, żeby się dostać do Labiryntu? Rick rzucił Anicie zakłopotane spojrzenie. Potem dał jej znak głową i oboje odsunęli się trochę od drzwi koloru kości słoniowej.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy chwilę porozmawiali na osobności? - zapytał Zefira.

Olbrzym uprzejmie pochylił głowę. - Ależ naturalnie, bardzo proszę... tylko że wasz przyjaciel mówi, że musicie

pośpieszyć się z wejściem i że równie dobrze, moglibyście podyskutować w drodze.

Anita z Rickiem odwrócili się do niego plecami i oddalili pod przeciwległą ścianę. Na dworze ciągle padał deszcz, uderzając miarowo o kamienie i roślinność.

- Co proponujesz zrobić? - spytała Anita półgłosem. - Wchodzimy?

- Nie ma mowy - odparł zdecydowanie Rick.

- Ale Jason...

- Jason jest jak zawsze impulsywny. Nie wiemy niczego o tym Zefirze ani co się naprawdę znajduje po drugiej stronie drzwi.

- A Labirynt?

- No właśnie, wiesz, co to jest labirynt? - Rick zmierzył ją surowym spojrzeniem. - To miejsce, gdzie ludzie się gubią. Nie mówiąc już o tym, że... mógłby tam mieszkać ktoś niebezpieczny.

Anita przytaknęła. Rick miał rację. A poza tym było późno, byli zmęczeni po tym niekończącym się dniu. Ona też nie miała wielkiej ochoty rozpoczynać nowych poszukiwań. - Zefir jednak nie wydaje mi się zły. Sądzę, że możemy mu zaufać.

- Zaufać? Ja też nie sądzę, żeby był zły, ale to nie wydaje mi się wystarczające, żeby mu zaufać.

- Wasz przyjaciel prosi, aby wam przekazać, że nigdy nie byliście tak blisko odkrycia tajemnicy konstruktorów drzwi i że jego zdaniem, odpowiedzi, jakich szukacie, znajdują się w Labiryncie! - krzyknął Zefir od progu drzwi w kolorze kości słoniowej.

Anita ścisnęła Ricka za ramię. - Słyszałeś?

Rick przytaknął z gniewną miną. - Nawet jeśli to prawda, to nie jest powód, dla którego tu przybyliśmy. Mamy ocalić Ostatnią. I uratować ten kraj. A teraz jest jeszcze co innego do zrobienia: trzeba wyciągnąć stamtąd Jasona.

- Może jednak jest jeszcze inny powód, dla którego przybyliśmy do Arkadii: odnalezienie tych drzwi. A poza tym Jason wcale nie chce, żebyśmy mu pomogli wyjść, przeciwnie, prosi nas, żebyśmy do niego dołączyli - odpowiedziała z przekonaniem dziewczynka o długich czarnych włosach.

- To nieostrożne, może nie będziemy potrafili zawrócić - odparł Rick, obstając przy swoim.

- Od kiedy to jesteś taki ostrożny?

- Anita, jeśli dotarliśmy aż tu, to tylko dlatego, że ja zawsze jestem ostrożny!

- Ale budowniczości drzwi... - upierała się dziewczynka - czyż to nie jest ten sekret, który zawsze usiłowaliśmy odkryć? I czy odkrycie, kim są, nie mogłoby posłużyć w ocaleniu tego miejsca? W ukończeniu tutejszych drzwi?

- To nie jest sekret dla wszystkich - odparł tajemniczo Rick.

Anita spojrzała na niego i nic nie odpowiedziała. Włosy opadały jej na oczy.

- Wielu szukało odpowiedzi - ciągnął Rick - ryzykując nawet śmiercią, jak Leonard Minaxo. Ja się zgadzam z Nestorem, kiedy powiada, że nie należy za bardzo się wychylać. Są rzeczy, które można odkryć i są takie, które powinny pozostać w tajemnicy. On sprawę drzwi uznał za zamkniętą. I próbował wyrzucić wszystkie klucze.

- Ale mu się to nie udało. Klucze powróciły. A drzwi...

- Drzwi pozostały zamknięte, bo my je zostawiliśmy zamknięte.

- Ale... ciągle nie wiecie, dlaczego. Może Jason ma rację i odpowiedzi należy szukać za tymi drzwiami - nalegała Anita.

Rick przygryzł usta. - Przypominam ci, że przez te drzwi weszły dziesiątki osób, które nigdy już stamtąd nie wyszły.

- Bo nigdy ich nie dokończono! - odparowała Anita. - Drzwi w kolorze kości słoniowej są niekompletne. Może musimy je uzupełnić, żeby móc...

- ..wyjść? - dokończył za nią zdanie rudowłosy chłopiec. - Wspaniały pomysł. Ale jeżeli po wejściu już nie będziemy mogli się cofnąć, to kto je uzupełni? Jak możemy dokończyć budowę drzwi, które są... na zewnątrz? Nawet jeżeli jedno z nas pozostanie po tej stronie, to nie możemy się ze sobą porozumiewać.

- On może - powiedziała Anita, wskazując na Zefira.

Olbrzym o złocistych oczach stał bez ruchu w progu, niezwykle spokojny.

- Wielu szukało odpowiedzi - ciągnął Rick - ryzykując nawet śmiercią, jak Leonard Minaxo. Ja się zgadzam z Nestorem, kiedy powiada, że nie należy za bardzo się wychylać. Są rzeczy, które można odkryć i są takie, które powinny pozostać w tajemnicy. On sprawę drzwi uznał za zamkniętą. I próbował wyrzucić wszystkie klucze.

- Ale mu się to nie udało. Klucze powróciły. A drzwi...

- Drzwi pozostały zamknięte, bo my je zostawiliśmy zamknięte.
- Ale... ciągle nie wiecie, dlaczego. Może Jason ma rację i odpowiedzi należy szukać za tymi drzwiami - nalegała Anita.

Rick przygryzł usta. - Przypominam ci, że przez te drzwi weszły dziesiątki osób, które nigdy już stamtąd nie wyszły.

- Bo nigdy ich nie dokończono! - odparowała Anita. - Drzwi w kolorze kości słoniowej są niekompletne. Może musimy je uzupełnić, żeby móc...

- ...wyjść? - dokończył za nią zdanie rudowłosy chłopiec. - Wspaniały pomysł. Ale jeżeli po wejściu już nie będziemy mogli się cofnąć, to kto je uzupełni? Jak możemy dokończyć budowy drzwi, które są... na zewnątrz? Nawet jeżeli jedno z nas pozostanie po tej stronie, to nie możemy się ze sobą porozumiewać.

- On może - powiedziała Anita, wskazując na Zefira.

Olbrzym o złocistych oczach stał bez ruchu w progu, niezwykle spokojny.

- A kim on jest? Jesteś pewna, że go tak dobrze znasz? - zapytał sarkastycznie Rick.

Anita już chciała mu coś odpowiedzieć, ale nagle zatkało ją. Doznała olśnienia: zeszyt Morice'a Moreau. Cienki zeszyt z kartkami, dzięki którym mogła się porozumiewać z innymi czytelnikami, którzy w tym samym momencie otwierają go na tej samej stronie.

- Może moglibyśmy skorzystać z zeszytu - szepnęła. - My tutaj, a Jason - po tamtej stronie...

Rick zastanowił się chwilę, po czym przytaknął. - To dobry pomysł. Możemy spróbować. Powiemy Zefirowi, żeby przekazał zeszyt Jasonowi, a my poszukamy Ostatniej i pożyczymy zeszyt od niej. Tak, to może się udać.

Anita jednak była przeciwna temu, żeby swój zeszyt zostawić. Był on jej, przede wszystkim. Było to coś, co znalazła sama, czego zawsze ona używała. Pomyślała o Jasonie gdzieś za tymi drzwiami i w tej chwili zdała sobie sprawę, że nie chciała z nim mówić.

Po prostu nie chciała z nim mówić.

Chciała go zobaczyć.

Chciała być blisko niego.

I jeżeli Jason przekroczył próg i przeszedł na drugą stronę, to może ona powinna iść za nim. Zrozumiała, trochę naiwnie, ale całą sobą, że i oni dwoje, jak strony zeszytu z fantastycznymi rysunkami, są związani niewidzialną, ale mocną nicią. Uczuciem, które przekracza granice światów.

I kiedy myślała o tym wszystkim, powietrze dokoła nich zadrzało po raz drugi i znowu coś rozległo się w mroku. Ale tym razem to nie był piorun. Tym razem to zabrzmiało jak... wystrzał. „Ostatnia!”

- Zostań tu, polecę zobaczyć! - krzyknął Rick, gwałtownie się obracając.

- Dobrze - skłamała Anita. Rick wybiegł pędem z sali.

A Anita podeszła do drzwi koloru kości słoniowej.

I kiedy myślała o tym wszystkim, powietrze dokoła nich zadrzało po raz drugi i znowu coś rozległo się w mroku. Ale tym razem to nie był piorun. Tym razem to zabrzmiało jak... wystrzał. „Ostatnia!”

- Zostań tu, polecę zobaczyć! - krzyknął Rick, gwałtownie się obracając.

- Dobrze - skłamała Anita. Rick wybiegł pędem z sali.

A Anita podeszła do drzwi koloru kości słoniowej.

Rozdział 5

ZAGINIONA DZIEWCZYŃKA

Pan Bloom zaczynał myśleć, że przytrafił mu się jakiś senny koszmar. Straszliwy koszmar, z którego miał nadzieję obudzić się jak najprędzej.

- Może wreszcie zechce mi pan powiedzieć, gdzie jest moja córka? - spytał kolejny raz tego typu o wyglądzie włóczęgi, który go skłonił, by szedł za nim na dworzec kolejowy. - I niech mi pan powie z łaski swojej, kiedy się skończy ta idiotyczna błazenada?
- Jeszcze trochę cierpliwości, panie Bloom, a dowie się pan wszystkiego - odparł Black Wulkan. - Rozumiem pańskie przerażenie i zmartwienie, ale...
- Nie, nic pan nie rozumie! Nie jestem ani przerażony, ani zmartwiony. Jestem wściekły! I jeśli nie przestanie pan mówić zagadkami i nie powie mi natychmiast, gdzie jest Anita, będę zmuszony wezwać policję i...
- ...i nie uwierzą panu.
- Co pan chce przez to powiedzieć? Nie uwierzą, że moja córka znikła?
- Nie uwierzą, że odeszła bez pańskiej wiedzy. Jeśli chce pan koniecznie wiedzieć, to pańska córka wsiadła w samolot do Tuluzy razem z dwoma chłopcami w tym samym wieku. Całkowicie legalnie, zgodnie z międzynarodowymi przepisami dotyczącymi lotów osób małoletnich bez opiekunów. Mają dokumenty. I pańska córka normalnie wylądowała i udała się do M. we francuskich Pirenejach. Cóż w tym niepokojącego dla policji? Wszystko wygląda normalnie.
- I według pana... ja powinienem stać tu spokojnie i wysłuchiwać tych wszystkich bredni? Niby dlaczego moja córka miałaby jechać w Pireneje? Na dodatek bez uprzedzenia.
- O to powinien zapytać pan ją. A co do pierwszego pytania, nikt pana nie zmuszał do przyścia tu i może pan sobie swobodnie odejść, kiedy zechce.
- Ale to pan mi powiedział, żebym poszedł za panem...
- Tak, właśnie, i również to ja panu powiedziałem, że pański dom jest pod obserwacją - odpowiedział Black Wulkan. - I co było przed pańskim domem, przypomina pan sobie?

Pan Bloom wściekły wsunął obie ręce do kieszeni. - Dwaj mężczyźni w melonikach z parasolami.

- Zatem?
 - Zatem byli dwaj mężczyźni w melonikach i z parasolami, ale przecież mógł ich nasłać pan! - wybuchnął ojciec Anity.
 - Tylko że pan wie, że to tak nie było, czyż nie?
- Pan Bloom powstrzymał się i nic nie odpowiedział. Zaczął jednak chodzić nerwowo tam i z powrotem po stacji, usiłując stłumić złość i nie ulec pokusie, by rzucić się z pięściami na tego wstrętnego typu.
- Więc co powinienem zrobić pana zdaniem? - spytał w końcu, bezradny.
 - Jeśli istotnie chce pan mojej rady, według mnie ma pan dosyć ograniczone możliwości
 - odpowiedział Black Wulkan: - Pierwsza, to zrobić dokładnie to, co panu powiem, a na początek zaczekać aż się trochę ściemni. Żeby nie rzucać się zanadto w oczy, rozumie pan?
 - Przykro mi, że pana rozczaruję, ale nie rozumiem. Kompletnie niczego nie rozumiem!
 - Cóż, powiedzmy, że jak tylko się trochę ściemni, wsiądziemy do niewielkiego pociągu, który stoi przy nieczynnym peronie i zrobimy to tak, żeby nikt niczego nie zauważył i nie stawiał nam zbędnych pytań.
 - Czy nie proponuje mi pan przypadkiem jakiejś... kradzieży?
 - Och nie, nic z tych rzeczy. Widzi pan, pociąg jest mój i byłbym szczęśliwy, goszcząc pana na pokładzie. Tylko że nie jestem tak całkiem w porządku z niezbędnymi dokumentami koniecznymi do prowadzenia pociągu w tym kraju.
 - Nie wiem, dlaczego, ale mnie to akurat nie dziwi... - skomentował pan Bloom, przybierając tym razem ton sarkastyczny. - A można wiedzieć, dokąd ma pan zamiar mnie zawieźć?

- Tam, gdzie jest pańska córka. Czy ściślej biorąc, gdzie pan pojmie, co robi pańska córka w Pirenejach i zrozumie powód, dla którego nie wróciła do Wenecji.
- A dlaczego nie powie mi pan tego tutaj i skończylibyśmy raz na zawsze z tymi wszystkimi błazeństwami?
- Ponieważ pan nadal mi nie wierzy. Faktem jest, że pana córka znalazła coś, czego byłoby lepiej nie znajdywać. I teraz, z tego właśnie powodu, znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. I niestety, przy okazji na to samo naraziła również pana i pańską żonę.
- Chyba nie chce mi pan powiedzieć...
- Oczywiście, że Anita nie mogła o tym wiedzieć. Nikt z nas nie mógł. Nie myśleliśmy, że oni są ciągle tak... aktywni, po tylu latach.
- A teraz, do diabła, czy można wiedzieć, o kim pan mówi? - wybuchnął gniewnie pan Bloom, który znowu tracił cierpliwość
- Nazywają się Podpalacze. I są bardzo źli.

-Jasne, „źli"! Przypuszczam, że wy przeciwnie, jesteście „dobrzy".

- Tak, właśnie. Widzę, że zaczyna pan rozumieć.
- No i posłuchajmy, co też takiego złego robią ci „źli"?
- Och, zwykłe rzeczy. Podpalają. Niszczą. Jak zawsze.
- Bardzo oryginalne.
- Ale skuteczne. Teraz widzi pan, panie Bloom, nie jestem upoważniony do tego, co robię, ale sądzę, że jednak to jest najszlachetniejsze. Sądzę też, że pan mógłby się okazać bardzo przydatny.
- Bardzo przydatny do czego?
- Ponieważ pracuje pan w banku. A traf chce, że ja mam pewne fundusze w gestii pańskiego banku.
- Doprawdy? I na czyje konto zapisane? Św. Mikołaja?
- Na konto Newton. To była moja córka.
- Mówi pan, fundusze nieruchomości Newton?... - spytał z niedowierzaniem pan Bloom.
- Właśnie.

Ojciec Anity zmienił nagle swój punkt widzenia na włóczęgę, którego miał przed sobą. Jeśli aż do tej pory myślał o nim jak o żebraku, pomyłonym obdartusie, to po skojarzeniu go z funduszem Newton, zaczął go postrzegać jako miliardera - oryginała. Pod warunkiem, że był naprawdę tym, za kogo się podawał.

- Ogólnie biorąc... - ciągnął Black Wulkan - ja i moi przyjaciele byliśmy zawsze zdania, że nie należy za wiele
- Jasne, „źli"! Przypuszczam, że wy przeciwnie, jesteście „dobrzy".
- Tak, właśnie. Widzę, że zaczyna pan rozumieć.
- No i posłuchajmy, co też takiego złego robią ci „źli"?
- Och, zwykłe rzeczy. Podpalają. Niszczą. Jak zawsze.
- Bardzo oryginalne.
- Ale skuteczne. Teraz widzi pan, panie Bloom, nie jestem upoważniony do tego, co robię, ale sądzę, że jednak to jest najszlachetniejsze. Sądzę też, że pan mógłby się okazać bardzo przydatny.
- Bardzo przydatny do czego?
- Ponieważ pracuje pan w banku. A traf chce, że ja mam pewne fundusze w gestii pańskiego banku.
- Doprawdy? I na czyje konto zapisane? Św. Mikołaja?
- Na konto Newton. To była moja córka.

- Mówi pan, fundusze nieruchomości Newton?... - spytał z niedowierzaniem pan Bloom.

- Właśnie.

Ojciec Anity zmienił nagle swój punkt widzenia na włóczęgę, którego miał przed sobą. Jeśli aż do tej pory myślał o nim jak o żebraku, pomylnym obdartusie, to po skojarzeniu go z funduszem Newton, zaczął go postrzegać jako miliardera - oryginała. Pod warunkiem, że był naprawdę tym, za kogo się podawał.

- Ogólnie biorąc... - ciągnął Black Wulkan - ja i moi przyjaciele byliśmy zawsze zdania, że nie należy za wiele

mówić o naszych sprawach, ale wydaje się, że nadeszła pora, by otworzyć usta. Zdaję sobie sprawę, że pan za mną może nie nadać, ale jeśli mi pan tylko zaufa, gwarantuję, że na koniec wszystko stanie się dla pana zrozumiałe. To tylko kwestia krótkiej, kilkugodzinnej podróży. Proszę mi wierzyć.

- Może mi pan przynajmniej zdradzić, dokąd się udamy?

- Do Kornwalii.

Pan Bloom aż podskoczył. - Do Kornwalii? Dopiero co tam byłem... z córką!

- Wiem. Poszliście pod dąb z haczykami, prawda?

- Jak pan powiedział?

- A potem, jak już do niego doszliście, pan został wylegiwać się na plaży, a pańska córka oddaliła się w swoich sprawach.

- Tak... wróciła bardzo późno. Bardzo się martwiłem. - Pan Bloom zaczął wyczuwać, że mógł być jakiś bliżej nie sprecyzowany związek między tą wycieczką a zniknięciem Anity. - To się stało tam, że...?

- Właśnie tak.

- Wiedziałem, że nie powinienem jej puszczać samej! Moja żona mi stale powtarza, że popełniam błąd, pozwalając córce na dużą swobodę. - Teraz pan Bloom wyglądał naprawdę na niepokieszonego i spuścił głowę, niezdolny do pojęcia tego, co się wydarzyło.

Ale Black Wulkan uznał, że nie pora na subtelności

i uzupełnił obraz: - A propos pańskiej żony, również z nią jest problem.

- Ponieważ mówił pan, że ci...

- Podpalacze.

- Myśli pan, że mogą jej zagrażać?

- Prawdę mówiąc, myślę, że już są dla niej groźni. I że ją także mają pod obserwacją.

- Muszę do niej zadzwonić.

Black Wulkan pogłodził się po brodzie.

- To dobry pomysł, tak. Niech jej pan zasugeruje, żeby tu przyjechała. Albo żeby dobrze zamknęła drzwi w domu i nikomu nie otwierała. Albo żeby wsiadła w jakikolwiek samolot. Ale musi ją pan uprzedzić, że zawsze będzie jej ktoś deptał po piętach. I że w związku z tym jest jedna rzecz podstawowa, której jej w żadnym wypadku zrobić nie wolno: próbować skontaktować się z córką.

- Proszę posłuchać, ostatnim razem, jak rozmawialiśmy - przerwał Wulkanowi pan Bloom - moja żona mi powiedziała, że zniknął również przyjaciel Anity. Chłopiec, który się nazywa Tommaso Ranieri chyba. Zna go pan?

- Nie. W każdym razie... nie ma co gadać. Krąg się zacieśnia.

- Ale czego chcą od nas te typy z parasolami?

- Głównie, żebyśmy milczeli - odparł Black Wulkan. - Paradoks polega na tym, że my też chcieliśmy milczeć. Niech pan sobie wyobrazi, że ja się wyniosłem aż na Bliski Wschód.

- A dlaczego pan wrócił?

- Zapomniałem kluczy od domu - uśmiechnął się Black Wulkan. A potem, patrząc na niebo gwałtownie ciemniejące, dodał: - Jeśli pan chce, to ma pan czas na ten telefon do żony. Potem ruszamy. Proszę pamiętać, że to może być pana ostatnia rozmowa. To nie żadna groźba, tyle tylko, że tam, dokąd się udajemy, komórki nie mają zasięgu. Nie ma też ani internetu, ani telewizji satelitarnej.

- A zatem raj na ziemi - odpowiedział pan Bloom z melancholijnym uśmiechem.

- Coś w tym rodzaju.

Pan Bloom szybko się odwrócił. Potem zatrzymał się nagle, jakby mu coś przyszło do głowy.

- Proszę chwilkę zaczekać.

- Słucham.

- Na początku naszej niezwykle interesującej rozmowy powiedział mi pan, że pańskim zdaniem miałem kilka możliwości do wyboru. Ale w rzeczywistości zaproponował mi pan tylko jedną, to znaczy jazdę z panem. A jaka byłaby inna możliwość?

Black Wulkan wyciągnął z kieszeni małą manierkę. - Niech pan pociągnie dwa łyki tego - odpowiedział bez wahania. - Nazywają to „wodą wiecznej młodości”. Nazwa utrafiona, nie ma co. Przebudzi się pan za dwa dni, o niczym nie pamiętając i trochę młodszy, niż kiedy pan zasnął.

Pan Bloom nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać i ograniczył się tylko do kiwnięcia głową.

- Jasne, rzeczywiście, nazwa nader celna - powiedział machinalnie, jakby myślami był już gdzie indziej.

Potem wskazał bliżej nieokreślony punkt za sobą.

- Idę teraz zatelefonować.

- Proszę to zrobić szybko. Klio 1974 nie jest lokomotywą, która może długo czekać!

Rozdział 6

SZTUCZNA PUŁAPKA

- Ostrzegam panią, popełnia pani wielkie głupstwo! -zawołał pierwszy z braci Nożyców, kędzierzawy brunet.

- Rozglądaliśmy się tylko po okolicy! - odezwał się płaczliwie drugi, blondyn.

Ale wyglądało na to, że kobieta, która ich odkryła, kiedy szukali schronienia wśród ruin Arkadii, była innego zdania. Co więcej: groźnie przyłożyła do ramienia rodzaj starej strzelby, z której lufy wylatywała cienka smuga czarnego dymu.

Sytuacja była wprost surrealistyczna. I zasługuje na opisanie od początku. Posłuszni rozkazom swojego szefa, bracia szli po śladach trójki dzieci najbardziej nieprzystępną i nierówną trasą we wschodnich Pirenejach, wspinając się po pionowej ścianie, która wydawała się nie mieć końca.

Kiedy umęczeni dotarli na szczyt, znaleźli Arkadię, krainę opuszczoną i umierającą, porośniętą roślinnością, z resztkami przedziwnej architektury, najrozmaitszej mieszanki stylów i epok. Pokręcili się trochę na górze, między drzewami, paprociami i frontonami renesansowych domów, z zamiarem podpalenia wszystkiego, budynków i ludzi, i jak najszybszego powrotu do cywilizacji.

Do Londynu, Paryża, ostatecznie mogłoby być Lazurowe Wybrzeże.

I kiedy tak zastanawiali się, jak to zrobić, zaczęło padać. Ukryli się w krzakach, bezradni i zziębnięci, a potem wpełzli do środka jakiegoś budynku, który wyglądał jak opuszczony magazyn. Zupełnie nie uwzględnili możliwości, że staną się celem wystrzałów.

- Słuchaj, spróbujmy się rozsądnie zastanowić, co? -zaczął kędzierzawy brunet. -

Jesteśmy tylko zwykłymi turystami.

- Jasne! Jesteśmy turystami! - powtórzył za nim blondyn, uderzony banalnością takiej wymówki. - W naszym przewodniku to miejsce jest określone jako Chateau Relais. Miejsce spokojne, przyjemne, oddalone od światowych niepokojów...

- Oszczędzaj oddech, bracie - przerwał mu brunet. - Spójrz, chyba sobie już poszła.

- Jak to poszła?

- A co, może ją widzisz?

Rzeczywiście, w miejscu, w którym się pojawiła (i gdzie padł ogłuszający strzał, który przebił zapadający się dach, strzał z błyskiem pirotechnicznym sztucznych ogni) teraz nie było już nikogo. Ostatnia rozplynęła się z prędkością zjawy, dokładnie tak, jak się pojawiła.

Teraz, gdy ucichło już echo wystrzału, w powietrzu słychać było tylko miarowy plusk coraz bardziej rześatego deszczu na resztkach dachu nad magazynem.

- Ja radzę zmywać się stąd - powiedział blondyn. I to szybko.

- A dokąd zamierzasz pójść w taką burzę? Przypominam ci, że dotarliśmy tu, wspinając się po pionowej skale. Czy może nie zauważyliśmy windy?

- Właśnie. Wyjdziemy stąd i pójdziemy poszukać windy.

- Ty idziesz pierwszy?

Ruszyli z wahaniem w stronę wyjścia z rudery, w której się skryli.

- Zapomnij o dzieciakach. I przede wszystkim zapomnij o rusznicy, która strzela sztucznymi ogniami.

- A ty zapomnij o naszych parasolach! - odparował brunet, podnosząc parasol, który mieli zawsze ze sobą. - Nowoczesne i skuteczne, zięjące ogniem i przyciągające pioruny podpalające.

- Tak, ale ta rusznica... - upierał się blondyn.

- Jest bardziej prawdopodobne, że ten stary rupieć wybuchnie jej w rękach aniżeli...

Gdy wymienili ze sobą te kilka zdań, zerknęli za próg budynku i wyszli na zewnątrz, na deszcz. Właśnie zastanawiali się, w którą stronę ruszyć, gdy z boku pojawiła się kobieta ze swoją długą fuzją z miedzianą lufą.

Wymierzyła prosto w nich.

- Hej!

- Zaczekaj!

- Co pani zamierza zrobić?

Kolejny strzał zabrzmiał wśród nocy jak potężny ryk lwa. Jeszcze całkiem nie ucichł, gdy dwaj bracia Nożyce biegli jak szaleni w przeciwną stronę, otoczeni iskrami płonących sztucznych ogni, przyskających i świszczących dokoła nich.

- Strzelała do nas! - wrzasnął brunet i rzucił się w środek wybuchającej świetlnej kaskady.

- Oszczędzaj oddech, gdy biegniesz! - odkrzyknął mu blondyn. Potem, za kolejnym skokiem, ziemia usunęła się im spod stóp z głuchym szmerem i dwaj uciekinierzy wpadli do głębokiej jamy. Pułapka.

Łądowanie było bardzo gwałtowne, zlągzone jedynie warstwą miękkiej ziemi, która pokrywała dno dziury. Nie zdążyli jeszcze zdać sobie sprawy z tego, co się wydarzyło, kiedy Ostatnia już się pojawiła nad nimi, na krawędzi jamy, ciągle ściskając fuzję w rękę.

- Na litość boską, proszę pani, my się poddajemy! - zadrżał jeden z braci Nożyców z twarzą unurzaną w błocie.

- Niech nas pani oszczędzi, litości! - błagał również drugi. - I odłóż tę pukawkę, już starczy!

Z wielkim trudem zdołali najpierw usiąść, a potem dźwignęli się na nogi. Jama, do której wpadli, okazała się okrągłą studnią głęboką na trzy metry i pełną błota. Tłuste dżdżownice pełzały w ziemi pod trawą. Krople deszczu siekły spocone twarze obu braci niczym maleńkie lodowate stalaktyty.

W końcu kobieta ze strzelbą przemówiła: - Wysłał was mężczyzna siedzący na wieży z poduszek, czy tak?

- Jaki mężczyzna, na jakiej wieży? Czy pani oszalała? Strzelba Ostatniej uniosła się, gotowa wypalić kolejnym wystrzałem.

- Niech pani zaczeka! Niech pani zaczeka! Na litość boską! Tak, tak, wysłał nas mężczyzna siedzący na wieży z poduszek, właśnie on! - skłamał brunet i zachęcił brata do takiego samego wyznania.

- Jasne! Mężczyzna z wieży z poduszek! Nasz szef! Kobieta się schyliła i wymacała coś w trawie. Jeden

płynny ruch i chwilę potem otwór został nakryty solidną siecią uplecioną ze sznura. Ostatnia umocowała ją kilkoma hakami wkopanymi w ziemię i wróciła do obserwacji dwóch braci przez tę ażurową zasłonę.

- Jeśli nie chcecie tego powiedzieć mnie, powiecie to komuś innemu - powiedziała przez zaciśnięte zęby, po czym znikła.

Dwaj Podpalacze nie mogli wprost uwierzyć w to, co się stało. Znieruchomieli z rękami uniesionymi ku górze.

- Jak myślisz? - spytał brunet. - Czy to była groźba? Odpowiedział mu huk grzmotu w oddali.

Jakiś kwadrans później, na krawędzi studni pojawił się rudowłosy chłopiec. Deszcz ściekał do studni brudnymi strumyczkami i zamieniał jej dno w bagno.

Jak tylko Podpalacze go rozpoznali, natychmiast się ożywili.

- Całe szczęście, że to ty - zawołał brunet.

- Nie mógłbyś nas stąd wyciągnąć? Nie zrobiliśmy nic złego!

Rick obszedł dokoła całą studnię i przyglądał się im, jakby byli zwierzętami w ogrodzie zoologicznym. Po czym zwrócił się do kogoś, kto zapewne stał obok niego, ale kogo bracia Nożyce nie mogli widzieć, i powiedział: - To ci dwaj z samolotu. Śledzili nas od Tuluzy aż tutaj.

- Hej, chłopcze, to wcale t&k nie było! - wykrzyknął jeden z braci.

- Czy nie zgodziłbyś się jednak porozmawiać o tym w jakimś suchym miejscu? - zaproponował drugi. Rozchylił marynarkę i dodał: - To była dwurzędówka za tysiąc pięćset funtów, zanim wpadłem do tej dziury!

Ich protesty jednak nie zrobiły na Ricku najmniejszego wrażenia. Chłopiec przyklękł na krawędzi studni i spytał: - Dlaczego nas śledzicie?

Kędzierzawy brunet z włosami na czole umazanymi błotem zachichotał. - To jest oczywiście pytanie z tych, na które nie możemy odpowiedzieć.

- Ha, w takim razie nic dla was nie mogę zrobić. Kobieta, która was schwytała, nie lubi obcych i jak pewnie zauważyliście, nie jest zbyt uszczęśliwiona waszym przybyciem.

- Ale nie możesz nas tu trzymać! Pada! Jest mnóstwo robaków!

- Istnieją przepisy międzynarodowe, jak należy traktować więźniów! Wymagają szacunku, nawet ci niedobrzy!

- No, to co byście powiedzieli, gdybyśmy spróbowali raz jeszcze? - zapytał spokojnie chłopiec. - Dlaczego nas śledzicie?

- A jeśli odpowiemy, to co za to dostaniemy?

Rick odbył cichą radę z osobą, której nie mogli widzieć, Dostrzegli tylko długą miedzianą lufę od strzelby. - Suche więzienie i coś ciepłego do zjedzenia - odrzekł w końcu.

Dwaj bracia Nożyce porozumieli się szybko wzrokiem. Byli całkowicie zgodni.

- Umowa stoi - odpowiedział kędzierzawy. - Jeśli już chcesz wiedzieć, jesteśmy obaj Podpalaczami.

Chłopiec niecierpliwie machnął ręką. - To wiedziałem od razu, ale co macie przeciwko nam?

- Ponieważ według naszego szefa stanowicie problem do rozwiązania.
- A kto jest waszym szefem?
- Nazywa się Wojnicz.
- Nie moglibyście mówić głośniej?
- Malariusz Wojnicz! - odkrzyknął kędzierzawy brunet.
- Ale naszym zdaniem - dorzucił blondyn - to tylko pseudonim. Czy możecie sobie wyobrazić rodzica, który nadaje synowi imię „Malariusz”?
- Chyba tylko po to, żeby wyglądał na jeszcze gorszego
- uzupełnił kędzierzawy.
- A dlaczego my stanowimy problem? - zapytał rzeczowo Rick.
- O to zapytajcie jego. My ograniczamy się tylko do wypełniania poleceń.
- A jakie dostaliście polecenie?
- Śledzić dziewczynę. Sprawdzić, dokąd pojechała. A jak już będziemy wiedzieć, to... Obydwaj Podpalacze w tym momencie się zawahali. Rick rzucił im wymowne spojrzenie i zrobił gest, jakby chciał odejść, a wtedy bracia pośpieszyli z dokończeniem zdania...
- spalić wszystko, co nam nie pasuje i wrócić do bazy.
- Piękne zadanie, nie ma co! - zawołał Rick, przykucając na krawędzi studni.
- Gdybyśmy wykonywali inne, nie nazywalibyśmy się tak, jak się nazywamy, nie uważasz?

Rick zastanawiał się chwilę, o co jeszcze mógłby spytać tych dwóch. Na koniec zadał pytanie, ilu ich jest.

- Jest nas dwóch, chłopcze, czyżbyś nie widział?
- Ale ilu was jest ogółem? Wszystkich Podpalaczy?
- Ach, o to ci chodzi... Dobre pytanie. No, to policzmy... My dwaj, stary Pires, potem jeszcze nasz kasjer, Eco, ci dwaj nowi Chińczycy, kierowca Wojnicza, to myślę, że około tuzina.
- I sami mężczyźni?
- Chyba żartujesz? - wybuchnął kędzierzawy. - To jasne, że sami mężczyźni. Co to byłby za klub ekskluzywny, gdyby dopuszczał kobiety?
- Nie można by nawet palić na zebraniach - dorzucił blondyn. - Możesz sobie wyobrazić klub amatorów cygar bez cygar?
- A poza tym przypominam ci, że my się zajmujemy likwidacją tego, co zbyteczne - wyjaśnił brunet. - Gdyby były kobiety... chcę powiedzieć, że wszyscy wiedzą, że kobiety i zbyteczne to synonimy!
- Dwunastu mężczyzn różnych narodowości, mizogi-nów, którzy mieszkają w Londynie... - podsumował Rick. - Co jeszcze powinienem wiedzieć?
- Nic! Nie ma już nic więcej do powiedzenia. To, co robimy to jest... odpowiednik robienia porządków.
- Właśnie. I jesteśmy bardzo ambitni w tym względzie.
- Jak rodzaj „lecniczego ognia” - dodał blondyn.

Rick zastanawiał się chwilę, o co jeszcze mógłby spytać tych dwóch. Na koniec zadał pytanie, ilu ich jest.

- Jest nas dwóch, chłopcze, czyżbyś nie widział?
- Ale ilu was jest ogółem? Wszystkich Podpalaczy?
- Ach, o to ci chodzi... Dobre pytanie. No, to policzmy... My dwaj, stary Pires, potem jeszcze nasz kasjer, Eco, ci dwaj nowi Chińczycy, kierowca Wojnicza, to myślę, że około tuzina.
- I sami mężczyźni?
- Chyba żartujesz? - wybuchnął kędzierzawy. - To jasne, że sami mężczyźni. Co to byłby za klub ekskluzywny, gdyby dopuszczał kobiety?

- Nie można by nawet palić na zebraniach - dorzucił blondyn. - Możesz sobie wyobrazić klub amatorów cygar bez cygar?

- A poza tym przypominam ci, że my się zajmujemy likwidacją tego, co zbyteczne - wyjaśnił brunet. - Gdyby były kobiety... chcę powiedzieć, że wszyscy wiedzą, że kobiety i zbyteczne to synonimy!

- Dwunastu mężczyzn różnych narodowości, mizoginów, którzy mieszkają w Londynie... - podsumował Rick. - Co jeszcze powinienem wiedzieć?

- Nic! Nie ma już nic więcej do powiedzenia. To, co robimy to jest... odpowiednik robienia porządków.

- Właśnie. I jesteśmy bardzo ambitni w tym względzie.

- Jak rodzaj „lecniczego ognia” - dodał blondyn., zawołał brunet. - Gdzie ja to już

- Lecniczy ogień czytałem?

- To trudne, bracie, bardzo trudne.

- Daniel Defoe? Dziennik roku zarazy?

- Ciepło, ciepło...

- Keats, Upadek Hyperiona\

- Jeden zero dla ciebie.

Kucając na krawędzi studni, Rick w osłupieniu obserwował dwóch mężczyzn, jak wielce uradowani wymieniają coś w rodzaju pozdrowienia. Rozejrzał się wokół. W pobliżu widział okrągły budynek, w którym zostawił Anitę w towarzystwie Zefira i przy otwartych drzwiach. Miał wielką ochotę zakończyć już to przesłuchanie dwóch braci i wrócić co prędzej do Anity, ale Ostatnia nie dawała mu wytchnąć. Kobieta z Arkadii miotła się zagniewana i przejęta, jakby to ona była uwięziona w klatce. Nagle się zatrzymała, podniosła z ziemi jeden z parasoli, który Podpalacze zgubili, i rzuciła go chłopcu.

Rick go rozłożył. Obaj mężczyźni w studni w jednej chwili zamarli.

- Może to nie jest najlepszy moment, wiesz? - odezwał się brunet.

- Dlaczego? - zdumiał się Rick. - Pada.

- Ale jest burza. A kiedy jest burza, biją też pioruny.

Rick przyglądał się parasolowi z wielką uwagą: był raczej ciężki, mimo że miał szkielet z aluminium. Rączka była masywna, a tuż pod haczykiem, który blokował złożone druty parasola, było kilka guziczków.

- Wygląda dosyć skomplikowanie jak na taki zwykły parasol...

- W rzeczywistości niewart jest połowy tego, co kosztuje

- pospieszył z wyjaśnieniem kędzierzawy brunet. - To najzwyklejszy parasol, doskonałej firmy, ale...

Rick skierował parasol w głąb studni i spytał znienacka.

- Co się stanie, jeśli naciśnę ten przycisk, tu?

- NIE! STÓJ! - wrzasnęli natychmiast obaj Podpalacze.

- NICZEGO NIE NACISKAJ!

Rick z powrotem skierował parasol ku górze. - Wydawało mi się, że ktoś mnie przed chwilą zapewniał, że to najzwyklejszy parasol...

Blondyn ciężko westchnął. - Jeśli obrócisz rączkę i pociągniesz, zamienia się w małego miotacza ognia.

- Ciekawe... - mruknął Rick.

- Nie myśl, że to Bóg wie co. Tylko dwa metry płomienia - wyjaśnił drugi brat.

- A jeżeli wcisnę przycisk?

- Przyciągniesz piorun - odpowiedział z rezygnacją brunet - i wiele wyładowań dokoła siebie.

Niebo rozbrzmiewało głucho grzmotami coraz to odleglejszymi, a deszcz nie padał już tak ulewnie. Rick podniósł wzrok na stojącą w pobliżu Ostatnią. Zauważył w jej twarzy jakiś

nowy wyraz. Wyraz, który mu się zupełnie nie spodobał. Kobieta przyklękła w trawie koło niego, spojrzała na parasol, a potem w głąb studni i na deszczowe niebo. I nagle schyliła się, żeby szeptem chłopcu słówko do ucha.

- Jak to weszła? - wybuchnął Rick. - A drzwi? - I nie czekając na odpowiedź, pobiegł w stronę drzwi koloru kości słoniowej.

Dwaj bracia Nożyce czekali, stojąc na deszczu, że coś się wydarzy, aż w końcu poddali się i zrezygnowani usiedli w błocie w przemoczonych ubraniach, przemoknięci do szpiku kości.

- Ciekawe, czy chociaż sobie przypomną o przyniesieniu czegoś do jedzenia? - mruknął niepokieszony brunet.

- Musimy pojechać do Nowego Jorku - westchnął blondyn. - Piękne auta, wspaniałe hotele. Najlepsze restauracje. Nie tutaj. Do Nowego Jorku!

nazwisko: Walter i Jonatan Scissors (Bracia Nożyce)

miejsce urodzenia: Londyn, 5 czerwca 1968; 10 września 1970 miejsce zamieszkania: Londyn

znaki szczególne: doskonale wykształcenie, snoby z bogatej rodziny. Wstąpili do Klubu Podpalaczy z ciekawości i dla podróżowania.

Rozdział 7

KORZENIE TAJEMNICY

Siedząc hie opodal okna w domku ogrodnika Willi Argo, ale na tyle w głębi pomieszczenia, że nikt z zewnątrz nie mógł go widzieć, Tommaso spoglądał na park i ciemną sylwetkę sięgającego ponad drzewa domu Moore'a. Po jego prawej stronie skalista grań raptownie przerywała gładki zarys terenu i ginęła w morzu. Za ledwie rozróżniał stąd poręcze schodków biegnących w dół na plażę, ale to mu wystarczało, żeby sobie przypomnieć jedną z pierwszych scen w książce Ulyssesa Moore'a, którą połknął łączywie: tę, w której Jason spadł w przepaść.

- Czemu się uśmiechasz? - spytał go Nestor, potrząsając energicznie garnkiem na ogniu.

- To naprawdę dziwne uczucie, być tutaj.

- Jak poszło z telefonem?

Tommaso skorzystał ze starego telefonu Nestora, z czarnego bakelitu, żeby zadzwonić do swego domu, do Wenecji i zapewnić, że czuje się dobrze. Była to rozmowa nerwowa, podczas której nie udało mu się dokończyć jednego zdania, podczas gdy jego mama nie zamilkła bodaj na moment. Tommaso obiecał jej, że wróci jak najszybciej i wyjaśni wszystko, a matka z płaczem przysięgła, że go nie skrzyczy.

Myśleli, że może uciekł z Anitą.

I to głównie go tak rozśmieszyło.

- Wielka specjalność domu! - oznajmił Nestor.

Po czym nalał na talerz porcję gotowanego ryżu, w którym pływała masa warzyw. Tommaso spróbował jego konsystencji łyżką, która ugrzęzła w tej papce.

- Ale tego w książkach nie było?

- Czasami wypada pominąć jakiś szczegół - zauważył ogrodnik. - W każdym razie, jeżeli także ty jesteś zdania, że Ulysses Moore gotuje fatalnie, to zawsze możesz pościć.

Tommaso nie zaprotestował. Ciastka od Chubbera zaspokoili jego pierwszy głód. Spojrzał na światła w kuchni państwa Covenant, gdzie Julia jadła kolację ze swoimi rodzicami, a następnie przeniósł spojrzenie na gospodarza domu.

- Czy oni naprawdę nic nie podejrzewają? - Miał na myśli rodziców Julii i Nestor doskonale o tym wiedział.

- A co mieliby podejrzewać?

- Że ich dzieci podróżują w czasie?

- Nie podróżują w czasie, podróżują i tyle.
- Tak, ale robią to poprzez Wrota Czasu - zauważył Tommaso.
- Zawsze to lepsze od wakacyjnego miasteczka.

Tommaso chwycił za łyżkę i wsunął ją w ryż. - Ale czy

wy nigdy nie zadaliście sobie pytania, jak to możliwe, że one tak działają?

- Setki razy. Właściwie codziennie.
- I nie znaleźliście odpowiedzi?
- Powiedzieliśmy sobie, że może to nie jest konieczne. - Nestor ułamał kawałek chleba, przypominający kamień i schrupał go. - Czy wiesz, czy nie wiesz, dlaczego pada, to nic nie zmienia. Tak czy owak, pada.

Żując nerwowo chleb i jedząc ryż z rozgotowanymi jarzynami, Nestor milczał przez chwilę, zanim powrócił do tematu. - Faktem jest, że te drzwi istnieją. Mieszkasz tu, otwierasz je, wchodzisz do środka. Są. I nie zostały zrobione przez kogoś obcego. Ani też nie są konstrukcją jakiejś bardzo dawnej zaginionej cywilizacji. Drzwi. Najzwyklejsze drzwi. Dlaczego istnieją? Czym są? Myślę, że aby odpowiedzieć na te pytania, musiałbyś najpierw zdać sobie sprawę z tego, kim jesteś i co tu robisz.

- Wygląda na jedną z tych spraw filozoficznych... Wstrętne - powiedział Tommaso, odsuwając od siebie talerz.

- „Wstrętne”, powiadasz? A tymczasem wcale nie byłoby źle, gdyby któreś z was, dzieci współczesnych, co jakiś czas natknęło się na trochę tych „spraw filozoficznych”.

- Mówilem o ryżu - wyjaśnił Tommaso. - Przepraszam, ale już naprawdę nie dam rady. Nestor wzruszył ramionami, zabrał mu talerz, przelał zawartość do swojego. - Kwestia przyzwyczajenia - zauważył.

- W każdym razie Kilmore Cove istnieje - powiedział Tommi.

Nestor przełknął ostatni kęs ryżowej papki, pozwalając chłopcu mówić dalej.

- A w Kilmore Cove istnieją drzwi. Drzwi prowadzą w inne miejsca. Jedne ładne, inne brzydkie. Jeśli drzwi są zamknięte, wszystko jest w porządku. W przeciwnym razie...

Nestor uniósł łyżkę. - W przeciwnym razie skończysz na odkryciu, że ta odrobina, którą wiesz o świecie, jest całkiem nieprawdziwa. I że chcesz zrozumieć, dlaczego. I stracisz na tym całe życie. A może nawet, jak Leonardowi, zagrozi ci śmierć.

Tommaso odczekał cierpliwie, aż stary ogrodnik skończy jeść, potem sięgnął po wielką tekę z fotografiami Domu Bazgrołów. - Może to będzie mogło nam pomóc w znalezieniu odpowiedzi.

- Bardzo wątpię, chłopcze. Ale jeśli chcesz, pokaż je.

Nestor sprzątnął ze stołu, a następnie usiadł z miną

niby to znudzoną, skrzyżował ręce na piersiach i oglądał fotografie rozkładane przez Tommasa na stole.

- O, tu - powiedział Tommaso, wskazując pierwsze zdjęcie. - To jest rysunek małego miasteczka. Mogłoby być naszym Miejscem z Wyobraźni.

- Nestor przytaknął. - Mogłoby.

- A tu widać dwóch mężczyzn, jak rąbią konary drzew. Zaraz dalej ci sami mężczyźni budują drzwi... Wrota Czasu?

- Albo komódkę.

Tommaso zignorował złośliwą odzywkę ogrodnika i ciągnął: - Moreau powiada, że do zrobienia drzwi potrzebne jest drewno z jakiegoś drzewa. Ale z jakiego? Ja myślę, że on to wie. I że to mówi. Cała część ściany jest pokryta gałęziami drzewa. Na gałęziach są wszystkie zwierzęta od kluczy. Proszę spojrzeć tu, można je policzyć...

Nestor to zrobił. - Jest ich więcej.

- Jest jedenaście. Dwanaście z trzema żółwiami, chyba że jest to symbol budowniczych drzwi. - Tommaso czuł, jak wzbiera w nim zapał, by podzielić się tym, co odkrył. - I rzeczywiście... - Wziął drugie zdjęcie. - Proszę spojrzeć tutaj. Drzewa są dwa. W tej części malowidła jakiś mężczyzna zbliża się do drzewa. A w drugiej - oddala się od niego. To ten sam mężczyzna, ale widok za jego plecami jest już inny: to są drzewa pozwalające przemieszczać się z jednego miejsca na drugie. Ale jakie to może być drzewo, tak szczególne? Oto odpowiedź wymalowana u podstawy schodów. Fotografia jest bardzo ciemna, ale... nie ma wątpliwości: drzewo ma korzenie zawieszane w powietrzu. Mało tego, ma korzenie na wietrze, widzisz te kreski? To wiatr. Z tego, co ja wiem z przeczytanych książek, to za każdym razem, jak się otwiera Wrota Czasu, pojawia się gwałtowny podmuch. To jest wiatr łączący dwa światy. A korzenie drzew trzymają je złączone.

Posłyszeli cichutkie pukanie, co wystarczyło, żeby Tommaso podskoczył.

- To Julia - wyjaśnił Nestor spokojnie.

Skoro tylko Tommaso wstał od stołu, żeby otworzyć drzwi, właściciel Willi Argo pochwycił zdjęcie i zaczął mu się bardzo uważnie przyglądać. Nie było wątpliwości. Chłopiec się nie mylił. A to, co odkrył, było - krótko mówiąc - wstrząsające. Może się doczekał pierwszej odpowiedzi po latach bezskutecznych poszukiwań? Dwa drzewa. Wiatr między ich korzeniami. A zatem?

A zatem powinien zabrać się do roboty. Odszedł od stołu i pokuśtykał w głąb mieszkania po dwie książki.

- Coś mnie ominęło? - spytała Julia, wchodząc do domu.

- Och, nic wielkiego, tylko instrukcje budowy Wrót Czasu - odparł Tommaso z uśmiechem satysfakcji.

- To znaczy?

- Cóż, najpierw musimy znaleźć drzewo z korzeniami na wietrze.

- Hmm... A co o tym sądzi Nestor?

Chłopiec wzruszył ramionami.

Podeszli do stołu, z którego posprzątał Nestor. Julia nawet się z nim nie przywitała, wiedząc doskonale, że zasady dobrego wychowania specjalnie go nie obchodzą. Zauważyła, że kartkuje nerwowo potężną księgę. Znała ją, to był Inwentarz alfabetyczny przedmiotów niemożliwych.

- A, to są te fotografie? Ciemne.

Tommaso też tak uważał. Ale to było wszystko, co w danej chwili mieli do dyspozycji.

- No proszę, wiedziałem - gderał Nestor. - Znajdź tu teraz coś.

- Czego szukałeś? - spytała go Julia z delikatną nutką perfidnej satysfakcji w głosie.

- Szukałem pewnego drzewa, ale w Inwentarzu napisali, że roślin i kwiatów niemożliwych należy szukać w dziele zatytułowanym Nie siej od rzeczy. Zielnik roślin nigdy nie zasadzonych, w jedynym wydaniu angielskim z 1793 roku.

- A my oczywiście tego nie mamy... - domyśliła się Julia.

- Mamy, mamy. Ale jest w twoim domu - burknął Nestor.

- Jeśli chcesz, pójdę po nią.

- Nie. Sam pójdę. Ty posłuchaj wyjaśnień Tommasa, czy poza drzewem odkrył coś jeszcze. Ja w tym czasie spróbuję nie wpaść na twego tatę w nocnej koszuli...

Chwilę potem Nestor wyszedł z domku i pokuśtykał, ginąc w mroku parku, mijając stary jesion, cichutko drżący na wietrze.

- Zawsze jest taki? - spytał Tommaso, kiedy pozostali sami z Julią.

- O nie. Dzisiaj jest w dobrym humorze - odpowiedziała dziewczynka.

Potem otworzyła zeszyt Morice'a Moreau, wyniesiony z domu Kalipso i położyła go sobie na kolanach w nadziei, że coś się w nim pokaże. Ale miejsca w ramkach były ciągle puste do

tego stopnia, że Julia zaczęła wątpić, czy ten egzemplarz zeszytu aby posiada te same właściwości, co dwa pozostałe.

I czy na pewno jest książką oknem.

- Inną ciekawą sprawą jest ta kopalnia... - wyjaśniał tymczasem Tommaso. - widzisz tutaj? Moreau maluje pionowe pęknięcie w skale z dziurami, przez które wychodzą ludzie...

- Którzy niosą kamienie.

- Właśnie. Kamienie trafiają do czegoś, co wygląda na piec, tutaj, a płyn który wypływa tędy na zewnątrz, powinien być, według wszelkiej logiki, stopionym metalem. Potem metal wlewa się w formy i w końcu otrzymuje się...

- Klucz... - wyszeptała Julia, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

- I zamek - dodał Tommaso. - Oba odlane z tego samego minerału.

Zamyślona Julia przytaknęła. - A zwierzęta? Dlaczego Moreau namalował wszystkie zwierzęta?

- Tego jeszcze nie wiem - odpowiedział chłopiec. Ale a propos zwierząt, jest coś, co według mnie jest ważne i co musisz zobaczyć.

Tommaso szperał w fotografiach przez kilka sekund, przysuwając jedne, a odsuwając drugie i w końcu spojrzął z zadowoleniem na rezultat. - O, tu. Widzisz?

- Co?

- Wszystkie zwierzęta na fresku patrzą w jeden punkt.

- To prawda... ale brakuje najważniejszego szczegółu. Co tam jest?

Tommaso znowu zaczął szperać wśród fotografii. - To jest część fresku, którą próbowałem zamazać farbą. Żeby Podpalacze nie zobaczyli...

Znalazł w końcu to, czego szukał i podsunął przed oczy dziewczynki.

- Wygląda na... - wyszeptała z niedowierzaniem Julia.

- Labirynt - ubiegł ją Tommaso.

Rozdział 8

CZARNA DOLINA

Woda.

Ciemność.

Posadzka za drzwiami koloru kości słoniowej była mokra: strumyki wody przeciskały się między skałami, wartko spływając w ciemność. Szereg pochodni z niebieskim płomieniem oświetlał swym widmowym światłem wąski korytarz.

Anita przemierzyła go niepewnym krokiem, a kiedy dotarła do końca, zobaczyła, że stoi wobec pustki: za mrocznym sklepieniem wykutym w skale był już tylko skraj ciemnej otchłani, głęboka szczelina powstała nie wiadomo kiedy w samych trzewiach Ziemi.

Spojrzała w dół i poczuła się ogarnięta przez tę pustkę. Absolutną i potężną. Pustkę lekką, lżejszą od powietrza, na którym się opierała.

A na samym skraju tej pustki, o parę kroków od niej, stał Jason.

- Coś sporo czasu ci zajęło, zanim zdecydowałaś się przyjść tutaj - powiedział.

W tym mroku Jason Covenant wydawał się czymś niewiele większym od ciemnej plamy. Ale Anita zdołała rozróżnić potargane włosy spadające mu na oczy i kilka warstw ubrania niedbale naciągniętych jedna na drugą, w które był opatulony jak strach na wróble.

A jednak wokół niego pustka traciła swoją moc. I ciemność rzedła.

To był Jason.

Anita natychmiast zapomniała o wielkim wyczerpaniu i trudach tego niekończącego się dnia, jak również o małych złośliwościach, jakie sobie z Jasonem prawili, gdy się zbliżali do Kraju, który umiera. Wybiegła mu naprzeciw i dała się objąć uradowana uściskiem jego szczupłych, ale muskularnych ramion. Przytuliła się do jego chudej piersi przez warstwę koszulek.

- Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę! - zawołała głosem drżącym ze wzruszenia.
- A ja myślałem, że nigdy tędy nie wejdiesz.
- Rick pomyśli, że oszalałam. Ja też zaczynam tak myśleć.
- Dokonałeś słusznego wyboru.

Jason głaskał ją po włosach delikatnie i Anita natychmiast poczuła się bezpiecznie, jakby się znalazła pod opieką kogoś dorosłego. Choć nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć, była spokojniejsza w ciemnościach tego nieznanego i niegościnnego miejsca w towarzystwie impulsywnego i nieprzewidywalnego chłopca niż w Arkadii, przy Ricku.

- Rick nie przyjdzie, prawda? - Jason niby zapytał, ale znał odpowiedź z góry.

Anita spojrzała na niego i potrząsnęła przecząco głową.

Potem powiedziała mu o ich pomysle, żeby użyć zeszytu Morice'a Moreau do porozumiewania się i Jason uznał, że to świetny pomysł. Otworzyli więc zeszyt i zaczęli go kartkować w nadziei, że jakiś czytelnik robi w tym samym momencie dokładnie to samo. W jednej z ramek była narysowana przerażona kobieta, oglądająca się za siebie: to Ostatnia otworzyła zeszyt.

Anita szybko przyłożyła palce do rysunku i jej umysł wszedł w kontakt z myślami kobiety z Arkadii. Były to mroczne myśli. Poczuła instynktownie niepokój Ostatniej. Jej lęk.

- Nie powinnaś się zamartwiać! - próbowała ją uspokoić. - Przeszłam przez drzwi i czuję się dobrze. Jason jest tutaj, ze mną i też czuję się dobrze.

Łączność z myślami Ostatniej gwałtownie się urwała i chwilę potem Anita poczuła czyjąś obecność. To był Rick. I wyglądał na wściekłego.

- Wyjaśnij mi, u licha, co ci strzeliło do głowy? - krzyczał wzburzony za pośrednictwem kartki w zeszycie.

- Nie wiem, Rick. Wiem tylko tyle, że musiałam to zrobić - wyznała Anita i spojrzała na Jasona, szukając wsparcia.

Jason przyklęknął koło niej i podpowiadał: - Powiedz mu, żeby się nie przejmował, żeby zaczekał na nas. Powiedz mu, że wrócimy ze wszystkim, co trzeba.

Anita mu to przekazała, a Rick zapytał: - Co zamierzacie zrobić?

- No cóż, powiedziałabym, że nie mamy wielkiego wyboru - odpowiedziała dziewczynka i obróciła się w stronę świetlistej i złocistej sylwetki Zefira. Olbrzym stał nieruchomo kilka kroków przed nimi, na ścieżce. Czekał na nich.

- Czy to będzie rozsądne? - wyszeptala Anita, zwracając się do Jasona.

- Zapomnij o rozsądku - uśmiechnął się chłopiec i delikatnie pocałował ją w usta.

Zamknęli zeszyt, obiecawszy wpierw Rickowi, że pozostaną z nim w stałym kontakcie.

Ruszyli więc za swoim przewodnikiem. Wąska ścieżka biegła po krawędzi urwiska i musieli posuwać się gęsiego, bardzo uważając, gdzie stawiają stopy. W niektórych miejscach przejście zwężało się tak, że zamieniało się w wąski

gzyms wycięty w skale jak blizna, a tak niewielki, że prawie nie mieściły się na nim obie stopy. Ścieżka wiodła w dół, w ciemność, w mrok dziwnie jednak świecący, który zdawał się odbijać złocistość emanującą ze skóry Zefira. Nie było widać nic. Jedyne, co wyraźnie do nich docierało, to poczucie pustki i upadku. A potem, w miarę jak posuwali się wolno ścieżką czy zstępowali po wysokich stopniach, zaczęło dochodzić do ich uszu odległe bulgotanie jakby płynącej wody. Rzeka? Podziemny strumyk? Niemożliwe do określenia. Anita szurała nogami, naśladując kroki ich przewodnika, a Jason tuż za nią robił dokładnie to samo. Od czasu do czasu opierał rękę na jej ramieniu, albo dotykał jej palców. Wtedy przystawali na moment i wymieniali półgłosem kilka słów dla dodania sobie odwagi, zanim skupieni i milczący podejmowali dalszą drogę.

O Arkadii i o drzwiach koloru kości słoniowej zapomnieli w ciągu kilku minut, a może kilku godzin marszu, pochłonięci przez nieprzeniknione ciemności skalnej rozpadliny. Po niezliczonych zakrętach, ścieżka doprowadziła ich do pierwszych mieszkań. Były to raczej

jamy wykute w skale. Puste koliste wnętrza, czarniejsze od czerni otaczającego ich mroku, które się rozwierały nad urwiskiem niczym potężne gardziele z rozwartymi szczękami. Miasteczko zostało porzucone nie wiadomo kiedy, ale kiedyś ktoś musiał tu mieszkać: na ziemi wały się resztki gzyms wycięty w skale jak blizna, a tak niewielki, że prawie nie mieściły się na nim obie stopy. Ścieżka wiodła w dół, w ciemność, w mrok dziwnie jednak świecący, który zdawał się odbijać złocistość emanującą ze skóry Zefira. Nie było widać nic. Jedyne, co wyraźnie do nich docierało, to poczucie pustki i upadku. A potem, w miarę jak posuwali się wolno ścieżką czy zstępowali po wysokich stopniach, zaczęło dochodzić do ich uszu odległe bulgotanie jakby płynącej wody. Rzeka? Podziemny strumyk? Niemożliwe do określenia. Anita szurała nogami, naśladując kroki ich przewodnika, a Jason tuż za nią robił dokładnie to samo. Od czasu do czasu opierał rękę na jej ramieniu, albo dotykał jej palców. Wtedy przystawali na moment i wymieniali półgłosem kilka słów dla dodania sobie odwagi, zanim skupieni i milczący podejmowali dalszą drogę.

O Arkadii i o drzwiach koloru kości słoniowej zapomnieli w ciągu kilku minut, a może kilku godzin marszu, pochłonięci przez nieprzeniknione ciemności skalnej rozpadliny. Po niezliczonych zakrętach, ścieżka doprowadziła ich do pierwszych mieszkań. Były to raczej jamy wykute w skale. Puste koliste wnętrza, czarniejsze od czerni otaczającego ich mroku, które się rozwierały nad urwiskiem niczym potężne gardziele z rozwartymi szczękami. Miasteczko zostało porzucone nie wiadomo kiedy, ale kiedyś ktoś musiał tu mieszkać: na ziemi wały się resztki połamanych sprzętów, skorupy naczyń, groty strzał. A na kamiennych ścianach widniały stylizowane malowidła zwierząt i myśliwych uzbrojonych we włócznie. Jak naskalne malowidła prehistoryczne.

Anita pogłaskała ręką rysunki i wydało się jej, co więcej, była pewna, że czuje, jak pod jej palcami płynie czas. Był to czas kolisty, który nigdy się nie zmieniał, lecz biegł bez końca, w koło, swoim torem, zawsze taki sam, wiek za wiekiem.

„Powietrze tu dokoła ma w sobie coś pradawnego” pomyślała, zanim ruszyła dalej.

Niżej natrafili na siedziby jeszcze większe: ogromne jaskinie wykute w skale, budowle wiszące nad przepaścią, potężne i bezużyteczne arkady. W pewnych miejscach ścieżka zamieniała się w mostek między dwiema przepaściami i musieli mieć oczy zwrócone w kierunku stóp, żeby nie stracić równowagi.

Doszli do rozwidlenia dróg, pierwszego, odkąd zaczęli schodzić.

Zefir wybrał ścieżkę, która schodziła w dół.

Ta droga, jak powiedział, prowadziła do miasteczka, w którym się urodził.

- Co to jest Labirynt, Zefirze? - spytał nagle Jason, kiedy zapadła wokół nich jeszcze gęstsza ciemność, czarna jak smoła.

- To jest długi mur - odpowiedział po prostu złocisty olbrzym.

- Wspomniałeś, że ktoś ci mówił, co znajduje się za murem - wtrąciła Anita. - Kto to taki?

- Moi mistrzowie, oczywiście. Ci sami, którzy mnie nauczyli mówić na sposób starodawny, rymując. - Zefir szedł dalej chwiejnym krokiem. - Oni też nauczyli mnie rozpoznawać ścieżki prowadzące do wejść do Labiryntu. I te, które prowadzą donikąd.

- Jak są zrobione wejścia do Labiryntu? - Tym razem to Jason zadał pytanie.

- Jak to, przez które weszliście tutaj.

- To znaczy, że są to też drzwi?

- Właśnie, drzwi. I jeżeli będziemy mogli wejść, odkryję przed wami wszystko to, czego mnie nauczono. Ale też nauczono mnie i tego, że nie wolno mi powiedzieć ani słowa, zanim nie przekroczymy wejścia. Wszystko, co mi wolno powiedzieć już teraz, to to, że Labirynt jest bardzo głęboki. I bardzo, bardzo stary.

- Stary jak... Wrota Czasu?

- Och, nie! O wiele starszy - uśmiechnął się Zefir. - Labirynt jest wcześniejszy. Kiedy zbudowano drzwi, Labirynt od dawna już istniał.

- A skąd to wiesz?

- Nie wiem, doprawdy.

W końcu dotarli do dna i zaczęli się ślizgać.

Czarna zwarta skała pod ich stopami ustąpiła miejsca tłuczniowi z błyszczących minerałów, a nieco dalej ścieżka wciskała się między szeregi geometrycznych i podłużnych skał, błyszczących jak kryształy kwarcu.

Temperatura powietrza spadła prawie tak jak w zimie, a szum wody nasilił się.

- Jesteśmy niemal na miejscu - mruknął Zefir, torując sobie drogę w płataninie ścieżek, które biegły we wszystkie strony.

Teraz, kiedy już oczy Anity i Jasona przywykły do ciemności, mogli lepiej rozróżnić regularne formy geometryczne w oddali: wyglądały one jak zabudowania na terenie miasta bez świateł albo jak prostokątne wejścia do tuneli rozwarte nad mroczną i przepastną rozpadliną.

Skacząc z jednej skały jak kryształ na drugą, dotarli w końcu do rzeki płynącej w głębi. Od jej szarych i wzburzonych wód biło polarnym chłodem.

Zefir nabrał trochę tego lodowatego płynu do pojemnika i wsunął go sobie pod ubranie, żeby woda się trochę ogrzała przed wypiciem.

Potem podprowadził ich do czegoś w rodzaju pomostu, przy którym było przycumowanych kilka łodzi.

Kołysały się łagodnie na rwącej rzece, przymocowane liną do jednego z metalowych palików wbitych między kryształowe skały. Na każdy palik była nasadzona czaszka, jak makabryczna przestroga.

- Oto i bramy Labiryntu - oznajmił Zefir, wskazując miejsce po drugiej stronie rzeki.

Anita przytuliła się do Jasona. A on do niej. Niełatwo było cokolwiek dostrzec w otaczającej ich szarości, ciemnej jak węglowy pył. Kilka kroków od nich groźnie kipiał nurt rzeki.

Stopniowo, na drugim brzegu rzeki, dostrzegli pięć pomostów. A za pomostami pięć stopni. I u szczytu schodów pięcioro drzwi.

Potem Anita zauważyła coś dziwnego, jakieś białe odbłaski wydające się nie na miejscu pośród całej tej szarości.

Przyjrzała się uważniej. I przeraziła się; każdy centymetr kwadratowy tych schodów, pomostów i drzwi pokrywały kości.

Zefir podał im manierkę z wodą, ale Anita nie mogła pić, była w szoku. Milczeli długo, dopóki Jason nie odważył się zapytać: - Skąd tu te wszystkie kości?

- Wielu próbowało wejść - wyjaśnił Zefir.

- Ale dlaczego nie zawrócili?

- Z tego samego powodu, dla którego wy nie możecie zawrócić do drzwi w kolorze kości słoniowej - odparł olbrzym. - Rzekę przekracza się tylko w jednym kierunku.

- A jak się wylądzuje na drugim brzegu...?

- Nie ma niczego. Niczego do jedzenia. Powiadają, że nie ma nawet powietrza do oddychania. Tylko drzwi. Pięcioro tu, naprzeciwko. Pięcioro wiele kilometrów dalej, płynąc w górę rzeki. Pięcioro w dole, w innej stronie. Możemy tam też pójść, jeżeli chcecie. Ale to jest wszystko, co znajdziecie. .. Zefir się uśmiechnął. - Pięcioro drzwi, pięć schodów i pięć łodzi.

Jasonowi przypomniała się grota w skale u stóp Willi Argo. Była imitacją tego, co widzieli teraz przed sobą, tyle że w zmniejszonej skali. Odgałęzienie wody, łódź, schody i drzwi po drugiej stronie. Pomyślał znowu o systemie korytarzy ciągnących się pod Willą Argo i wyobraził sobie, że oba miejsca musiały zostać zaprojektowane przez ten sam twórczy umysł.

„Willa Argo została zbudowana nad Labiryntem” - ołśniło go.

Potem pomyślał o kolekcji miniaturowych modeli łodzi, jaką Ulysses Moore trzymał w pokoju w wieżycze i zapytał się w myśli, czy stary wilk morski nie wiedział czegoś o tych podziemiach.

Które były dawniejsze od drzwi.

I może też wcześniejsze niż wszystkie inne miejsca z wyobraźni.

„Tak” pomyślał Jason. „On musi wiedzieć coś, o czym nigdy nikomu nie powiedział”.

Albo może wiedzieli to jego przodkowie.

„Ale co to jest ten Labirynt? Czego aż tak ważnego strzeże?” - zapytywał siebie kolejny raz, nie umiając sobie na to odpowiedzieć.

Anita obok niego poruszyła leciutko głową.

Wyglądała na bardzo zmęczoną.

Kiedy zdecydowała się przekroczyć próg drzwi w kolorze kości słoniowej i pójść za Jasonem, nie wyobrażała sobie, że mogłaby trafić w podobne miejsce. I znaleźć się w tak rozpaczliwej sytuacji.

- Myślę, że musimy poprosić o pomoc, Jasonie - powiedziała cichutko, przyklękając na ziemi.

Lśniące kryształy skał były zimne i raniące.

Jeszcze raz Anita położyła zeszyt przed sobą i zrobiła ruch, by go otworzyć.

Ale dokładnie w tej samej chwili idący przodem Zefir odwrócił się w ich stronę.

- Istnieje dwadzieścia reguł związanych z wejściem -oznajmił beznamiętnie, jakby powtarzał mechanicznie wyuczoną na pamięć lekcję. Dwadzieścia. Ani mniej, ani więcej.

- A jakie to reguły? - spytał go Jason, czując rosnące podniecenie.

Złocisty gigant obrócił się plecami do dzieci i pomału, spokojnie wyrecytował:

1. Każde drzwi mają inny kolor.
2. Każde drzwi prowadzą w inne miejsce.
3. Każde miejsce ma charakterystyczną łódź, charakterystyczne zwierzę i charakterystyczny napój.
4. Żadne miejsce nie ma takiej samej łodzi, takiego samego zwierzęcia ani takiego samego napoju.
5. Mieszkańcy Kilmore Cove wchodzą przez drzwi czerwone.
6. Mieszkańcy Atlantydy lubią ryby.
7. W Eldorado pije się herbatę.
8. Drzwi zielone znajdują się po lewej stronie drzwi białych.
9. Ci, co wchodzą przez drzwi zielone, piją kawę.
10. Ci, co wchodzą przez drzwi żółte, pływają dżonką.
11. Ci, co pływają na łodziach wikingów, hodują jeżo-zwierza.
12. Ci, co wchodzą przez drzwi w środku, piją mleko.
13. Egipcjanie w Puncie wchodzą przez pierwsze drzwi.
14. Ci, co pływają na pirodze, żyją u boku tych, którzy lubią koty.
15. Ci, co lubią małpy, żyją u boku tych, którzy pływają na dżonce.
16. Ci, co pływają na grzbiecie wieloryba, piją lemoniadę.
17. Mieszkańcy Wyspy Snów pływają na zwykłej tratwie.
18. Egipcjanie w Puncie mieszkają obok drzwi niebieskich.
19. Ci, co pływają na pirodze, mają sąsiadów, pijących tylko wodę.

Zefir nagle urwał.

- A dwudziesta? - spytał Jason po chwili oczekiwania.

Przewodnik wbił w niego swój magnetyczny wzrok i odpowiedział powoli szeptem.

- Dwudziesta reguła brzmi następująco: Teraz, kiedy już wiesz to wszystko, czy potrafisz mi powiedzieć, kto kocha kruki?*

** Nota od redakcji: Drogi Czytelniku, te dwadzieścia reguł stanowi zagadkę również i dla Ciebie. Jeśli chcesz wypróbować swoje zdolności w rozszyfrowywaniu tajemnych kodów i zostać strażnikiem Wrót Czasu, spróbuj rozwiązać ją samemu.*

Rozdział 9 TELEFON DONIKĄD

Jeżeli było coś, czego Malariusz Wojnicz nienawidził całym sobą, to były to podróże. I jeśli było coś, czego w podróżach nienawidził najbardziej (w tych rzadkich wypadkach, kiedy wbrew sobie musiał wyruszyć w drogę), to było nietrafianie tam, dokąd chciał trafić. Sytuacja była następująca: czarny Bentley Podpalaczy, którego Wojnicz sam nabył w Aberdeen za oszałamiającą cenę od pewnego miliardera włoskiego, poszukiwacza przygód na morzach Północy, stał właśnie porzucony na opustoszałym trawiastym płaskowyżu, leniwie opadającym w stronę morza. Gdzieś za ich plecami znajdowało się miasteczko Zennor. Przed nimi ciągle to samo skrzyżowanie, przez które przejeżdżali już dziesięć razy. Po prawej (albo po lewej, zależnie od kierunku, w którym Wojnicz akurat szedł, kręcąc się tam i z powrotem, wzburzony i wściekły), tarcza słońca powoli chowała się za fale morskie. Czy może już się schowała?

Trudno powiedzieć, zważywszy że niebo na horyzoncie pokrywała warstwa czerwonych chmur.

Zdolna wzniecić pożar w duszy,

Kierowca Podpalaczy siadł sobie najspokojniej na skraju drogi i zapalił cygaro, jak w scenariuszu filmowym. Spokojny i pogodny raczył się widokiem zachodzącego słońca. Jakby wszystko było w najlepszym porządku. Całkiem normalnie. Tymczasem Wojnicz miał ochotę użyć jego pustej makówki jak piłki do golfa i posłać ją wprost do morza.

Cały się gotował, pienił z wściekłości, wprost ziejąc ogniem z każdego pora w skórze. Przystanął dwa kroki od kierowcy, skrzypiąc na kamykach swoimi lśniącymi mokasynami (były lśniące, zanim zaczął się kręcić tam i z powrotem po polnej drodze dla uspokojenia). Wbił wzrok pełen nienawiści w plecy swojego podwładnego, który nawet się nie obrócił, paląc nadal z satysfakcją ulubione cygaro.

- Domyślasz się zapewne, że jesteś zwolniony? - wysyczał szef Podpalaczy głosem drżącym z wściekłości i bezradności.

- Mnie tam pasuje - odpowiedział najspokojniej kierowca. - Co więcej, jeśli pan sobie życzy, to mogę panu zostawić kluczyki od samochodu.

„Oo, jasne” pomyślał sobie Wojnicz. „Jaki z niego łaskaw-ca, może mi nawet zostawić kluczyki. Jakby nie wiedział, że nie umiem prowadzić. I że się znajdujemy nie wiadomo gdzie”.

Nie wiadomo gdzie i na dodatek zalatywało gnojem. A przy samej ziemi było słychać podejrzany szmer jakby tysiąca owadów. Małeńkie brzęczące byty ukrywające się w trawie i z werwą cykające wraz z nadejściem nocy.

Wojnicz rzucił spojrzeniem w prawo i w lewo, wyobrażając sobie, jak to zielone pole zmienia się w jedno popielisko i ta myśl go uradowała. Potem, podniesiony na duchu tym momentem radości, wrócił myślami do kierowcy.

- Wiesz, że jesteś nieudacznikiem?

Kierowca zaciągnął się głęboko dymem z cygara.

- Jesteś największą ofermą pośród wszystkich kierowców na całym świecie.

- Drogę pilotował pan - przypomniał delikatnie kierowca Wojniczowi i nawet na chwilę nie oderwał wzroku od zachodzącego słońca.

- Co chciałeś przez to powiedzieć?

- A to, że może i jestem ofermą, ale panu też się niezbyt udało.

Malariusz Wojnicz zacisnął pięści. Ścisnął je tak mocno, że wbił sobie paznokcie w skórę, aż niewiele brakowało, by ją przebiły do krwi. Ale nie odezwał się słowem.

W każdej innej sytuacji, w Londynie, zmusiłby kierowcę do małej przechadzki w kanałach pod Tamizą czy, korzystając z pierwszej lepszej burzy, obróciłby mu w popiół dom albo zrobił z jego psów zwęglone szaszłyczki.

Ale tu, w tym irytującym nie wiadomo gdzie, musiał skapitulować, zważywszy że ta skończona ofermą to jedyny człowiek mogący go odstawić do domu. Albo gdziekolwiek indziej, byle z dala od tej wstrętnej i niegościnniej wsi pozbawionej cywilizacji.

Słowem musiał żyć.

- Dwie godziny krążyłeś - wycodził wściekły Malariusz Wojnicz, wskazując drogę, która z jednej strony biegła ku morzu, a z drugiej - ku zalesionym wzgórzom

- Krążyliśmy - poprawił go kierowca.

- Ono nie mogło nam umknąć.

- Może to przeklęte miasteczko nie istnieje - zaryzykował kierowca, zaciągając się dymem.

- Jasne, że istnieje! Nie dalej niż wczoraj byli w nim bracia Nożyce!

- To podpalili je. Albo opowiedzieli panu nieprawdę. Albo może i jest, ale nie w Anglii.

- Kilmore Cove - krzyknął zirytowany Wojnicz - jest w Anglii, w pobliżu Zennor, ofermo!

Coś zadzwieczało między palcami kierowcy. - Oto kluczyki. A to jest samochód. Droga... wzgórze. Proszę zrobić, co pan uważa za stosowne.

Straszliwie rozdrażniony Wojnicz pochwycił kluczyki i obszedł wkoło samochód. Złapał za klamkę i szarpiąc się z nią, niemal zwichnął sobie ramię.

- Musi pan najpierw wyłączyć alarm - przypomniał mu niewzruszony kierowca.

Wojnicz wysilił się, by policzyć do dziesięciu i głęboko oddychać. Ale gdy doszedł do trzech, rzucił kluczykami ze wszystkich sił na drogę, aż prześlizgnęły się po białych okrągłych kamieniach.

Potem odezwała się jego komórka.

To dzwonił Eco.

- Czego? - prawie krzyknął do słuchawki Wojnicz.

- To ja, szefie...

- To słyszę, niestety, ale jeszcze zechciej mi pan powiedzieć, czego u diabła chcesz?

- Do licha! Nie sądzi pan, że mógłby pan zacząć rozmowę nieco grzeczniej? Może czymś w rodzaju „Co słyszać? Czy wszystko w porządku? Miło mi pana słyszeć...”

Wojnicz się rozłączył.

Po czym skierował się na drogę w poszukiwaniu kluczyków. Czy to możliwe, zapytywał sam siebie, żeby był otoczony podobnymi ofermami? Czego u licha chciał ten nadęty balon, Eco?

Jeszcze jeden apartament w hotelu

Coś zadzwieczało między palcami kierowcy. - Oto kluczyki. A to jest samochód. Droga... wzgórze. Proszę zrobić, co pan uważa za stosowne.

Straszliwie rozdrażniony Wojnicz pochwycił kluczyki i obszedł wkoło samochód. Złapał za klamkę i szarpiąc się z nią, niemal zwichnął sobie ramię.

- Musi pan najpierw wyłączyć alarm - przypomniał mu niewzruszony kierowca.

Wojnicz wysilił się, by policzyć do dziesięciu i głęboko oddychać. Ale gdy doszedł do trzech, rzucił kluczykami ze wszystkich sił na drogę, aż prześlizgnęły się po białych okrągłych kamieniach.

Potem odezwała się jego komórka.

To dzwonił Eco.

- Czego? - prawie krzyknął do słuchawki Wojnicz.
 - To ja, szefie...
 - To słyszę, niestety, ale jeszcze zechciej mi pan powiedzieć, czego u diabła chcesz?
 - Do licha! Nie sądzi pan, że mógłby pan zacząć rozmowę nieco grzeczniej? Może czymś w rodzaju „Co słyszać? Czy wszystko w porządku? Miło mi pana słyszeć...”
- Wojnicz się rozłączył.

Po czym skierował się na drogę w poszukiwaniu kluczyków. Czy to możliwe, zapytywał sam siebie, żeby był otoczony podobnymi ofermami? Czego u licha chciał ten nadęty balon, Eco? Jeszcze jeden apartament w hotelu

Danieli? Bilety na premierę teatralną? A może kierowca był z jego polecenia? Czy nie jest to przypadkiem siostrzeniec starego Piresa, majordoma klubu?

W tej chwili był pewien tylko dwóch rzeczy, że nie miał najmniejszego zamiaru wysłuchiwać żalów Eca i że kierowca był patentowanym durniem niezdolnym do znalezienia dziury w rodzaju Kilmore Cove w dziurze, jaką była cała Kornwalia.

Z drugiej strony cała ta beznadziejna sytuacja, w jakiej się znalazł, potwierdzała jedynie jego teorię, że Kilmore Cove nie istnieje. Nigdy nie istniało. I że cała ta historia Ulyssesa Moore'a, zwariowanych malarzy i gadających zeszytów była czystym wymysłem.

Żartem.

Oszustwem.

Nie mówiąc o...

Znowu komórka. Znowu Eco.

- Bardzo pana proszę, niech mnie pan wysłucha, doktorze Wojnicz, teraz, ja...
- Radź pan sobie sam - warknął Makariusz Wojnicz i znowu się rozłączył. To nie był czas na gadanie. Całkiem nie. Niech podejmie sam decyzję. Niech spali ten przeklęty Dom Bazgrołów. Niech całą Wenecję pochłonie wysoka fala! Nic go to nie obchodziło!

Za trzecim dzwonkiem odebrał komórkę, nie patrząc nawet na nią.

- Zabiję cię - powiedział lodowatym głosem. - Jak tylko cię spotkam, zabiję cię.

Po tamtej stronie zapadła długa cisza. Długa, przesywająca i groźna. Bardzo groźna.

Do umysłu Malariusza Wojnicza zaczęła pomału docierać świadomość popełnienia straszliwej pomyłki, gdy piskliwy, kwaśny jak cytryna głosik zapytał: - Mariusz?

Szefowi Podpalaczy wystarczył tylko jeden rzut oka na display komórki, by mieć pewność, że to mówi jego siostra, pani doktor Viviana Wojnicz. Inaczej zwana „pielęgniarką diabła” z uwagi na swój niezbyt łagodny i niezbyt ustępliwy charakter. Pięć lat starsza od brata. Niegdyś wzorowa studentka. Niegdyś wzorowa profesorka uniwersytetu. Superprestizowy pełnomocnik w międzynarodowej komisji medycznej. Stara panna bez zarzutu. Jednym słowem jędza.

- Czy ja dobrze słyszałam, Mariuszu? - odezwał się ponownie kwaśny głosik.
- Viviana Wojnicz uważała się za ostatnią przedstawicielkę rodziny, jakby jej brat nie istniał. Zgotowała mu dzieciństwo w strachu i młodość jeszcze bardziej dramatyczną. Była dyktatorką zdecydowaną nie odstąpić ani na milimetr od żadnego ze swych żelaznych przekonań.

- Vivi! Co za niespodzianka! - powitał siostrę doktor Wojnicz. - Nie spodziewałem się tego telefonu. Wybrałaś paskudny moment, wiesz?

- Mariusz, czy ja dobrze słyszałam? - powtórzyła niewzruszenie jego siostra.
- Viviana potrafiła powtarzać to samo zdanie sto razy. Zawsze tak robiła. Powtarzała, powtarzała aż do zupełnego wykończenia przeciwnika. Aż do zmuszenia go, by powiedział to, na co ona czekała.

Złość, która opanowała szefa Podpalaczy, znalazła sobie ujście najpierw na jednej brwi, następnie na drugiej, aż w ciągu kilku sekund przez twarz Malariusza Wojnicza przebiegło dziesięć różnych tików nerwowych.

- Czy ja dobrze słyszałam, Mariuszu?

- Co słyszałaś, kochana? - zapytał Malariusz lekko drżącymi ustami.

- Powiedziałeś: „Zabiję cię. Jak tylko cię spotkam, zabiję cię...”

„I nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo chciałbym to naprawdę zrobić” pomyślał Wojnicz, powłócząc nogami po żwirze. - Mylisz się. Nigdy nie powiedziałem czegoś podobnego.

- Przeciwnie, powiedziałeś. Słyszałam doskonale. I nie szuraj nogami po żwirze. Nasza mama nas uczyła, żeby nie niszczyć butów, ale jak się zdaje, tyś tego nigdy się nie nauczył, nieprawdaż?

Wojnicz nagle znieruchomiał spowity w chmurze kurzu, jaki się wznosił od jego zelówek.

„Jak ona to robi?” zadał sobie pytanie, nie po raz pierwszy.

- Mariusz, powiedz mi natychmiast, gdzie jesteś i dlaczego nie ma cię w domu.

- Jestem w podróży.

W komórce rozległo się „Aha!” podobne do uderzenia dzwonu. A w ślad za tym, nieunikniony złośliwy komentarz. - Ty nigdy nie bywasz w podróży. Ty nie podróżujesz. To ja podróżuję.

- Mylisz się - odparł Wojnicz. - Skoro ci mówię, że jestem w podróży, znaczy, że jestem.

Wybuch historycznego śmiechu. Długi. - I niby gdzie miałbyś być w tej podróży? W Greenwich? W Hyde Parku?

- W Kornwalii.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Nię nabieraj mnie Mariusz, nie nabieraj mnie.

- Nie nabieram, Viviano. Słyszysz ten szum? To morze.

- A mógłbyś mi wyjaśnić, z jakiego to mrocznego powodu jesteś w Kornwalii? Albo nie, poczekaj, nic nie mów. To z powodu twojego klubu, tych tam twoich przyjaciół, czy tak? „Nazywają się Podpalacze” przełknął w myśli Malariusz Wojnicz. „Podpalacze to nie są moi »ci tam przyjaciele«. To ostatnia twierdza obronna przed tą cywilizacją, tą samą, dla której ty lubisz tak ciężko pracować, droga Viviano!”

Ale intencja jego siostry była jasna: kazać mu pomyśleć po raz tysięczny, że jedyna sprawa, jaką sam wybrał,

Podpalacze, to tylko głupi kaprys. Równie dobry sposób na tracenie czasu jak każdy inny. I Rozważył to wszystko błyskawicznie, po czym z największym spokojem, na jaki było go stać, odpowiedział: - Nie, to z moją pracą nie ma nic wspólnego. Podróżuję dla przyjemności.

Znowu długie milczenie.

- Mariusz? Teraz już jestem pewna, że mnie nabierasz. Albo, że się bardzo źle czujesz. Mogę ci podesłać dobrego lekarza, jeśli mi tylko powiesz, gdzie dokładnie jesteś.

- Dlaczego tak sądzisz, Viviano?

- Ty nawet nie wiesz, co znaczą słowa „podróżować dla przyjemności”.

- A czemu to? A ty wiesz?

- Mariusz, dosyć tego! - krzyknęła Viviana swoim charakterystycznym tonem despotycznej starszej siostry. - Wracaj natychmiast do domu!

- Bo co? Bo powiesz mamie?

- Mariusz! Nie wyrażaj się w ten sposób o naszej mamie, zrozumiałeś?

Prawdą było, że odkąd ich mama nie żyła, Viviana przejęła jej rolę. I nie traciła nigdy okazji, by bratu o tym przypominać. Ale tego dnia, po raz pierwszy od lat, Malariusz Wojnicz, może dlatego, że był przejęty podróżą, albo może dlatego, że był wściekły z powodu całej reszty, z powodu tej dziury nazywanej Kilmore Cove, której się nie dało, z powodu Eca, który go gnębił z Wenecji i innych, którzy robili to samo z Londynu, i w ogóle z powodu całej tej irytującej historii z Ulysessem Moore'em, dość że...

.. że zapragnął powiedzieć swojej siostrze raz na zawsze, co o niej myślał.

Zbuntować się.

Bunt, od którego nie byłoby już odwrotu.

- Posłuchaj, droga Viviano. Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego telefonujesz, czy tylko, żeby mnie powiadomić, że jeszcze żyjesz? Zabierasz mi czas. Mam nowy samochód do prowadzenia i hotel, który muszę odnaleźć i...

Szukał w myśli jeszcze czegoś o kierowcy i przyszło mu do głowy to: -I kolegę do golfa, z którym chcemy rozegrać dla relaksu partyjkę. Tak więc, jeśli nie masz czegoś ważnego do powiedzenia, skończmy naszą rozmowę.

Viviana zdołała tylko wykrztusić: - Ale...

I Malariusz się rozłączył.

Potem ukrył komórkę w obu dłoniach, jakby ją chronił przed wybuchem, który nie nastąpił.

Nie stało się nic.

Jego siostra nic nie zrobiła.

Nie mogła nic zrobić.

I po raz pierwszy od lat Malariusz Wojnicz zaśmiał się szyderczo.

Że...

Gdzieś w oddali na drodze błysnęły mu kluczyki od samochodu i poszedł po nie.

Cały czas powłóczył nogami.

Potem odezwała się komórka.

To znowu był Eco.

Dał jej dzwonić, dopóki nie podniósł z ziemi kluczyków i w końcu przyjął telefon już całkiem pogodnie: - Słucham.

- Przykro mi, że panu zawracam głowę, panie doktorze Wojnicz, ale sytuacja jest następująca! - wyrzucił z siebie jednym tchem Eco. - Pani Bloom zamknęła się w domu i nie wygląda na to, że chciałaby z niego wyjść. Dzieci z Londynu mi przekazały, że pan Bloom nie poszedł do pracy. Od kilku godzin nie mamy żadnych wiadomości od braci Nożyców.

Krótko mówiąc, co robimy?

Malariusz Wojnicz podrzucił w rękę srebrzyste kluczyki i obrócił się w stronę morza w kolorze indygo, w którym zanurzało się słońce. Zastanowił się przez chwilę, po czym odparł:

- Absolutnie nic.

- Że jak, szefie?...

- Słyszałeś. Nie robimy kompletnie niczego. Teraz jestem właściwie pewien, że cała ta historia z Ulysessem Moore'em jest wyssana z palca.

- Ale... sprawa fresku... i malarza francuskiego...?

- Morice'a Moreau? Załatwimy ją spokojnie. Jeszcze tę noc spędzisz, pilnując pani Bloom. A jutro zobaczymy.

- Doktorze Wojnicz, pozwolę sobie przypomnieć, że...

- Och, nic mnie nie obchodzi, co chcesz mi przypomnieć. Powiem ci, co ja zrobię: wyruszę na poszukiwanie hotelu w Zennor, przenocuję tam, napiszę stroniczkę swojej powieści i jutro zdecyduję, co robić, w zależności od stanu, w jakim się obudzę.

- Do... doktorze Wojnicz? - wybełkotał Eco na drugim końcu linii. - Od kiedy to pisze pan powieści?

- Od pięćdziesięciu siedmiu lat - odpowiedział najspokojniej w świecie Malariusz Wojnicz. -I wcześniej czy później musiałem to komuś powiedzieć.

Rozdział 10

DRZEWA WIATRU

To zawsze jest dziwne uczucie, musieć się zakradać jak złodziej do własnego domu. Zważywszy na późną porę i bóle w krzyżu w wyniku dnia spędzonego na motorze, Nestor zrezygnował z jesionu, z którego zwykle zeskakiwał na dach i dostawał się na poddasze. Wybrał wygodniejszą drogę -tajemne przejście prowadzące przez salon. Kiedy był już w domu, upewnił się, że oboje państwo Covenant są zajęci rozmową w kuchni i skierował się na górę po schodach. Wszedł do biblioteki i znalazł potrzebną książkę od razu, na wyczcucie, bez potrzeby włączania światła.

Kilka minut później kuśtykał już przez ogród z powrotem, ale nie śpieszył się, bo kartkował kremowe stronicze Podręcznika botaniki fantastycznej, korzystając ze skąpego światła wieczoru. Ilustracje, niezwykle cenne, wszystkie wykonane ręcznie, ukazywały drzewa i kwiaty najbardziej nieprawdopodobne: mówiące róże, drzewa-straszydła albo drzewa, których owocami były hałaśliwe gęsi.

Kiedy już wchodził do swego domu, natrafił na rysunek drzewa-światła i własne notatki na marginesie:

Wyobraźnia to drzewo. Posiada to wszystko, co składa się na drzewo. To znaczy korzenie i gałęzie. Żyje między ziemią a niebem. Żyje w ziemi i na wietrze.

Nie przypominał sobie zupełnie, że kiedyś to napisał.

Usłyszał, że dzieci rozmawiają ze sobą w ożywieniu i postanowił im nie przeszkadzać. Zatrzymał się więc w drzwiach i stojąc, przeglądał książkę, aż wreszcie znalazł to, czego szukał:

A zatem naprawdę były.

Ilustracja ukazywała dwa drzewa, jak na fresku Mori-ce'a Moreau. Jedno obok drugiego, z korzeniami zawieszonymi w powietrzu i połączonymi ze sobą armią maleńkich owadów, które z korzeni jednego przechodziły na korzenie drugiego i odwrotnie. Przeczytał opis ilustracji:

Drzewa Według pewnych mitów nordyckich drzewa wiatru żywią się ideami i ich wędrówką. Im intensywniejszy jest przepływ myśli, tym drzewo trzyma się mocniej i podtrzymuje to drugie. Chodzi bowiem zawsze o drzewa bliźniaki, ściśle ze sobą związane przez całe życie. Strabon pisał, że jeśli jedno z takich drzew zostanie zwalone, drugie uschnie. To są bardzo silne drzewa i właściwie nieśmiertelne. Nawet poważnie uszkodzone potrafią odrosnąć. O ich owocach nic nie wiadomo, ale wiadomo, że z ich kory, odradzającej się w ciągu lat, korzystali wytwórcy przedmiotów magicznych do wyrobu cudownych artefaktów obdarzonych zdolnością porozumiewania się na odległość. Patrz także hasła: pudełka-gubidełka, książki-okna, widoki-mamidła, drzwi--ze świata w świat.

„Drzwi-ze świata w świat”.

- Ciekawe... - szepnął do siebie Nestor.

Ale dlaczego nigdy wcześniej tego nie czytał?

Przypomniały mu się słowa Penelopy, kiedy się użalała, że nie sposób poznać dokładnie zawartości tysięcy książek, jakie on sam zgromadził w ciągu lat. I że często musiała się zadowolić tylko ich przekartkowaniem, jako że przeważnie była zajęta czymś, co wypadło niespodziewanie.

Pokuśtykał do dzieci podniecony, żeby im oznajmić o swoim odkryciu. - Znalazłem odniesienie do drzwi! -ogłosił triumfalnie.

Ale Julia i Tommaso nawet się nie odwrócili. Siedzieli

nadal przy stole zarzuconym fotografiami i wyglądali na bardzo przejętych.

- Co się stało? - zapytał Nestor.

Podszedł do stołu i zauważył, że mają zeszyt otwarty i że, sądząc po położeniu palców Julii, właśnie go używają. Palce Julii wodziły po stylizowanym rysunku dziewczynki z kluczem w ręku.

- To Anita i Jason - wyszeptła Julia jak w transie.

Nestor podskoczył. - Ależ to cudownie! Udało się wam z nimi połączyć?

- Tak - odparł Tommi, który jakoś wcale nie wyglądał na uradowanego.

Stary ogrodnik był jednak tak złaźniony wiadomości o trojgu Podróżnikach w Wyobraźni, że nie zwrócił na to uwagi. - I gdzie są? Jak się mają?

- Dobrze, chyba dobrze, ale...

- A Rick? Czemu nie ma go z nimi?

Opisali mu pokrótce sytuację, po czym Julia dodała: - Ale pojawiły się problemy. Wielkie problemy.

Nestor przysunął sobie krzesło. Wyczuł, że sprawa z drzwiami musi chwilowo zejść na dalszy plan. Wziął więc jedną z fotografii Tommiego i wsunął jako zakładkę w Podręcznik botaniki fantastycznej, w miejscu, gdzie była mowa o drzewie wiatru. Następnie odłożył tom na stół i spojrzał na nich z powagą. - No, śmiało, wyrzucicie to z siebie. Zamieniam się w słuch. I wysłuchał całej opowieści o przybyciu Jasona, Ricka i Anity do Arkadii i o ich spotkaniu z kobietą narysowaną w zeszycie, ostatnią mieszkanką Kraju, który umiera. Następnie o odkryciu nieukończonych drzwi koloru kości słoniowej, o dziwnym na nich deseni, złożonym z dziesięciu kręgów połączonych ze sobą, i o tym, jak Jason i Anita te drzwi przekroczyli, idąc za olbrzymem o imieniu Zefir.

- A teraz, jak się zdaje - zakończyła Julia - nie mogą już wyjść przez drzwi, przez które weszli, może dlatego, że one nigdy nie zostały ukończone. I w rezultacie nie działają!

Nestor wybuchnął: - To dlaczego, do diabła, przeszli przez nie? - Ale zaraz sam sobie odpowiedział: „Jason”.

Julia spojrzała na niego, zmartwiona.

Nestor oparł czoło na dłoniach. „Zawsze taki sam, nigdy nie dorośnie. Pierwszy do pakowania się w kłopoty”.

- Wniosek? - mruknął. - Czy musimy tam pójść, żeby dokończyć budowy drzwi i umożliwić im wyjście?

- Jedyna możliwość - przytaknęła Julia.

- Może więc znalazłem coś, co może nam pomóc - powiedział Nestor, wskazując grubą księgę, dopiero co wyjętą z biblioteki. - Istnieją bliźniacze drzewa, które mają szczególnie korzenie, ale...

- Ale...?

- Ilustracja tu niewiele pomoże. Chodziłoby o jakiegokolwiek drzewo na świecie, istniejące albo z wyobraźni.

- Z wyjątkiem kaktusa - wtrącił Tommaso.

Julia uderzyła gwałtownie dłonią w stół. - Czy może być większy dureń od mojego brata? Co u licha strzeliło mu do głowy, żeby przechodzić przez nieukończone Wrota Czasu?

- Na szczęście jest z nim Anita - zauważył Nestor, usiłując zapanować nad sytuacją.

- Też mi dopiero! - wybuchła Julia. - Ta dziewczyna będzie mu tylko kulą u nogi.

Machnęła ręką znacząco, zanim zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. - Wybaczcie. Nie chciałam zrobić z siebie zazdrosnej siostry, ale zrozumcie... wołałabym, żeby był z nimi także Rick.

Nestor przytaknął. Tymczasem Rick pozostał na zewnątrz, wiedziony swoim zmysłem praktycznym. Zatem teraz, kiedy dwaj przyjaciele się rozdzielili, Jason znalazł się w bardzo trudnej sytuacji, zdany na swój impulsywny charakter, w towarzystwie dziewczyny, której przecież dobrze nie znał.

- Anita jest najlepszą osobą, jaką mógłby mieć u swego boku w tej chwili - powiedział z pełnym przekonaniem Tommaso.

- Nie mam nic przeciwko niej, wierz mi - próbowała tłumaczyć się Julia. - Ale faktem jest, że... nie mam zaufania do jej zdolności oceny sytuacji.

- A dlaczego?
- Ponieważ Jason się jej podoba. A jak on to zauważy, to będzie mógł ją nakłonić do zrobienia wszystkiego, co zechce!
- Nieprawda - odburknął niewyraźnie Tommi, dotknięty do żywego.
Chłopiec przeniósł nagle spojrzenie na fotografie i zaczął je machinalnie przerzucać, oglądając jedną po drugiej jak automat.
Julia za późno zdała sobie sprawę, jakie mógł żywić uczucia i zbyt późno, a nawet całkiem niezdarnie próbowała naprawić to, co powiedziała. - O Boże, nie, Tommi, jak ty to zrozumiałeś? Nie zamierzałam powiedzieć, że Anita i Jason..., tylko że... tego...
Ale podejrzenie już zakradło się do duszy chłopca.
Jak magnes przyciągnęło do siebie wszystkie zadry i kolce rozsiane w jego myślach, aż splotły się w ciężki kłęb leżący mu teraz na sercu jak kamień.
I nie dający mu swobodnie oddychać.
- Idę się przejść... - powiedział, odsuwając głośno krzesło od stołu.
Wyszedł wprost do parku.
A potem skierował się w stronę furtki.
Przeszedł przez ulicę, aż zobaczył morze.
Potrzebował trochę świeżego powietrza.
Przekroczył czas, żeby odnaleźć Anitę.
A jednak przybył za późno.
Kiedy zostali sami, Julia zadała pytanie Nestorowi. - Myślisz, że powinnam wyjść i porozmawiać z nim?
- Myślę, że nie. To tylko takie tam młodzieńcze głupstwa. Julia obruszyła się na takie traktowanie ich uczuć przez Nestora. Te „młodzieńcze głupstwa” to był również jej problem, ponieważ ona także przeżywała niepokój, większy niż należało, na myśl o Ricku samotnym w kraju oddalonym o tysiące kilometrów.
- Wydajesz się bardziej zatroskana o niego, niż o swojego brata.
„Do kogo to się odnosi?” zapytała samą siebie. „Do Ricka czy Tommasa?”
- Przeczuwałam to - odparła jak gdyby nigdy nic. - Byłam pewna, że Jason się wpakuje w jakieś straszliwe tarapaty. Powinnam była wyruszyć razem z nim. Albo mu nie pozwolić na wyjazd.
Nestor był tego samego zdania.
Może wszyscy działali nazbyt impulsywnie.
I nieprzemyślenie.
Julia przejechała kilka razy ręką po włosach, zmartwiona i zakłopotana, i dorzuciła: - Faktem jest, że moi myślą, że Jason i Rick pojechali na szkolną wycieczkę, a tymczasem jeden jest na szczycie góry w Pirenejach, a drugi - uwięziony za Wrotami Czasu.
- Mogłoby być jeszcze gorzej - mruknął Nestor.
- Ach tak? Niby jak?
- Mogliby dryfować otoczeni zgłodniałymi rekinami... - wyrzucił z siebie gwałtownie stary kapitan, jakby mówił o czymś, co sam przeżył.

Rozdział 11 DWADZIEŚCIA REGUŁ

Siedząc w trójkę pośród sterczących skalnych kryształów, kilka kroków od ciemnej i szumiącej rzeki, do której Zefir ich doprowadził, próbowali teraz sięgnąć do początków tej zagadki. Rozmawiali skuleni obok siebie, by dodać sobie nawzajem odwagi i zarazem użyć nieco ciepła.

- A zatem - odezwał się Jason - zacznijmy od początku.
 - Zgoda - przytaknęła Anita, obejmując rękami kolana. Jason ponuro spoglądał na pięć jednakowych kamieni, które po wydobyciu z lodowatej rzeki ułożyli przed sobą. Teraz leżały u ich stóp i przedstawiały umownie pięcioro drzwi.
 - Dwadzieścia reguł, żeby móc wejść - szepnął chłopiec.

 - Dokładnie tak.
 - I nic więcej nie wiesz? - zapytał Zefira.
- Złocisty olbrzym pokręcił głową. - Nie, przyjacielu. Znam tylko reguły, ale nie znam powodu, dla których zostały wymyślone.
- A jednak nie mogą istnieć reguły bez jakiegoś uzasadnienia - zauważył Jason, kręcąc głową z namysłem.
- Anita zachichotała. - Gdyby cię słyszała moja mama, nie sądzę, żeby się z tym zgodziła. Jason zignorował uwagę przyjaciółki i spróbował się skoncentrować na tej absurdalnej łamigłówce. - A gdybyśmy tak zaczęli od końca. Od ostatniego pytania, tego o kruki... - Wskazał pięcioro drzwi Labiryntu zaledwie widocznych w ciemności. - Ty masz klucz z krukami. A pytanie brzmi, kto kocha kruki... To mogłoby znaczyć w gruncie rzeczy, które drzwi można otworzyć twoim kluczem.
- Mogłoby - zgodziła się Anita.
 - Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak rozwiązać zagadkę, znaleźć odpowiednie drzwi i spróbować je otworzyć.
 - A nie możemy po prostu przekroczyć rzeki i spróbować otworzyć je wszystkie? Jason wzruszył ramionami. - Moglibyśmy, ale... jeżeli się czegoś nauczyłem od budowniczych tych drzwi, to tego, że żadna z ich zagadek nie ma kilku rozwiązań. Rozwiązanie zawsze jest tylko jedno. I oni wymagają od ciebie, żebyś je znalazł, zanim zdecydujesz, co robić. Zatem śmiało, próbujmy.
- Poszukał wzrokiem giganta, który poszedł do rzeki nabrać znowu wody i ogrzać ją swoim ciepłem. - Zefir! - zawołał. - Muszę cię o coś zapytać.
- Olbrzym podszedł swoim kołyszącym się krokiem i przysiadł obok Jasona. Jego skóra wyglądała jak utkana ze złocistego pyłu, przez który przepływa prąd elektryczny.
- Co chcesz wiedzieć?
 - Powtórz mi te reguły... i miejsca, o których mówią.
- Pomału i mechanicznie, na swój zwykły sposób, przewodnik zaczął recytować dwadzieścia reguł.
- Kilmore Cove - powiedział Jason w pewnym momencie, jakby łowiąc rybę z tego potoku słów jawnie pozbawionych sensu. Potem zwrócił się do Anity. - Połóż coś, co ci przypomina Kilmore Cove obok pierwszego kamienia.
- Anita zdjęła z ręki zegarek z inicjałami „P” i „D” i położyła go na ziemi w miejscu wskazanym przez Jasona.
- Mów dalej, Zefirze...
- Przy regule szóstej Jason zauważył: - Atlantyda. Postaw coś obok drugiego kamienia.
- Anita postawiła tam but.
- A dlaczego but?
 - Ponieważ nie mam nic innego.
- Jason pokręcił głową i zamiast buta postawił swoją manierkę. - Atlantyda została zatopiona wodą. Woda.

Powtórzyli ten zabieg z innymi miejscami z wyobraźni wymienionymi w zagadce: Eldorado (tym razem postawili rzeczywiście but), Egipcjanie z Krainy Puntu (kamyk w kształcie piramidy), Wyspa Snów (klucz z głową kruka).

Jason przyglądał się tej niejasnej zbieraniu przedmiotów i poprosił Zefira, by raz jeszcze wyrecytował mu reguły. - Teraz wymień mi kolory.

Pierwszy z wymienionych w regułach kolorów był czerwony.

Anita położyła bransoletkę obok pierwszego kamienia i zegarka z dwoma inicjałami.

Następnie Zefir wymienił zielony (koszulka Jasona), żółty (skarpetka), biały (kawałek papieru) i niebieski (druga koszulka Jasona, który siedział teraz do pasa goły).

- Ale czy ci nie zimno? - spytała Anita.

Jason nawet jej nie słuchał. Rzucił okiem na łodzie przycumowane do brzegu rzeki. Potem poprosił Zefira, by raz jeszcze wyrecytował mu reguły.

Pogrupowali różne przedmioty, dopasowując je do różnych łodzi, udając, że to są te z zagadki, i prawie od razu zaczęli się spierać na temat wieloryba.

- Wieloryb to może być zwierzę, ale może też być łódź - zauważyła Anita.

Patrzyli bezradnie na swoją układankę.

Po czym dziewczynka dodała: - W każdym razie to, co zrobiliśmy z pierwszymi drzwiami jest błędne...

- Dlaczego? - zapytał wzburzony Jason. - Kilmore Cove, czerwony, dżonka.

Ale Anita przypomniała sobie coś innego. Spytała o to Zefira, który wyrecytował jej regułę numer dziesięć.

- Zatem dżonka pasuje do drzwi żółtych, to znaczy... z butem - powiedziała z przekonaniem.

- A co to był but?

- Eldorado.

- Niemożliwe! - zaprotestował w tym momencie Jason. - To jest łódź egipska, byłoby lepiej położyć ją przy Egipcjanach.

- A łódź wikingów?

- Mogłaby pasować do Kilmore Cove... i do drzwi czerwonych.

Dokonali odpowiednich przesunięć i milcząc zastanawiali się nad rezultatem. Na końcu Anita spytała: - A teraz?

- Ustawimy zwierzęta - zaproponował Jason.

- A jak je zestawimy z herbatą, mlekiem i lemoniadą?

Mimo nagiego torsu, Jason zaczął się pocić. - A zatem...

znaczy... wydaje mi się, że pamiętam, że do łodzi wikingów pasuje herbata.

- Nie, herbata jest wymieniona przy Atlantydzie - poprawiła go Anita.

- Która jest za drzwiami zielonymi.

- Reguła ósma powiada, że drzwi zielone musisz położyć po lewej stronie białych - zauważył Zefir.

Jason sprawdził ustawienie przedmiotów. - A teraz są po prawej.

- To je przesunę - zaproponowała Anita.

- Samą koszulkę, czy wszystko?

- Chyba tylko menażkę od Atlantydy i zieloną koszulkę.

- Zgoda, połączmy je obok pirogi.

Jason nachylił się, żeby je poprzeszawiać, ale Zefir powtórzył mu przedostatnią regułę i chłopiec się wstrzymał. - Niestety, to jest niedobrze. W pobliżu pirogi powinni się znajdować ci, którzy piją tylko wodę.

- A gdzie postawiłeś wodę? - spytała zdezorientowana Anita.

- Jeszcze jej nie postawiłem - odpowiedział Jason. - Zatrzymaliśmy się na herbacie.

- Herbata w Eldorado! - przypomniał im Zefir.

- Tymczasem ja ją położyłam w Kilmore Cove - zauważyła Anita. - No, bo herbata jest angielska, a Kilmore Cove znajduje się w Anglii.

- A w Eldorado?

- Większy sens miałyby kawa.

W tym momencie, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, Jason zerwał się jak oparzony i zaczął wszystko rozrzucać kopniakami wzdłuż brzegu rzeki. - Dostyc tego! Wszystko nie tak!

- To jest za trudne! Nie ma sensu! To szaleństwo! -krzyczał wyprowadzony z równowagi.

Potem rzucił się na zeszyt Morice'a Moreau i ze złością go otworzył.

- Czy jest ktoś w tej przeklętej książeczce, kto mógłby nam pomóc, zanim całkiem zwariujemy? Był.

Ale spośród wszystkich tych, których mógł znaleźć, był to ktoś najsłabszy w rozwiązywaniu zagadek.

Nie mówiąc już o tym, że był wściekły na Jasona. To był Rick.

Rozdział 12

CIENIE MIĘDZY KRZAKAMI

Morze cicho szumiało u stóp urwiska.

Tommaso wpatrywał się w nie niewidzącym wzrokiem gubiącym się w migocących odblaskach światła na falach.

Myślał o Anicie.

I myśli te były bolesne.

Dziwnie bolesne: nigdy wcześniej nie wyobrażał sobie, że będzie o nią zazdrosny. Anita była jego dobrą przyjaciółką, zawsze tylko przyjaciółką. I, jak dotąd sądził, nikim więcej.

Razem odrabiali lekcje. Od czasu do czasu pomagał jej odnaleźć kota, Miolego. We wszystkim się zgadzali. Ogólnie biorąc, była to prawdziwa, solidna przyjaźń.

Więc dlaczego teraz tak się czuł? Dlaczego potrzebował wyjść, by złapać trochę świeżego powietrza?

Co się wydarzyło?

Może to telefon do rodziców.

Tommi pomyślał o tysiącu spraw, o których mu przypomniała niedawno matka przez telefon.

Między innymi była jedna, która go szczególnie uderzyła, chociaż nie od razu zwrócił na nią uwagę. Mama powiedziała mu mniej więcej tak: „Wiemy, że lubisz Anitę i że jesteś w niej zakochany. Ale tak się nie postępuj! Wracaj prędko do domu!”

Zakochany?

W Anicie?

Jak jego rodzice mogli wiedzieć coś, o czym on sam nie wiedział? Nigdy o tym nawet nie pomyślał. Nie miał zielonego pojęcia, czym jest miłość. I był, szczerze mówiąc, za młody, by o tym myśleć.

Co innego miał w głowie: wielkie przygody, podboje, rozmaite przedsięwzięcia! Nic, co miałyby jakkolwiek związek z... zakochaniem się w swej najlepszej przyjaciółce.

Chciał teraz zajmować się Wrotami Czasu i freskami Morice'a Moreau.

Chciał odkryć razem z Ulysessem Moore'em wszystko to, czego nie odkrył w trakcie czytania jego książek. Wszystkie te tajemnice, pytania ciągle bez odpowiedzi, które nieustannie krążyły mu po głowie, nie dając spokoju.

Nie było tu miejsca na miłość.

A jednak miał teraz żołądek ściśnięty i...

Nagle się obrócił.

Był pewien, że posłyszał jakiś dziwny szmer.

Nasłuchiwał przez kilka sekund. Wydawało mu się, że wszędzie panuje spokój, więc wrócił do swoich rozmyślań. Zauważył, że kiedy chodzi, to łatwiej mu uporządkować myśli. Po drugiej stronie drogi nad urwiskiem znalazł ścieżkę prowadzącą do parku i poszedł nią. Ciekawe, co powiedzieliby jego rodzice, gdyby wiedzieli, gdzie też się przechadza.

I znowu ten szmer.

Przystanął, by rozejrzeć się dokoła.

Drzewa w parku Willi Argo były niczym czarni strażnicy, surowi, groźni. Krzaki na poboczu ścieżki łagodnie się kołysały. Niebo było usiane gwiazdami ukrytymi gdzieś za płaskimi chmurami. Morze pieściło skalne urwisko. Latarnia morska po drugiej stronie zatoki przecinała swoim białym światłem noc na dwoje.

Więc co się stało?

Tommaso wyrzucał sobie, że był mieszczuchem. Przyzwyczajony do różnych odgłosów Wenecji, do warkotu motorówek, plusku wody w kanałach, bicia dzwonów, nie znał właściwie żadnego z charakterystycznych dźwięków lasu nocą.

Może to był jakiś nocny ptak?

A może szop pracz?'

Ale, czy w Kornwalii żyją szopy?

Zadał sobie pytanie, czy nie powinien już wrócić do Nestora i Julii. Ale ostatnie, czego w tej chwili potrzebował, to pokazania innym malującego się na twarzy zawodu, bo to zraniłoby jego dumę, toteż włożył ręce do kieszeni i poszedł dalej, postanawiając nie ulegać niczym wpływom.

Chciał dojść do mauzoleum. Albo może do składziku z narzędziami ogrodniczymi, który się znajdował w środku parku. Do miejsc, o których czytał w książkach Ulyssesa Moore'a, ale których jeszcze nie widział na własne oczy.

Potem by zawrócił.

- Myślicie, że nas zobaczył? - spytał szeptem wielki Flint, rozciągnięty plackiem na asfalcie.

Najmniejszy z kuzynów wychylił się zza krzaków. - Oczywiście, że nas nie widział - odpowiedział. - Poszedł sobie dalej.

- Właśnie, nie mógł nas zobaczyć. Poszedł sobie dalej - potwierdził średni Flint.

- Ale dokąd on się wybiera o tej porze, po nocy? - głowił się mały Flint, gramoląc się zza krzaków. - Pomijając, że prawdziwe pytanie brzmi: skąd się ten facet tu wziął?

- Tak, prawdziwe pytanie brzmi, skąd się wziął? - przytaknął Flint średni.

- No i dlaczego nałożył tę maskę na twarz? - dodał wielki Flint.

- Słyszeliście, co powiedzieli, nie? - przypomniał mały

Flint. - Ta historia, że Covenant z Bannerem w rzeczywistości wcale nie pojechali na szkolną wycieczkę, wydaje mi się bardzo interesująca...

- Prawdę mówiąc, dla mnie jest okropnie nudna - odezwał się wielki Flint. -

Szczególnie, kiedy mówili, że jadą w Piraneje. I potem te wstrętne ryby mięsożerne, od których zawsze dostają dreszczy - dodał, otrząsając się z obrzydzenia.

- Piraneje, głupku! - zwrócił mu uwagę mały Flint.

- Piraneje, nie Piraneje, ignorancie! - zgromił go średni.

- Interesujące byłoby, gdyby tak udało się zrozumieć, o co naprawdę chodzi z tymi drzwiami i kluczami... - ciągnął najmniejszy z kuzynów. Obrócił się, by zerknąć na ścieżkę za krzakami. - I wiecie, co wam powiem? Moglibyśmy go o to zapytać.

- A twoim zdaniem on to wie? - spytał Flint średni.

- Według mnie, tak - odparł z przekonaniem mały Flint. - A poza tym, to jest dobry moment do zadania mu tego pytania. Jest sam, a nas jest trzech.

- To samo mówiłeś wtedy z Covenantem - przypomniał mu największy z kuzynów. -1 sam dobrze wiesz, jak to się skończyło.

- Ale to nie jest Covenant - odpalił mały Flint i oczy zaśniły mu złowrogo.

- Właśnie, on nie jest Covenantem! - przytaknął średni Flint.

Tommaso znowu przystanął, by nasłuchiwać w ciemności.

Z jednej strony widział dalekie światła miasteczka. Z drugiej - mroczne sylwetki drzew i krzaków.

Posłyszał jakiś szelest i wydawało mu się, że zobaczył coś, co się poruszało w trawie... pomyślał, że może to być jakieś duże zwierzę. W rodzaju dzika. Ale co należało robić, kiedy się natknęło na dzika?

Nie miał zielonego pojęcia.

Jakiegolwiek byłoby to zwierzę, zbliżało się od tyłu, to znaczy - od Willi Argo. A to automatycznie wykluczało możliwość zawrócenia. Jednak dalszy marsz do przodu napawał go niepokojem. Jego pierwotnym zamiarem była krótka przechadzka dla uporządkowania myśli. A teraz znajdował się kilkaset metrów od domu, na zarośniętej ścieżce, w dodatku prowadzącej, jeśli dobrze pamiętał, do mauzoleum, gdzie byli pochowani przodkowie rodziny Moore'a.

A więc na cmentarz.

Spojrzał w górę i zobaczył, że chmury pędzą po niebie i zakrywają gwiazdy.

Wszystko to, jak na jego gust, było zbyt niesamowite.

Przyspieszył kroku i w miarę jak szedł ścieżką coraz szybciej, towarzyszący mu hałas narastał.

Teraz już Tommaso nie miał wątpliwości: to był dzik, a może nawet dwa.

Wyobraził je sobie: straszliwie wygłodniałe. Złaknione weneckich dzieci, które nie wiedzą nic o życiu w lesie.

Kurczę.

Zaczął biec i usłyszał, jak drapieżniki za nim też przyśpieszają.

Teraz szelesty, tupot, chrzęst łamanych gałęzi rozlegały się tuż za nim, bardzo blisko.

Ogarnęła go panika.

Potem, podczas tej ucieczki bez wytchnienia przez park, dotarło do niego, że usłyszał

„ludzki” głos, który zawołał: - Ruszaj się, ty grubasie!

Zaraz, zaraz... to nie mogły być dwa dziki!

I czy to była wiadomość dobra czy zła?

Nie umiał tego ocenić i ciągle biegł.

Zatrzymał się dopiero, kiedy pośród zarośli wyrosło przed nim mauzoleum górujące nad całym Turtle Parkiem i oświetlonym miasteczkiem w dole.

Ale nie przystanął z zamiarem podziwiania widoku.

Zatrzymał się, ponieważ jakaś ręka, która się pojawiła znikąd, ścisnęła go za kark i dosłownie uniosła nad ziemię.

- A ty, coś za jeden, co? - ryknął głos jakiegoś brodatego dryblasza.

Tommaso krzyknął, potem spróbował się uwolnić i zaprotestować - na ile to było możliwe - z godnością. - Puść mnie!

Mężczyzna uwolnił swoją ofiarę. Kiedy Tommi dotknął na powrót ziemi stopami, przyjrzał się uważniej twarzy człowieka, który go schwytał. I doznał przedziwnego wrażenia, całkiem jak to się zdarzyło z Julią i Nestorem tego popołudnia, że go rozpoznał, choć był pewien, że wcześniej nigdy tego człowieka nie spotkał.

- Ależ pan jest... Black Wulkan!

Nie było jednak czasu na przedstawianie się, a w każdym razie nie w tej chwili. Tommaso wskazał ścieżkę, którą przybiegł i dodał: - Myślę, że... mnie ścigają.

- Kto cię ściga, chłopcze? - zapytał mężczyzna z miną zdradzającą powątpiewanie.

Obaj na chwilę zamilkli. Właściwie nie obaj, lecz wszyscy trzej, bo kiedy Tommaso rozpatrzył się lepiej w sytuacji, zobaczył, że brodaty drągał jest w towarzystwie innego mężczyzny, wysokiego i eleganckiego. I tym razem był pewien, że go już gdzieś widział. „Chwileczkę... Ależ tak, jasne: to jest tata Anity! I co u licha porabia w Kilmore Cove u boku Blacka Wulkana?”

Kiedy Tommi zaczął już myśleć, że chyba ma halucynacje, pan Bloom zrobił krok do przodu. Był błąd jak trup. Albo jak ktoś, kto właśnie odbył podróż rozpędzoną lokomotywą Blacka Wulkana.

- Masz znajomą twarz, chłopcze - szepnął. - Kim jesteś?

- Jestem Tommaso Ranieri Strambi. Pamięta pan? Z Wenecji, przyjaciel pańskiej córki!

- T... Tommi? - wybełkotał z niedowierzaniem pan Bloom. Potem uściśnął dłoń chłopcu. - Wiesz, gdzie jest moja córka? - spytał po prostu.

- Eee... znaczy... - Tommaso się jąkał, niezdolny do wyboru jednej z tysiąca możliwych odpowiedzi. W końcu wybrał najbardziej nieprawdopodobną, prawdziwą. - Tak, panie Bloom. Została uwięziona za Wrotami Czasu bez wyjścia. Ale, jeśli będziemy mieli szczęście, jeśli pokonamy furki ze szkieletami, może się jej uda przedostać do środka Labiryntu, cokolwiek by to było, i może tam znajdzie sposób na powrót do domu.

W tym momencie poczuł na ramieniu dłoń Blacka Wulkana. - Brawo, chłopcze - mruknął eks-maszynista - ale przydałoby się trochę więcej delikatności, nie uważasz?

Za późno.

Pan Bloom bowiem z cichym jękiem osunął się zemdłony na ziemię.

Rozdział 13

W ULEWNYM DESZCZU

Burza trochę ucichła.

Ale deszcz ciągle padał, nieustannie. Padał na wszystko, na przejrzyste źródła, na trawę na łąkach, na świątynki i grobowce w Arkadii. Stada i trzody pochowały się wśród ruin, turkawki i jaskółki w załomach frontonów, a cykady, które poprzedniego wieczoru śpiewały pijane radością, teraz umilkły.

Czekały aż deszcz ustanie.

Deszcz jednak najwyraźniej miał ochotę padać już zawsze.

Siedząc na ziemi, pośród dziesiątek papierowych kartek ściśniętych w zmięte kulki, Rick zaciekle skreślał i pisał, pisał i skreślał z furją. I za każdym razem, kiedy skreślał, rzucał szeptem przekleństwami skierowanymi przeciwko drzwiom, zwierzętom, napojom, łodziom i krainom z wyobraźni.

- Coś ci nie bardzo idzie, co chłopcze? - zauważył w pewnej chwili kędzierzawy?

- Co ty robisz? Odrabiasz łacinę?

Wszyscy trzej znajdowali się pod pokrytym freskami portykiem, opartym na kolumnach porośniętych bluszczem. Z góry, gdzie pnącza wślizgnęły się w szczeliny muru, dochodziło od czasu do czasu gruchanie turkawek. Deszcz jednak tu nie dochodził. Ostatnia kazała wyjść dwóm Podpalaczom ze studni, skrępowała ich łańcuchami i zaprowadziła w suche miejsce. Bez zbędnych słów rozpałała ogień i uprzyła kolby kukurydzy, którą dwaj więźniowie łąpczywie schrupali.

Rick nadal niewzruszenie pisał i skreślał, jakby ich w ogóle nie słyszał.

- Wydaje mi się, że pracujesz koncepcyjnie - zauważył znowu po kilku minutach kędzierzawy.

- Chodzisz jeszcze do szkoły? Czy już się wzięłeś do jakiejś pracy? - zapytał jego brat.

- Praca umysłowa wyłącza człowieka z ludzkiej wspólnoty. Praca fizyczna, przeciwnie, prowadzi człowieka do człowieka - skomentował kędzierzawy.

- Czekaj, czekaj, nie mów mi... - mruknął drugi, próbując sobie przypomnieć, gdzie to czytał.
- Nie mam nawet zamiaru.
- Goethe?
- Trochę mniej niemiecki: Kafka. Jesteśmy kwita. Jeden do jednego, strzał w dziesiątkę.
- Miałem to na końcu języka!
- DOSYĆ! - krzyknął Rick, drąc kolejną kartkę. - To i tak jest dostatecznie trudne, bez waszego gadania i stałego rozpraszania mnie!

Dwaj Podpalacze poruszyli łańcuchami. - Hej, przyjacielu, nie złość się. Nie możesz chyba oczekiwać, że ci pomożemy.

- Jesteśmy przecież ci źli.

Rick rzucił im surowe spojrzenie, następnie wrócił w skupieniu do swoich zapisków i strzałek, którymi pokrywał papier. Nienawidził tego rodzaju zagadek logicznych zawieszonych w próżni. Nigdy mu się nie udawało przeniknąć istoty gry i skoncentrować się dostatecznie, by zagadkę rozwiązać. I kiedy usiłował zestawić mleko, kawę i lemoniadę z łodziami, krainami z wyobraźni i kolorowymi drzwiami, nie mógł się powstrzymać od pytania, kto też mógł być takim sadystą, by wymyśleć podobne tortury.

W końcu się poddał. Oparł się wykończony o mur w głębi kolumnady i pomyślał całkiem poważnie, czy nie rzucić by tego wszystkiego i nie zafundować sobie porządnej drzemki.

To był bardzo długi dzień. A ta trudna, czekająca na rozwiązanie zagadka była wystarczającym powodem do przerwy na odpoczynek... aż do jutra rana.

Poszukał wzrokiem Ostatniej, ale kobieta znowu znikła w zaroślach, w jednej ze swoich nieustannych wędrówek wywiadowczych. Zostawiła tylko długą fuzję z miedzianą lufą nabitą sztucznymi ogniami, opartą o mur.

Kędzierzawy brunet chyba odgadł myśli chłopca, bo powiedział: - Twoja przyjaciółka robi obchód po... jak nazywacie tę dziurę?

- Arkadia - odparł Rick zamyślony. - Kraj, który umiera. Albo, jeśli wolicie... kraina bez chorób.

- Niezwykłe, rzekłbym - skomentował blondyn. - Kraj umiera, ale nie zna chorób.

- Wiecie, co wam powiem? - dodał kędzierzawy. - Stałem ponad dwie godziny w ulewnym deszczu, zanurzony w błocie po gardło i... ani razu nie kichnąłem.

Brat spojrział na niego. - Aha, wiesz, że masz rację. Ja też.

- To jest tylko taka legenda - westchnął Rick. - Podróżnicy w Wyobraźni, którzy poszukiwali Arkadii, uważali ją za miejsce bajeczne i magiczne, i wprowadzili do mitologii.

- Może być, ale ja nie mam najmniejszych oznak zaziębienia - upierał się kędzierzawy brunet.

- To dlaczego wobec tego, nazywacie ją Krajem, który umiera? - spytał blondyn.

Rick przyciągnął kolana pod brodę i ziewnął. Dałby nie wiem co, żeby móc zasnąć i nie myśleć już o niczym. Zmobilizował się jednak i odpowiedział:

- Tak ją nazywamy, ponieważ nikt tu już nie mieszka.

W ULEWNYM DESZCZU_j

Nikt nie przybywa, by ją odnaleźć i w rezultacie... nikt w nią już nie wierzy.

Blondyn wbił wzrok w zamyślonego Ricka. - Więc to jest to, co wy robicie?

- Co? - zapytał go zdziwiony chłopiec.

- Wędrujecie, by ocalić kraje, które umierają?

Rick roześmiał się od niechcenia. - Och nie. Przyszliśmy tu z powodu pewnego zeszytu.

Tego, który Ostatnia nosi zawsze przy sobie...

- Tego, z którego mówiła?

- Właśnie tego.

- I nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby zwrócić się do jakiegoś lekarza?

Rick znowu się roześmiał. - Cóż, rzeczywiście to może wydać się nieco dziwne, ale...

- Och nie, skądże znowu. To całkiem normalne rozmawiać z książką - wtrącił brunet. - Widziałem coś takiego setki razy.

- I tyle samo razy paliliśmy książki - dodał blondyn.

- Jednak te, które mówiły, oszczędzaliśmy.

- Jesteśmy niedobrzy, ale nie aż tacy źli.

Rick pokręcił głową, teraz już całkowicie pewien, że nie zmruży oka.

- Faktem jest, że naszemu szefowi tego rodzaju rzeczy grają na nerwach - odezwał się blondyn. - I to dlatego nakazał nam śledzić tę Anitę Bloom.

- I to było łatwe? - spytał chłopiec potężnie ziewając.

- Nie całkiem. Ale żeby mieć was wszystkich na oku, zaangażowaliśmy jeszcze trzech łobuziaków, twoich krajanów.

- Trzech kędzierzawych? - spytał Rick, który w jednej chwili zapomniał o senności.

- Właśnie. Znasz ich?

- Przypuszczam, że to kuzyni Flint.

- Brawo. Właśnie oni.

Rick teraz zaczął rozumieć wiele spraw.

- A jednak - podjął kędzierzawy brunet - nie udało ci się wykonać tego, co powinienes.

- Niestety - przyznał zgnębiony Rick. - To rodzaj zagmatwanej zagadki. Nienawidzę tego.

- Komu to mówisz! - odezwali się zgodnym chórem obaj bracia Nożyce.

- Wiesz, kogo powinienes poprosić o pomoc? - zaśmiał się blondyn po chwili ciszy. - Naszego szefa.

- Właśnie. Wspaniały pomysł! - wybuchnął śmiechem jego brat.

- Nie, ja mówię serio. On jest szatan w skomplikowanych szaradach. Ma niesamowity umysł. I fenomenalną pamięć. Jest zdolny rozwiązać ci twoją łamigłówkę w jednej chwili.

- Mówicie serio? - spytał Rick, podczas gdy całkiem absurdalny początkowo pomysł, zaczął sobie z wolna torować drogę w jego głowie.

Rozdział 14

DZIEWCZYNIKA OD KRUKÓW

- Mam rozwiązanie - Anita posłyszała głos Ricka za pośrednictwem kartki w zeszytce. Nie mogła w to wprost uwierzyć. Ciągle tkwiła nad brzegiem lodowatej rzeki, z otwartą książką na kolanach, a Jason krążył nerwowo wokół niej, nie mogąc ustać spokojnie.

- Żartujesz? - wykrztusiła tylko z siebie.

- Nie. Ale nie pytaj mnie, jak do tego doszedłem.

- Dlaczego?

- Dlatego, że to nie ja rozwikłałem tę zagadkę.

- A kto?

- Mężczyzna na stosie poduszek.

W tym momencie Anita wstrząsnęła. - Ależ... on...

- Wiem - uciął krótko Rick. - Ale jest też geniuszem od rozwiązywania zagadek. A dziś wieczór wyglądał na bardzo... uczynnego. Teraz jednak zajmijmy się naszą zagadką - powiedział tonem lekkiego zniecierpliwienia. - Rozwiązanie brzmi: czwarte drzwi.

- Czwarte drzwi?

- Licząc od lewej strony. Drzwi idą w następującym porządku: żółte, niebieskie, czerwone, zielone i białe. A potem, pamiętasz to pytanie: „czy umiesz mi powiedzieć, kto

kocha kruki?" Sądzę więc, że musicie otworzyć drzwi zielone kluczem z główką kruka. To znaczy czwarte drzwi od lewej.

Anita nic nie powiedziała. Przejechała tylko dłonią po włosach i spojrzała na Jasona, który w tym czasie przystanął nieruchomo i wpatrywał się w nią niecierpliwie, czekając na odpowiedź. Potem przeniosła znowu wzrok na zeszyt. - A czy jest w tym, co mi powiedziałeś jakaś logika?

- Tak. I to jest o wiele łatwiejsze niż się zdaje. Sprawdziłem, wszystko gra, więc nie pozostaje wam nic innego, jak uwierzyć mi i zrobić dokładnie to, co wam powiedziałem, zgoda?

- Zgoda...

Anita ogarnęła spojrzeniem pięć drzwi na drugim brzegu rzeki i przyglądała się im zatroskana poprzez zasłonę ciemności, która spowijała wszystko.

- Anita?- zawołał ją jeszcze Rick.

- Tak?

- Nawet jeśli to jest właściwe rozwiązanie zagadki, nie oznacza, że... otwarcie czwartych drzwi jest najbezpieczniejszą rzeczą do zrobienia.

Ale wystarczyły pobielące kości na brzegu rzeki i na stopniach prowadzących do drzwi, żeby ją ostrzec przed niebezpieczeństwem.

- W każdym razie dziękuję.

- Bądźcie ostrożni.

- Oczywiście.

Dziewczynka odjęła powoli rękę od kartki książki i jak za każdym razem, poczuła przy tym silny dreszcz.

- To czwarte drzwi - przekazała wiadomość Jasonowi. - drzwi Wyspy Snów.

Chłopiec zamrugał oczami. Następnie obrzucił spojrzeniem drzwi, schody, kości, rzekę, łódzie, Zefira i w końcu Anitę.

- To na co czekamy? - zapytał.

Wybrali najsolidniejszą łódź, żeby przepłynąć rzekę. Anita siadła na dziobie. Zefir wszedł jako ostatni, już po zepchnięciu ich na wodę.

Jason zabrał ze sobą dwa z pięciu czarnych kamieni, których użyli do rozwiązywania zagadki. Zabrał je na szczęście, jak talizmany. Zefir odcumował łódź.

Posłużyli się żerdzią i wiosłem, żeby przepłynąć

^Jgr Jf^^

wzburzoną rzekę. Uwijali się jak ihogli. Dno było płytkie i najeżone ostrymi skałami, a prąd rozbiegał się na tysiące wirów.

Na drugim brzegu powietrze było jeszcze zimniejsze i bardziej rozrzedzone, całkiem jak w górach.

Wysiadali w ciszy, każdy zatopiony we własnych myślach. Anita spróbowała podejść do schodów tak, żeby nie nadeptać na jakąś kość, których tu leżały całe stopy. Podnosiła co chwila wzrok i wpatrywała się w drzwi u szczytu stopni.

Jason ze swoimi dwoma kamieniami w rękach, zapytał Zefira, co powinni zrobić z łodzią.

Olbrzym o złocistej skórze wzruszył obojętnie ramionami. Statki powracają zawsze same do swych przystani, wyjaśnił. A ponieważ tak samo działo się w Willi Argo, Jason nie odczuwał potrzeby dalszych wyjaśnień.

Zaczęli wchodzić po schodach.

Anita czuła ciężar klucza w kieszeni i nerwowo głaskała jego główkę z krukiem. Jason przerzucał między rękami swoje czarne kamienie, jakby to były pociski do procy, a jednocześnie przyglądał się wysokiemu murowi, pod który podchodzili. Pięć drzwi nie tkwiło w naturalnej skalnej ścianie.

Mury Labiryntu zostały przez kogoś zbudowane: potężne sześcienne bloki spoczywały jeden na drugim w nieskończoność, osiągając niewyobrażalną wysokość.

Myśli Zefira pozostawały nieodgadnione i ukryte za jego świetlistym spojrzeniem.

Ogólnie biorąc, wejście po schodach odbyło się raczej sprawnie, ale dla Anity to była prawdziwa męczarnia. Za każdym razem, kiedy jej stopa dotykała podłoża, dziewczynka drżała na myśl, że posłyszysz chrzęst gniecionej kości, która zsunie się ze schodów. Starła się więc ze wszystkich sił wchodzić jak najostrożniej i szeptała przy tym modlitwę.

Kiedy w końcu dotarła do drzwi, obróciła się w poszukiwaniu Jasona. Ale jego postać całkowicie ginęła w mroku, jakby otaczająca ich ciemność była płynna i nieustannie to gęstniała, to rzedła niczym mgła.

Jakby była popychana przez nieuchwytny wiatr.

Albo jakby była obdarzona własną wolą.

- Czy wszyscy tego chcemy? - zapytała swych towarzyszy Anita.

Miała niepokojące wrażenie, że dźwięk jej głosu nie wydostał się na zewnątrz. Jakby brakowało powietrza, żeby go ponieść dalej.

- Próbuje się otworzyć? - zapytała i ponownie słowa pozostały jakby przyklejone do ust.

Poczuła jak ręka Jasona ściska jej dłoń i usłyszała jego głos dodający jej odwagi. - Śmiało, otwórz je.

Z mroku zza Jasona wychyliła się smukła sylwetka Zefira, otoczona delikatną złocistą poświatą nadającą mu widmowy charakter.

- A jeśli pomyliliśmy drzwi? .

Uścisk dłoni Jasona stał się mocniejszy. Dodawał jej odwagi i wiary we własne siły.

- To ty jesteś dziewczyną z kluczem kruka.

Głos Jasona dopływał z bardzo daleka, zupełnie tak, jakby chłopiec mówił z tamtego świata. I może naprawdę tak było, tylko że Anita była nazbyt przestraszona, żeby to do siebie dopuścić.

Główka klucza z krukiem stała się w jej dłoni śliska.

Anita, wyciągając klucz z kieszeni, modliła się, żeby się jej nie wyślizgnął z ręki i nie upadł na ziemię. Także dlatego, że pod tym stosem kości, od którego do jej oczu docierała biała widmowa poświata, nigdy by jej się nie udało go odnaleźć.

Zbliżyła klucz do drzwi.

Jej palce nie chciały się zginać. Były sztywne, zdrewniałe z zimna. Miała też suche i zziębnięte usta.

Kiedy dotknęła metalowej płytki od zamka, czubek klucza jęklonie zazgrzytał.

Dźwięki i ruchy były przytłumione, jak pod wodą.

Ciemność dokoła panowała wszechwładnie i utrudniała działanie.

Anita przesunęła po omacku czubkiem klucza po płytce w poszukiwaniu otworu w zamku, odnosząc wrażenie, że klucz jest ogromny, a zamek bardzo mały.

Nie mogła natrafić na otwór.

- A jeśli pomyliliśmy drzwi?

Uścisk dłoni Jasona stał się mocniejszy. Dodawał jej odwagi i wiary we własne siły.

- To ty jesteś dziewczyną z kluczem kruka.

Głos Jasona dopływał z bardzo daleka, zupełnie tak, jakby chłopiec mówił z tamtego świata. I może naprawdę tak było, tylko że Anita była nazbyt przestraszona, żeby to do siebie dopuścić.

Główka klucza z krukiem stała się w jej dłoni śliska.

Anita, wyciągając klucz z kieszeni, modliła się, żeby się jej nie wyślizgnął z ręki i nie upadł na ziemię. Także dlatego, że pod tym stosem kości, od którego do jej oczu docierała biała widmowa poświata, nigdy by jej się nie udało go odnaleźć.

Zbliżyła klucz do drzwi.

Jej palce nie chciały się zginać. Były sztywne, zdrewniałe z zimna. Miała też suche i zziębnięte usta.

Kiedy dotknęła metalowej płytki od zamka, czubek klucza jęklawie zazgrzytał.

Dźwięki i ruchy były przytłumione, jak pod wodą.

Ciemność dokoła panowała wszechwładnie i utrudniała działanie.

Anita przesunęła po omacku czubkiem klucza po płytce w poszukiwaniu otworu w zamku, odnosząc wrażenie, że klucz jest ogromny, a zamek bardzo mały.

Nie mogła natrafić na otwór.

Gęsty mrok falował. Można go było niemal posłyszeć, jak skrobie kości i unosi lodowatą patynę znad rzeki.

„Nie ma zamka!” przemknęła straszna myśl przez głowę dziewczynki i poczuła, jak ogarnia ją panika.

Obrazy wokół niej zaczynały się deformować, jak we śnie. Jason i Zefir tkwili nieruchomo, ale ich twarze się wydłużały, wtapiając się w mrok, całkiem jak oleiste figury, które się stopniowo rozmywają.

„Nie ma żadnego wyjścia!” pomyślała znowu Anita z rozpaczą, a to podejrzenie aż krzyczało w niej, tłumiąc zdrowy rozsądek.

Poruszyła znowu kluczem.

Potarła nim o metalową płytkę.

Szukała zamka z narastającym lękiem, strachem, złością.

Wydało się jej, że drzwi zaczynają się mnożyć, że jest ich pięćdziesiąt, dziesięćdziesiąt, dwadzieścioro.

„Zamek. Musi tu być. »Kto kocha kruki?« brzmiała ostatnia, reguła...”

Jeden po drugim głązy w murze Labiryntu zaczęły potężnieć w jej głowie. Najpierw te najbliższe, potem wszystkie dalsze. Pęczniały jak gotowane grzyby. Cały potężny Labirynt puchnął. Nadymał się i powiększał, nieustannie, się powiększał. A klucz, który trzymała w ręku, stawał się coraz cięższy, coraz większy, podczas gdy drzwi malały, a wraz z nimi kurczył się zamek, który teraz był malutki, mikroskopijny, nieistniejący...

„Ja kocham kruki!”

I w tej samej chwili znalazła otwór, w który wsunęła czubek klucza. Maleńki kroczek do przodu, który umożliwił następne.

I jakoś, zawieszona w czasie, poza granicami tego, co normalne, obróciła klucz w zamku.

Rozdział 15

ZAPISKI W DZIENNIKU

- Anitko! - zawołała pani Bloom, otwierając oczy.

Coś się stało jej córce, czuła to!

Ramię. Bolało ją ramię.

Spróbowała nim poruszyć i poczuła bolesne ukłucie. Potem usiłowała zrozumieć, gdzie się znajduje. Przyjrzała się lepiej meblom w pokoju.

Była w Wenecji.

W domu.

Przypomniała sobie jak przez mgłę, że poprzedniego wieczoru, całkiem wykończona, usnęła na tapczanie w nienaturalnej pozycji. I teraz bolało ją ramię.

- Anita? - powtórzyła.

Podniosła się, poszła do pokoju córki, otworzyła drzwi, zajrzała do środka.

Ale córki nie było. Oparła się o futrynę drzwi. Przetarła oczy. I pomału, z wysiłkiem zaczęła oddzielać elementy snu od rzeczywistości.

A rzeczywistością było to, że Anita nie wróciła do domu. Nigdy nie wsiadła do samolotu do Wenecji. Rzeczywiste było też to, że mąż pani Bloom telefonował do niej z Londynu, mówiąc, że odkrył, gdzie się Anita znajduje. Że nie powinna się martwić i że wszystko się wyjaśni w ciągu kilku najbliższych godzin.

Rzeczywistością było, że również Tommaso Ranieri Strambi uciekł z domu. I że także on telefonował do domu, żeby rodzice się nie martwili, zapewniając, że prędko wróci.

Rzeczywistością było, że mąż jej przekazał, by nie wychodziła z domu. Żeby nikomu nie otwierała drzwi i czekała na jego telefon.

Tyle tylko, że to wszystko działo się jak na jakimś filmie, a nie w rzeczywistości. Coś takiego zdarzało się żonom tajnych agentów, a jej mąż nie był tajnym agentem.

Przynajmniej nic jej o tym nie było wiadomo.

Uczesała się i spróbowała pomyśleć rozsądnie. Często najwłaściwsze jest najprostsze rozwiązanie, jak mówił filozof. Pani Bloom zatem musiała przestać myśleć o ciemnych machinacjach międzynarodowych, o tajnych służbach, o przekleństwie, jakie dotknęło Dom Bazgrołów.

Powinna zapomnieć o wszystkich kryminałach i filmach grozy, o szpiegostwie i o wszystkich artykułach w prasie opisujących porwania dzieci i skupić się na najprostszyc ustaleniach.

Anita czuła się dobrze.

Jej mąż wiedział, gdzie przebywa i szykował się do wyjazdu po córkę.

Jeżeli nic więcej jej nie powiedział, to tylko dlatego, że nie chciał, by się za bardzo gniewała na córkę.

Oto najprostsze podsumowanie.

Ale w takim razie, co miało do tego zniknięcie Tommasa? Czy miało ono związek z historią Anity, czy nie?

Musiała to wiedzieć. Nie mogła dłużej czekać.

Pani Bloom nauczyła swoją córkę szacunku dla sekretów i intymności innych, wszystkich ludzi. Była to dla niej zasada bardzo ważna. Ale tego wieczoru powiedziała sobie, że wyjątkowo nie uszanuje tajemnicy córki.

Nie mogła sobie na to pozwolić.

Była jej matką.

Wyminął ją kot, Mioli, siedzący dotąd na korytarzu i wsunął się do pokoju Anity.

Poczuła się bardzo niezręcznie, kiedy zaczęła otwierać szuflady córki i przeglądać jej zeszyty.

Ale musiała zrozumieć.

Musiała znaleźć dowody, że to najprostsze podsumowanie jest zgodne z prawdą.

W ostatniej rozmowie telefonicznej z mężem odebrała polecenie dziwnie nie przystające do jego uspokajających wyjaśnień. Dlaczego nie pozwolił jej opuszczać domu i otwierać drzwi?

Dlaczego ktoś zakradł się do Domu Bazgrołów i zniszczył dużą część jej pracy konserwatorskiej? Co się za tym kryło?

Przekartkowała nerwowo zeszyty, notatki i dziennik Anity. Najtajniejsze myśli jej córki docierały do niej bez filtrów, wywołując rumieniec wstydu, że po kryjomu do nich zagląda.

Nic nie znalazła...

A jednak.

Na końcu to znalazła.

Zwykła zapiska, nabyzgrana w dzienniku na dzień przedtem, jak Anita wyjechała na spotkanie z ojcem.

- Poza wszystkim ... - przypomniała sobie głośno pani Bloom - Anita nienawidziła podróży do Londynu.

Podczas gdy tym razem niemal ją prosiła o wyjazd.

- Dlaczego...? - szepnęła pani Bloom, czytając notatkę córki.

Brzmiała ona następująco:

Zadzwoń do Tommiego w sprawie spotkania z tłumaczem

„Spotkanie z tłumaczem.”

Jakim tłumaczem? Tłumaczem czego? I dlaczego mieli się z nim spotkać?

Pani Bloom odruchowo pomyślała o języku angielskim.

Zadanie szkolne? W dzienniku jednak poza tą notatką nic nie było.

Przewróciła kartki, wracając do wcześniejszych dni.

I natknęła się na drugą notatkę, którą z jakiegoś dziwnego powodu powiązała z poprzednią.

Może dlatego, że była po angielsku. Może dlatego, że wydała się jej napisana tym samym piórem. Może dlatego, że była matką Anity.

Ulysses Moore? Poszukać.

I tak, pani Bloom rozpoczęła poszukiwania. Najpierw szukała w bibliotece, potem zdecydowała się włączyć komputer (nawet jeśli nie znosiła tego urządzenia z piekła rodem).

Odczekała, aż na ekranie monitora ukazał się obraz, i weszła w internet.

Przypomniała sobie nazwisko, którego szukała. Wystukała „Ulysses Moore”, nacisnęła „szukaj” i czekała.

Po chwili odkryła, że był to pisarz, autor powieści przygodowych.

Kliknęła. Przeciągnęła myszką aż na krawędź stolika; spadła jej ona, więc podniosła ją i znowu nacisnęła. Nie znosiła zwłaszcza tego małego narzędzia, wstrętnej gryzoń!

Spojrzała na kilka kolorowych stron. Nie wzięła udziału w jakiejś grze i przeskoczyła też strony z konkursami.

- Chciałabym tylko wiedzieć, kto jest tłumaczem! - krzyknęła do ekranu, który jej ciągle proponował jakieś rysunki i melodyjki.

Kliknęła, wybrała, otworzyła i zamknęła.

I wreszcie znalazła: ten Ulysses Moore rzeczywiście miał tłumacza.

Zapisała sobie jego nazwisko na karteczce, potem wróciła do wyszukiwarki i z wysiłkiem, większym niż przewidywała, poszukała wiadomości o nim.

Był Włochem.

I też pisarzem.

„Pisze nawet aż za dużo...” pomyślała.

Ale jaki może być związek między tłumaczem a jej córką? Oczywiście, jeśli to był ten tłumacz, o którym Anita wspomniała w swojej notatce.

Spotkanie z tłumaczem.

Czy się spotkali?

I gdzie?

Zanim wyjechała do ojca, do Londynu, Anita nigdy nie ruszała się z domu. Ani Tommaso.

Tommi przez całe swoje życie nigdy nie opuścił Wenecji.

Musieli zatem widzieć się tu, w Wenecji.

Może na jakimś spotkaniu w księgarni?

Komputer zaczął warczeć.

Nic. W internecie nie ma jakiegokolwiek śladu takiego spotkania.

Z wyjątkiem jednego.

W San Dona di Piave.

Pani Bloom znalazła tę bibliotekę w miasteczku o tej nazwie.

Tłumacz miał tam spotkanie z młodzieżą dzień wcześniej. A w artykule napisali, że mieszka w Weronie.

To wystarczyło.

Pani Bloom wyłączyła komputer i wyszła z pokoju.

Zacząła przemierzać tam i z powrotem korytarz.

Która to godzina?

Głęboka noc.

Nie mogła jechać do Werony po nocy.
Nawet nie było pociągu o tej porze.
A poza tym, zdaniem jej męża, nie powinna wychodzić z domu.
Ale dlaczego?
Podeszła do okna w kuchni, rozsunęła zasłony, zerknęła na dwór. Potem się cofnęła, ponieważ przypomniała sobie, że popełnia błąd. Czytała o tym w książkach.
Zrobiła obchód domu i wygasła wszystkie światła.
Odczekała, aż jej oczy przywykną do ciemności i dopiero wtedy wyjrzała na dwór.
Oczywiście, nikogo nie było.
Zresztą, kto mógłby tam być?
„Zawracam sobie głowę głupstwami...” pomyślała pani Bloom, zasuwając zasłony.
I w tym momencie go ujrzała.
Czerwonawe światełko, małeńkie, po drugiej stronie kanału.
Ktoś palący cygaro.
Czerwony ogienek płonący w nocy.
Pod panią Bloom ugięły się nogi. Poczowała się ciężka.
Przesunęła się trochę pod okno, niezdolna uwierzyć w to, co zobaczyła.
Więc jej mąż miał rację?
Naprawdę była śledzona?
Pozostała w miejscu, wpatrując się jakiś czas w tego nieznanego przez szparę między zasłonami. A on zaczął spacerować wzdłuż kanału. Usiadł sobie na stopniach, potem się podniósł, przeszedł przez mostek i podszedł pod jej dom.
Kiedy znalazł się w smudze światła latarni, pani Bloom go rozpoznała.
To był ten typ w meloniku i z parasolem.
Właściciel Domu Bazgrołów.
Nazywał się Eco.
Mieszkanie nagle zamieniło się w więzienie. A jedyną rzeczą, jaką pani Bloom chciałaby zrobić, było wydostanie się na dwór tak, żeby nikt jej nie śledził. Wyjrzała przez judasza. Schody były wolne.
Drzwi solidne, z tych, które się otwierają od środka, a od zewnątrz tylko kluczem.
„Tylko kluczem” pomyślała pani Bloom, wyciągając go pośpiesznie z zamka. Słyszała o takich złodziejach, którzy magnesem potrafią obrócić klucz pozostawiony w zamku.
„Myśl, myśl, myśl...” powtarzała sobie, chodząc bez przerwy tam i z powrotem po pokojach, jak w oblężonej twierdzy.
Pierwsze, co należało zrobić, to się uspokoić.
Drugie, uspokoić się naprawdę.
A trzecie, postarać się zachować spokój.
Zmusiła się do położenia na chwilę na łóżku, podczas gdy w głowie kłębiły się jej nieustannie: nazwisko tłumacza, nazwisko autora powieści przygodowych, dom w którym konserwowała freski, tajemnicze życie Morice'a Moreau i zaginięcie córki.
Wstała i zaczęła sobie parzyć ziółka.
Wywróciła słoik. Podniosła go z ziemi, wlała do czajnika wodę i nastawiła na kuchni.
Nakazała sobie przestać się trząść jak dziecko.
Udało się jej.
Zabrało jej to sporo czasu, ale udało się.
Opracowała plan.
Wróciła do komputera, włączyła go; ogarnęła ją chęć, by dać mu kopniaka, bo tak długo się włączał, zapisała sobie godzinę odjazdu pierwszego pociągu do Werony i wyłączyła komputer. Nie wchodziło w grę nabycie biletu za pośrednictwem tego brzęczącego urządzenia.

Sprawdziła godzinę. Wyjęła z kontaktu wszystkie wtyczki od telefonu.
Potem wyciągnęła walizkę.
Ale kiedy ją już zapakowała, zdecydowała się wszystko z niej wyjąć.
I przygotowała sobie lekki plecak.
A na koniec pomyślała, że nawet on może rzucić się w oczy i postanowiła wyjechać bez niczego.
Zabrała tylko pieniądze. Będzie mogła sobie kupić wszystko, czego potrzebuje.
Potem siadła w kuchni i czekała.
Kiedy nadeszła pora, nastawiła kawę, wzięła głęboki wdech, podeszła do okna i je otworzyła.
Mężczyzna w meloniku i z parasolem ciągle tam był.
- Hej! - zawołała pani Bloom. - Mówię do pana, tak. Wiem, że mnie pan słyszy! Proponuję panu pewien układ. Jeżeli przyjdzie pan na górę, na kawę, powiem panu to, co wiem o mojej córce, a pan mi powie, dlaczego mnie śledzi i pomoże mi córkę odnaleźć. Co pan na to?
Proszę wejść! Przygotuję kawę w kuchni!
Po czym, kiedy mężczyzna zrobił nieznaczny gest ręką, zamknęła okno. Wlała kawę do filiżanki i podeszła do drzwi. Uchyliła je, żeby nieznajomy mógł wejść, pogłaskała Miolego, prosząc go, by był cicho i ukryła się za drzwiami w pokoju.
Posłyszała, jak na dole otwiera się brama.
I kroki na schodach.
Eco musiał przyznać, że pani Bloom była kobietą inteligentną. Zapytał „czy można?“, kiedy wchodził do mieszkania. Pani Bloom nie odpowiedziała, ale Eco wiedział doskonale, gdzie się znajduje kuchnia, pomyślał więc, że gospodyni nie dosłyszała. - Pani Bloom? Czy mogę? - spytał.
Dziwne znaleźć się w towarzystwie osoby, którą się śledzi.
W kuchni na stole stała kawa. Dotrzymała słowa.
Ale sama tylko kawa.
Kiedy wszedł do mieszkania, pani Bloom pojawiła się nagle za jego plecami, wysunęła się na schody i zamknęła drzwi na klucz.
Nie dało się ich otworzyć od środka bez klucza.
I tak, Eco nie mógł wyjść.
Żadnego telefonu z wyjątkiem komórki Tommasa Ra-nieri Strambi.
Która na dodatek była wyczerpana.
Oblegający i oblegana zamienili się miejscami.
Eco usiadł w kuchni i sączył kawę.
Była doskonała.

Rozdział 16 W LABIRYNCIE

W Labiryncie było światło.
Światło, którego tak brakowało na zewnątrz Labiryntu, było całe zamknięte w jego wnętrzu jak w szkatułce. Było to światło ciepłe, złociste, delikatne. Światło ślizgające się po skórze niczym pieszczota.
Labirynt był zwykłym korytarzem, wąskim i wysokim jak nawa w gotyckiej katedrze. Bardzo wąskim i bardzo wysokim.
Anita przytrzymała na pół odemknięte drzwi, żeby umożliwić wejście Jasonowi i Zefirowi.
Potem bez słowa wyciągnęła klucz z zamka i puściła drzwi.
Cicho zamknęły się za nimi.
- Jesteśmy w środku - szepnął Jason, przesuwając się obok Anity.

Wyciągnął rękę i pogłaskał ściany: były szorstkie i porowate, pokryte geometrycznym wzorem kamiennych spojów. Jak skóra węża albo unerwienie liścia. Nie wyglądały na dzieło rąk ludzkich. A jednak nim były.

- W środku czego? - zapytała zdezorientowana Anita. Kiedy się oddaliła od drzwi, spostrzegła jakiś ruch, jakby przesuwanie się masy powietrza. Obok niej przeszedł Zefir, stapiając się ze światłem przenikającym korytarz, jakby byli utworzeni z tej samej materii. Ale to nie jego ruch spowodował to dziwne poruszenie. To drzwi, przez które weszli. Kiedy Anita się obejrzała, drzwi znikły. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał mur, teraz otwierał się bardzo długi złocisty korytarz, zupełnie taki sam jak ten, w który weszli. Labirynt zmieniał swój kształt. Stali długo niezdecydowani, w którą stronę ruszyć.

- Sądzę, że obie są jednakowo dobre - odezwał się Zefir.
- Niemożliwe! - zaproponowała Anita. - Musi być jeden kierunek dobry, drugi - błędny!
- Niekoniecznie - odparł gigant. - Różnica może polegać tylko na tym, czy się trwa bez ruchu, czy też się rusza. A w Labiryncie trzeba się poruszać.
- Dobrze powiedziane - przyznał Jason. - Więc ruszmy się.
- Żeby pójść dokąd? - spytała podniesionym głosem Anita.

Obrócili się, by spojrzeć na swego przewodnika, który odparł: - Są tysiące komnat i tysiące korytarzy... Ale niektóre komnaty są ważniejsze od innych. I łatwiej dostępne.

- Na przykład? - spytał Jason.
- Jest miejsce w centrum Labiryntu, które się nazywa Salą Równowagi. Sądzę, że powinniśmy od niej zacząć.

Jason, pełen wątpliwości, pokręcił głową. - Pierwsze słyszę o czymś takim. Co to za miejsce?

- Nie wiem. Zapominasz, że i ja nigdy nie byłem w Labiryncie. Wiem tylko to, co mi opowiedzieli moi mistrzowie.

Odpowiedź Zefira znów wywołała zniecierpliwienie Anity. - Czy zechcesz wreszcie nam powiedzieć, co wiesz o tym miejscu?

- Prawdę mówiąc, niewiele. Wiem, że w Labiryncie mieszka sporo ludzi. I że oni wszyscy są w Sali Równowagi.

- To skąd wiesz, gdzie się ona znajduje?

Głuchy dźwięk jakby bębna w oddali rozległ się w całym korytarzu.

Nadpłynął jak fala i w ten sam sposób się oddalił.

- Co to było? - spytała wystraszona Anita.

- Nadpłynął z dołu! - odpowiedział Jason.

Gigant przez chwilę nasłuchiwał. Potem powoli odwrócił się w ich stronę i powiedział: - To znaczy, że musimy iść w dół.

Ruszyli.

Zefir szedł przodem, miarowym i kołyszącym się krokiem, Anita i Jason szli obok siebie. Nie było nic szczególnego do oglądania: Labirynt biegł na razie prosto między wysokimi i wąskimi murami opartymi na wdzięcznych arkadach. Był pozbawiony okien i innych źródeł światła. Sam lśnił złociście.

Pierwsza komnata zaskoczyła ich: była, owalna i ze stropem tak wysokim, że nawet w intensywnym świetle ginął w mroku. Posadzkę wypełniała armia złoconych figur: posągi mężczyzn i kobiet, figury smoków i zwierząt, formy abstrakcyjne, fantazyjne, ogromne i małe. Statuy o najrozmaitszych kształtach i rozmiarach, tak ciasno ustawione, że załedwie starczało miejsca, by między nimi przejść. Dziwny przeciąg owiewał je w nieregularnych podmuchach, zdmuchując z ich powierzchni złocisty pył. Wokół niektórych figur przeciąg był silniejszy i powietrze tak gęste, że musieli osłonić oczy i oddychać z zamkniętymi ustami. A gdzie indziej wiatr słał i cicho świstał między ich nogami, jakby czekając na przebudzenie.

Zefir spróbował się zorientować w coraz gęstszej płataninie wąskich przejść w poszukiwaniu wyjścia.

- Czy wiesz, gdzie jesteśmy? - spytał go nagle Jason, podziwiając różnorakie kształty tej nieprawdopodobnej kolekcji rzeźb.

- Sądzę, że to jest Sala Idei - szepnął ich przewodnik.

Zefir szedł przodem, miarowym i kołyszącym się krokiem, Anita i Jason szli obok siebie. Nie było nic szczególnego do oglądania: Labirynt biegł na razie prosto między wysokimi i wąskimi murami opartymi na wdzięcznych arkadach. Był pozbawiony okien i innych źródeł światła. Sam lśnił złościście.

Pierwsza komnata zaskoczyła ich: była owalna i ze stropem tak wysokim, że nawet w intensywnym świetle ginał w mroku. Posadzkę wypełniała armia złożonych figur: posągi mężczyzn i kobiet, figury smoków i zwierząt, formy abstrakcyjne, fantastyczne, ogromne i małe. Statuy o najrozmaitszych kształtach i rozmiarach, tak ciasno ustawione, że zaledwie starczało miejsca, by między nimi przejść. Dziwny przeciąg owiewał je w nieregularnych podmuchach, zdmuchując z ich powierzchni złocisty pył. Wokół niektórych figur przeciąg był silniejszy i powietrze tak gęste, że musieli osłonić oczy i oddychać z zamkniętymi ustami. A gdzie indziej wiatr słabł i cicho świstał między ich nogami, jakby czekając na przebudzenie. Zefir spróbował się zorientować w coraz gęstszej płataninie wąskich przejść w poszukiwaniu wyjścia.

- Czy wiesz, gdzie jesteśmy? - spytał go nagle Jason, podziwiając różnorakie kształty tej nieprawdopodobnej kolekcji rzeźb.

- Sądzę, że to jest Sala Idei - szepnął ich przewodnik.

- Chcesz powiedzieć, że każda z tych figur wyobraża... jakąś ideę? - zapytała z niedowierzaniem Anita.

- Tak właśnie - odparł Zefir. - I wiatr je roznosi hen, daleko stąd.

Anita poczuła przemożną chęć dotknięcia tych figur, lecz nie potrafiła rozróżnić idei dobrych od złych, powstrzymała się więc i żadnej nie dotknęła.

Po długim błędzeniu Zefir zbliżył się do wyjścia z korytarza, zupełnie takiego samego jak to, przez które tu weszli.

Zwlekał kilka chwil, stojąc parę kroków od tego wyjścia, ale w końcu odwrócił się i ruszył w poszukiwaniu innego.

- Dlaczego nie skorzystamy z tego? - spytał Jason.

Zefir wskazał mu przyniesiony skądś przez wiatr złocisty pył, który tu tracił barwę i zmieniał się w smutny szary pyłek. - Sądzę, że to wyjście prowadzi do Sal Strachu.

- A co się znajduje w Salach Strachu?

- Rzeczy zniszczone - odparł Zefir.

W końcu weszli w inny korytarz i idąc nim dotarli do drugiej sali, która według Zefira była Salą Wiatru, gdzie ukrywały się wszystkie wiatry świata.

Minęli także tę salę i w końcu, po kilku zakrętach, dotarli do Sali Równowagi.

Zefir powiedział prawdę.

Jeszcze zanim do niej weszli, posłyszeli głosy.

Głosy męskie i kobiece, śmiechy i wzajemne wymówki, dyskusje toczony półgłosem i hałaśliwe plotki.

Jason przyspieszył kroku.

Z wielkim zdumieniem spostrzegli, że mogą rozróżnić pewne urywki tych rozmów.

- Ale jakie niebezpieczeństwo?

- Oczywiście, że spokojni! Jesteśmy właściwie odcięci!

- Nie mogę w to uwierzyć, doprawdy. Ponad trzy dni podróży... i na co to wszystko?

- Na nic, zupełnie na nic!

A potem wreszcie doszli do progu i zajrzeli do środka.

Sala Równowagi była o wiele mniejsza od Sali Idei, ale w przeciwieństwie do tamtej była w połowie pusta i rozdzielona ogromnym amfiteatrem ze stopniami, siedzeniami, stołami i lampami rozstawionymi wszędzie wkoło.

Ze złocistego sufitu zwisało smutnie kilka chorągwi w nieznanym barwach. Inne powiewały wiotkie na ścianach. W środku sali stała ogromna katedra o groźnym wyglądzie.

Jakieś dwadzieścia osób, rozproszonych na małe grupki, dyskutowało to tu, to tam...

Pierwsze wrażenie Jasona i Anity było takie, że weszli do auli uniwersyteckiej podczas przerwy między wykładami.

Albo do starego parlamentu jakiegoś chylącego się ku upadkowi państwa.

- Co tu się odbywa? - spytał młody Covenant Zefira stojącego przed nim.

Przewodnik wskazał im kilka postaci ze złocistą skórą, stojących nieruchomo przy innym wyjściu z Sali (było ich

w sumie pięć) i powiedział: - Nie wiem dokładnie. Ale, jeśli na mnie zaczekacie, pójdę ich o to zapytać.

Jason i Anita obserwowali uważnie obecnych. Wyglądali oni rzeczywiście niecodziennie i byli poubierani na przedziwne sposoby: dostrzegli na przykład grupkę malutkich czarnych ludzików o nagich torsach i z maleńkimi włóczniami w ręku, rycerza w zbroi, wyprężonego i sztywnego, który z trudem coś pił, mając hełm na głowie, kobietę o bardzo długich bursztynowych włosach, która wodziła wzrokiem dokoła siebie, całkiem jakby szukając kogoś, na kogo mogłaby rzucić czar.

Co jakiś czas głos cieńszy od innych przebijał się przez ten ogłuszający harmider i przywoływał do porządku. -Spokój! Spokój! Koledzy, trochę powagi!

Nikt na to jednak nie reagował.

Anita z Jasonem kręcili się po sali już od kilku minut, gdy ktoś zauważył ich obecność i zwrócił na nich uwagę.

- Zdaje mi się, że nas zobaczyli - szepnęła Anita, spuszczać wzrok.

- Chyba tak.

- I co teraz?

- Teraz zobaczymy, co będzie.

Rozdział 17

PAPIERY, PAPIERZYSKA I NIESPODZIEWANY LIST

Było ich dwoje: bardzo bogato ubrana kobieta o ciemnej karnacji i ładnym greckim profilu oraz malutki człowieczek o skórze złocistej jak u Zefira. On szedł rażno na swoich krzywych nóżkach, ciągnąc za sobą wózek, na którym był zamontowany dziwny mechanizm.

- O la la - wykrzyknął, podchodząc. - Nareszcie jacyś młodzi!

Jason z Anitą wymienili przerażone spojrzenia.

- Doprawdy, miło powitać - pozdrowiła ich kobieta, wysuwając ku Jasonowi dłoń do ucałowania. Jason niezdarnie ją cmoknął.

Złocisty człowieczek z pytającą miną spoglądał to na Anitę, to na Jasona i na koniec zatrzymał wzrok na Anicie. -Z jakiego kraju przybywacie?

- Słucham?

- Skąd przyszlście?

- Z Arkadii - odpowiedziała bez zastanowienia Anita.

Człowieczek zmarszczył brwi, jakby właśnie usłyszał

coś całkiem niewyobrażalnego. - Z Arkadii, powiadacie? Arkadia. O la la. Ale jesteście tego pewni?

Obrócił się w stronę wózka i przysiadł przed urządzeniem, które zajmowało całą jego powierzchnię. Wyglądało ono jak szczególnie stara wersja maszyny do pisania, z bardzo długim zwojem papieru i imponującymi ramionami mechanicznymi, odpowiadającymi nieokreślonej liczbie liter.

Widząc zdziwienie na twarzach dzieci, kobieta wyjaśniła tak cicho, że człowieczek nie mógł jej usłyszeć: - Qwerty jest ogromnie dumny ze swego przenośnego rejestratora.

Człowieczek istotnie zaczął radośnie naciskać klawisze i wyglądał jak uszczęśliwione dziecko.

- Jak się pisze Arkadia? - zaszczębiotał, nie unosząc wzroku znad klawiatury.
- AR-KA-DIA - przesyłabizowała Anita.
- Ale jakim alfabetem? - wybuchnął człowieczek. - Łacińskim? Chińskim? Beled-ki? Aur-ka? Pentixoriano? Rongo-rongo?
- Łacińskim - wyjaśnił Jason.
- Tak myślałem - mruknął człowieczek i powrócił do stukania w klawisze - to widać po ubraniach. Pierwszy raz jesteście w ONZ?
- ONZ? - powtórzył zdumiony Jason.
- W Organizacji Niemiejsc Zjednoczonych - szepnęła kobieta wyjaśniająco.
- Ach... tak - skinął głową chłopiec, uśmiechając się do niej z wdzięcznością.
- Ja też jestem tu po raz pierwszy - uśmiechnęła się i ona. - Także dlatego, że dotarcie tu wymaga potwornego wysiłku...
- O, tak, wiemy coś o tym - zgodził się Jason.

I kiedy mały Qwerty nie przestawał naciskać na swoje klawisze, a przenośna maszyna na wózku to podnosiła, to opuszczała swoje mechaniczne ramiona, przypominające nóżki pająka, kobieta wdała się w miłą pogawędkę z dziećmi. - Gdzie się znajduje miejscowość, z której przybywacie?

- W Pirenejach - odpowiedziała Anita. - Między Francją a Hiszpanią.
- Pireneje... - zauważył Qwerty z roztargnieniem, nie przestając pisać.
- A pani skąd przybywa?
- Z oceanu, z Pacyfiku - odpowiedziała, a koronkowy kołnierz zdobiący jej suknię, zdrzął. - Niektórzy niesłusznie sądzą, że to się znajduje blisko Malagi. To wyspa Guam, znacie ją?
- Nie, przykro mi - powiedziała Anita. - Ale to pewnie piękne miejsce...
- Jeszcze jak! Mamy wspaniałe zwierzęta, a roślinność niezwykle bujną!
- Tak jak myślałem! - zawołał w tej chwili człowieczek przy klawiaturze. - Nie ma żadnej Arkadii.
- Słucham? - spytała go Anita nieco speszona.
- Żadna Arkadia nie figuruje w rejestrze - potwierdził triumfalnie Qwerty. - Nic dziwnego, że nie mogłem jej sobie przypomnieć. Jest Arkadia w Grecji, ale tam, skąd wy przybywacie, w Pirenejach... nie ma żadnej!
- Ale... w jakim rejestrze, przepraszam?
- W rejestrze krajów z wyobraźni legalnie zidentyfikowanych! - odparł głosem tak pewnym, jakby to była najoczywistsza w świecie sprawa.
- To znaczy, że istnieje rejestr krajów z wyobraźni? - spytał wprost Jason.
- Ależ tak, oczywiście. Inaczej jak zwoływalibyśmy zgromadzenia?

Anita usiłowała go przekonać co do istnienia Arkadii.

- Zapewniam pana, że my przybywamy właśnie stamtąd. Przepłynęliśmy rzekę, przeszliśmy przez bramki z dwudziestoma regułami i...

Człowieczek zaczął gryźć palce w zamyśleniu. - Chwileczkę, chwileczkę... Czy ta Arkadia jest jeszcze zamieszkała? To znaczy, czy nie jest przypadkiem jednym z tych krajów z wyobraźni, które uległy zapomnieniu i dokąd nikt już nie jeździ?

- Istotnie, mieszka tam tylko jedna osoba.
- Jedna?
- Teraz może są tam cztery.
- No, to wszystko zmienia! Czwooro to minimalna liczba mieszkańców, żeby się starać o wpis do rejestru. Musimy dokonać kontroli, naturalnie. Wysłać kogoś, żeby sprawdził stan faktyczny. Którą bramką weszliście?

Anita i Jason wskazali Zefira, zajętego rozmową ze swoimi w głębi sali. - Musi pan o to spytać jego.

Człowieczek wspiął się na palce, żeby lepiej widzieć, po czym rzekł: - Dobrze. Zajmę się tym. Nie jest to łatwa sprawa. Trzeba napisać podanie, potrzebne są rzecz jasna upoważnienia, inspektorzy, o la la... czterej mieszkańcy, powiadacie...

- Zawsze ta uprzykrzona biurokracja! - uzalała się kobieta. - Nie obrzydły panu wszystkie te papierzyska, Qwerty?

- Zupełnie nie, madame. To moja praca. A teraz, jeśli pani pozwoli, muszę załatwić pewną sprawę, znaleźć miejsce, gdzie mogliby się rozgościć ci młodzi.

Jasona kusilo, by wtrącić, że prawie wszystkie miejsca siedzące na sali są wolne, ale uprzedziła go Anita swoim pytaniem: - Czy w pańskim rejestrze jest przypadkiem Kilmore Cove?

Mężczyzna podniósł nos i zrobił złośliwy grymas. - Niech zrozumiem. To w końcu przybyliście z Arkadii, czy z Kilmore Cove?

- Z obu, w gruncie rzeczy - odparł Jason. - Ja jestem z Kilmore Cove, podczas gdy Anita...

- Aha. I przybyliście razem?

- Tak - odpowiedzieli zgodnie.

- Nie wydaje mi się, żeby to była procedura poprawna...

- mruknął mały biurokrata.

- Dalej, miły panie Qwerty, pan będzie łaskaw... - poparła ich kobieta.

Odpowiednio ugłaskany człowieczek dał się ubłagać i zasiadł ponownie przed potężną przenośną klawiaturą. -Kilmore Cove. Jak to się pisze?

- Tak jak się wymawia, alfabetem łacińskim.

- Zaraz sprawdzę...

I kiedy dźwignie klawiszy zaczęły się miarowo unosić i opadać, kobieta wróciła do uzalania się nad biurokracją.

- Zawsze to samo. Wszędzie. Formularze do wypełnienia i rejestry do sporządzenia.

- Mogę panią zapytać, jak pani tu dotarła? - zapytała ja Anita, żeby zmienić temat.

- Niech mi panienka tego nie przypomina! Nie chcę o tym mówić! To była podróż bez końca. Wiecie, na naszej wyspie niechętnie się przemieszczamy, nawet po to, żeby złożyć wizytę naszemu królowi. Ale żeby dotrzeć tutaj! Cóż to za wysiłek uterować sobie drogę wśród roślinności, zrozumiem. To w końcu przybyliście z Arkadii, czy z Kilmore Cove?

- Z obu, w gruncie rzeczy - odparł Jason. - Ja jestem z Kilmore Cove, podczas gdy Anita...

- Aha. I przybyliście razem?

- Tak - odpowiedzieli zgodnie.

- Nie wydaje mi się, żeby to była procedura poprawna...

- mruknął mały biurokrata.

- Dalej, miły panie Qwerty, pan będzie łaskaw... - poparła ich kobieta.

Odpowiednio ugłaskany człowieczek dał się ubłagać i zasiadł ponownie przed potężną przenośną klawiaturą. -Kilmore Cove. Jak to się pisze?

- Tak jak się wymawia, alfabetem łacińskim.

- Zaraz sprawdzę...

I kiedy dźwignie klawiszy zaczęły się miarowo unosić i opadać, kobieta wróciła do uzalania się nad biurokracją.

- Zawsze to samo. Wszędzie. Formularze do wypełnienia i rejestry do sporządzenia.

- Mogę panią zapytać, jak pani tu dotarła? - zapytała ja Anita, żeby zmienić temat.

- Niech mi panienka tego nie przypomina! Nie chcę o tym mówić! To była podróż bez końca. Wiecie, na naszej wyspie niechętnie się przemieszczamy, nawet po to, żeby złożyć wizytę naszemu królowi. Ale żeby dotrzeć tutaj! Cóż to za wysiłek utorować sobie drogę wśród roślinności,

a potem spuścić się w tę wilgotną studnię... To jest powód, dla którego nie lubimy za bardzo uczestniczyć w tych zebraniach: całymi dniami marsz w ciemnościach. Dla kogoś takiego jak ja, kto lubi jasne błękitne niebo...

- Kilmore Cove! - wykrzyknął triumfalnie człowieczek od rejestru. - Dobrze! W końcu mam! Oto i ono: Kornwalia, Zjednoczone Królestwo, Europa. O la la! Na Bachusa, o rety... na Bachusa... o la la! Ale... czy to możliwe? Tu musi być błąd,

- Jaki błąd? - zapytał speszony Jason.

- Z tego wynika, że macie jeszcze Wrota Czasu!

Człowieczek znieruchomiał i sprawdzał linijki wydrukowane na długim rulonie papieru, który wysuwał się spod wałka. Popatrz, popatrz. Oto ostatnie zebrania, które opuściliście: 1456, zebranie w związku z wynalezieniem druku ruchomą czcionką; 1509, zebranie z okazji wynalazku zegara...

- Nas też w 1509 roku nie było - wtrąciła półgłosem kobieta, puszczając oko do dzieci. - Nie zostaliśmy jeszcze wtedy wymyśleni.

Człowieczek ciągnął nieco znużony: - Rzekłbym, że właściwie nigdy się nie pojawialiście!

Jason chrząknął nieco speszony. - Hmm... jednak teraz jesteśmy, prawda? Ale... co to za historia z tymi wrotami?

Qwerty jednak tak był pogrążony w papierach, że nawet go nie usłyszał. - O, tutaj była jakaś notatka! - wystukał rząderek czarnych X, żeby skreślić dwie linijki i poirytowany wzruszył ramionami.

- Zawsze te same stare akta. W każdym razie uporządkuję to, jak tylko skończymy. To oczywiste, że musi być błąd. Jakie nazwiska mam wpisać do rejestru?

- Doprawdy... - szepnęła Anita.

- Jason Covenant i Anita Bloom - powiedział Jason.

- Jason Covenant - wystukał mały biurokrata. - I Anita... O la la, nie Ranita, vlra'ta... o tak, dobrze... Zrobione.

Wtedy Jason uznał, że bez sensu jest spodziewać się odpowiedzi od Qwerty'ego i zwrócił się do kobiety stojącej obok. - Czy pani potrafi mi coś powiedzieć o tych drzwiach?

- Zależy, o których drzwiach mówimy. Qwerty? Miałeś może na myśli drzwi-ze świata w świat?

- A niby jakie inne mógłbym mieć?

- Zna je pani? - nalegał Jason, coraz bardziej niecierpliwy i ciekawy.

- A kto ich nie zna! - zawołała kobieta. - Musiały być fantastyczne, ale... niestety...

- Niestety...?

- Niestety, do nas nigdy nie dotarły... - westchnęła kobieta.

- O la la... - mruknął człowieczek, uzupełniając szybko jakieś dokumenty wydrukowane na tym samym rulonie papieru wychodzącym z jego maszyny.

- Co to za czasy musiały być dla podróżników! - szepnęła pani cała rozanielona. -

Zanim to Zgromadzenie głosowało, żeby drzwi usunąć. Szczerze mówiąc, ja bym nadal je budowała. Również z tego powodu, że doszło do mnie, że odkąd je zamknięto, jest nas coraz mniej.

- Coraz mniej kogo?

- Nas - odpowiedziała kobieta. A kiedy spostrzegła, że ani Jason, ani Anita jej nie zrozumieli, dorzuciła: - Domyślam się, że nie znacie historii, prawda?

Z pytającego wyrazu twarzy obojga wynikało jasno, że jej nie znali.

Kobieta westchnęła. - W gruncie rzeczy, ja też o tym wiele nie wiem, ale... cóż, różne krążą pogłoski. I jeśli to prawda, że w Kilmore Cove są jeszcze drzwi-ze świata w świat, to strzeżcie ich jak oka w głowie, ponieważ jest doprawdy mało prawdopodobne, a nawet całkiem nieprawdopodobne, by się gdzieś jeszcze zachowały.

Jason z Anitą patrzyli na nią w milczeniu, niecierpliwie czekając na dalszy ciąg tej historii.

- To był odwieczny spór wśród mieszkańców miejsc z wyobraźni - ciągnęła kobieta. - Sądzę, że tak stary jak same te miejsca z wyobraźni. Z jednej strony byli konstruktorzy wrót, ci wspaniali architekci komfortu, którzy rozwinęli technologię tak wyrafinowaną, że pozwoliła im budować drzwi umożliwiające łączność nawet z najodleglejszymi miejscami z wyobraźni. Pomyślcie tylko, co za cudo!

Jason spojrział na nią i lekko się uśmiechnął.

- A z drugiej strony byli ci inni, czy też duża część tych innych, którzy uważali, że podobna łatwość przemieszczania się skazałaby na zagładę wszystkie miejsca z wyobraźni. Obawiali się inwazji ze strony... tych z zewnątrz, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. I ja się zgadzam, że potrzebna była jakaś kontrola, ponieważ piękno miejsca wyimaginowanego leży w jego elitarności. Ludzie wyselekcjonowani jak należy, w zgodzie z regułami miejsca, nawet kiedy chodzi o reguły dość niezwykle, jak w Kraju Pożeraczy Głów. Mam rację?

Dzieci zgodnie przytaknęły.

- Krótko mówiąc, w końcu konstruktorom wrót uniemożliwiono dalszą pracę. I według mnie to był błąd: po tym, jak wrota zostały zniszczone, żeby bronić naszego spokoju. .. może dlatego, że jestem kobietą, ale... - i mówiąc to, zwróciła się do Anity - ... muszę wam wyznaczyć, że cały ten spokój jest też straszliwie nudny\

- Chwileczkę. Mówi pani, że doszło do walki? - zapytał cicho Jason.

- Nie, żeby aż do walki, nie. Powiedziałabym raczej do... wielkiej niezgody. Do podziału na mniej więcej dwie frakcje. Z jednej strony konstruktorzy i, jeśli się nie mylę, jakiś młodzieniec z Eldorado czy z Krainy Puntu... i oczywiście ci włoscy kupcy, jak oni się nazywają?

- Wenecjanie? - podsunęła Anita.

- Właśnie. Dla nich Wrota Czasu były ogromnym ułatwieniem w handlu, wiecie. I jak nie przyznać im racji?

PAPIERY, PAPIERZYSKAI NIESPODZIEWANY LT ^

- kobieta głęboko westchnęła. - Chciałabym choć raz w życiu spróbować prawdziwych włoskich lodów. Tyle o nich słyszałam! Ale z tego miejsca, gdzie mieszkam, byłaby to podróż bez końca!

- A kto był przeciwny wrotom? - dopytywał się Jason, który czuł, że jest bliski odpowiedzi, których tak długo szukali.

- Och, przede wszystkim ci zadufani Atlantydzi... Na początku byli po stronie tych, którzy chcieli budować wrota. A potem, kiedy zanurzyli się w morzu, zmienili nagle zdanie. I przekonali innych, żeby się za nimi opowiedzieli.

Kłopotliwe milczenie, jakie po tym zapanowało, przerwał nagle trzask oddzieranego papieru, który Qwerty właśnie wyciągnął ze swojej maszyny.

- O la la, moi drodzy. Oto dla was rozkład dnia. Na dziś przewiduje się wymianę na stanowiskach w administracji, dyskusję nad zagrożeniem nowymi technologiami i prośbę o przyjęcie dwóch małych państweczek nieistniejących w Azji Środkowej. Ale, sądząc z liczby obecnych, nie przypuszczam, żebyśmy osiągnęli niezbędne quorum...

Człowieczek sprawdził maszynę i dokończył: - trzeba będzie zatem odłożyć tę sprawę na następne dziesięć lat.

Jason zerknął na dziwaczne postacie rozproszone po Sali. Zapytywał siebie, z jakich miejsc z wyobraźni pochodzili? Może ktoś z nich miał jakąś inną informację o budowniczych drzwi. Co powinien zrobić? Jak się zachować? Czy milczeć czy ruszyć się i zadać kilka pytań, krążąc po sali, ryzykując zwrócenie uwagi na Kilmore Cove i ocalałe tam wrota.

- Musimy pomówić o tym z innymi - szepnął do Anity. - Prędko!

Nigdy wcześniej nie otrzymali takiego bodźca do rozwiązania tajemnicy. Teraz wiedzieli, że konstruktorzy wrót wymyślili wyrafinowany system, dzięki któremu mieszkańcy miejsc z wyobraźni mogli swobodnie przemieszczać się z jednego do drugiego. I że ten system nie wszystkim się podobał.

- Zaprowadzę was na wasze miejsca, młodzieży! - odezwał się nagle Qwerty. Zaczął się wspinać po stopniach amfiteatru, zatrzymując się od czasu do czasu dla sprawdzenia sektora, wchodząc i schodząc w poszukiwaniu właściwego rzędu. Za nim szli zdeorientowani Anita i Jason, rozglądając się dokoła.

W końcu dotarli do dwóch krzeseł usytuowanych mniej więcej w połowie prawego półkola i człowieczek tu przystanął. - Proszę, szanowni państwo - oznajmił z uroczystą miną, wskazując miejsca oczekujące dwojga przedstawicieli Kilmore Cove. - To są wasze... hmm... o la la...

Wyciągnął z kieszeni ogromną chustkę i kilkoma uderzeniami strzepnął z krzeseł chmurę złocistego pyłu.

- Wybaczcie ten kurz, ale doprawdy od bardzo dawna nie widzieliśmy nikogo z Kilmore Cove - mruczał przepraszająco.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Jason. - Czy mogę o coś zapytać?

- Pod warunkiem, że i ja nie będę musiał zadawać jakiegoś pytania - odpowiedział z chytrą miną Qwerty.

- Zgoda. Ciekawi mnie, czy wśród tu obecnych jest ktoś z Atlantydy?

W odpowiedzi człowieczek uśmiechnął się tylko pod wąsem. - Ktoś z Atlantydy? A czy widać tu gdzieś wieloryba?

- A budowniczego wrót?

- Nie, oczywiście, że nie! - wybuchnął zniecierpliwiony Qwerty.

- A pan? - zapytał następnie Jason. - Z jakiego miejsca pan pochodzi?

- Ja mieszkam tutaj - odparł człowieczek i z dumą okazał kołnierz marynarki, do którego przypięty był znaczek z łbem byka pod obosiecznym toporem.

- Ależ oczywiście! - wykrzyknął Jason, uderzając się ręką w czoło. - Pan jest mieszkańcem Labiryntu! To przecież jest...

- Miejsce z Wyobraźni - zakończyła za niego Anita.

Qwerty wsunął szybko do kieszeni chustkę, którą odkurzył ich krzesła. - Tak. To już wszystko, proszę państwa.

Odwrócił się, by odejść, ale zatrzymał się jeszcze z wahaniem na ich stopniu. I nie odwracając głowy, rzucił niby od niechcenia pytanie: - Działają jeszcze?

- Co takiego?

- Proszę mi nie kazać powtarzać pytania.

Qwerty odwrócił teraz głowę i obrzucił chłopca spojrzeniem od stóp do głów tymi swoimi małymi świdrującymi oczkami.

Jason wytrzymał jego spojrzenie i uśmiechnął się: - Tak, jeszcze działają, ale niech pan o tym nikomu nie mówi, dobrze?

Mężczyzna nagle się rozpromienił. - Wiedziałem! Byłem tego pewien! - Rozejrzał się dokoła z szybkością jelonka, który znalazł się na muszce i dodał jednym tchem: - Ja w każdym razie głosowałbym za tym, żeby ocalały.

I podreptał w dół po stopniach.

Anita i Jason usiedli na swoich miejscach lekko oszołomieni. Chłopiec położył przed sobą dwa czarne kamienie na szczęście, swoje talizmany, które zabrał z doliny czarnej rzeki i wpatrywał się w nie czas jakiś w zamyśleniu. Jego wyobraźnia galopowała niepowstrzymanie.

Znajdowali się w samym sercu całego systemu Miejsc z Wyobraźni, które on i jego przyjaciele zaczęli poznawać dzięki Wrotom Czasu. Dotychczas podróżowali tylko w poszukiwaniu Pierwszego Klucza i żeby odkryć tajemnicę, kim był naprawdę Ulysses Moore. Ale teraz, wreszcie, mieli możliwość zrozumienia samej racji bytu wrót i całego tego niewiarygodnego świata równoległego. Chłopiec po trochu starał się otrzeźwieć i zaczął spostrzegać mniej zachwycające aspekty tego miejsca. Tu i tam widać było oznaki dekadencji. Wiele krzeseł wyglądało jakby ich nigdy nie używano. Całe fragmenty amfiteatru były zniszczone, jawnie opuszczone od wieków. Nieliczne osoby obecne w tej ogromnej sali pogłębiały jeszcze wrażenie pustki i bezużyteczności, jakim to Zgromadzenie emanowało.

- Jesteśmy czterema kotami - szepnął do siebie Jason. - Czterema kotami z wyobraźni... Tymczasem Anita, siedząc obok niego, próbowała bezskutecznie nawiązać łączność z kimś za pośrednictwem zeszytu.

Po kilku próbach zamknęła go, ziewając. Zmęczona oparła głowę na rękach. - Jestem wykończona.

Jason wsunął się głębiej w krzesło i oparł. - Nie możemy tak siedzieć beczynnie.

- A co proponujesz?

- Odnajdźmy Zefira i ruszmy się zadać trochę pytań ludziom. A może, jak już tu jesteśmy, spróbujmy też odkryć, jak się stąd wychodzi.

- Możemy iść za panią z Guam..., a potem zatelefonować do moich na drugim krańcu świata! - zażartowała Anita.

Jason chciał jednak działać. I wszystko by robił na raz. I kiedy tak kłębiły mu się w głowie najrozmaitsze pomysły, które rozważał sam ze sobą, Anita zauważyła pod stolikiem małe pudełko na korespondencję.

Otworzyła je ostrożnie i odkryła, że zawiera ono zamkniętą kopertę.

- Hej, spójrz tutaj.

- Co takiego?

Anita obróciła kopertę w rękach i gdy tylko przeczytała, do kogo była zaadresowana, zatkało ją.

- To list do Ulyssesa Moore'a - wyjąkała w końcu.

- List do Ulyssesa Moore'a? Jak to możliwe? Kto może znać...

Wtedy dziewczynka wskazała mu nazwisko na kopercie i Jason tylko wykrztusił: - O kurczę. Nie. Nie mogę w to uwierzyć.

Potem wziął kopertę z rąk przyjaciółki i otworzył ją.

- Co robisz, Jasonie! To nie do ciebie!

Nie zważając na protesty dziewczynki, Jason wyjął z koperty zapisaną kartkę papieru.

Drogi Ulyssesie, jeśli czytasz te słowa, oznacza to, że sprawy potoczyły się inaczej, niż przypuszczałam...

Tekst kończył się eleganckim podpisem z niewielkim zawijaszem, najwyraźniej pismem kobiecym: Penelopa Moore.

nazwisko: Qwerty

miejsce urodzenia: w nieznanym czasie, w Labiryntcie miejsce zamieszkania: Labirynt znaki szczególne: jest kanclerzem Parlamentu Miejsc z Wyobraźni. Ma ze sobą skomplikowany mechanizm, za pomocą którego rejestruje i kataloguje każde wydarzenie godne uwagi.

Rozdział 18 KONSPIRATORZY Z WYOBRAŹNI

Po kilku bezskutecznych próbach cucenia ze strony Blacka, pan Blop m w końcu odzyskał przytomność. Pozostał jednak na wszelki wypadek w pozycji leżącej na łóżku Nestora. Leżąc przysłuchiwał się rozmowie toczącej się w domku ogrodnika Willi Argo.

Historia wydawała się ogromnie zagmatwana. Część interesująca go najbardziej, czyli pytanie, gdzie jest Anita, zajęła zaledwie kilka minut opowieści. Wyjaśniono mu podróż samolotem, opowiedziano o Arkadii, o drzwiach prowadzących nie wiadomo dokąd i że jego córka otworzyła je kluczem z główką w kształcie kruka. I żeby łatwiej mógł przełknąć całą tę górę absurdów, pokazano mu pudełko, w którym znajdowało się kilka kluczy, z pewnością wartościowych i niewątpliwie dziwacznych.

Nazywali je kluczami do Wrót Czasu.

Tylko że te Wrota Czasu pozwalały na coś więcej niż jedynie podróże w czasie.

One łączyły światy.

Światy, które oczywiście nie istniały.

Albo, ściślej biorąc, istniały, ale znajdowały się poza szczeliną, wielką szparą, która oddzielała to, co jest całkowicie realne od tego, co przeciwnie, może jedynie takie być.

Albo nie.

Pan Bloom poprosił o kawę.

Bardzo mocną.

I usiadł na łóżku.

Zagadnienie najpilniejsze, które kazało przybrać wszystkim osobom zebranych w kuchni Nestora groźne miny konspiratorów, dotyczyło tak zwanych Podpalaczy. Pan Bloom był już poinformowany przez Blacka Wulkan o aktywności tych panów: to byli ci sami, którzy wzięli pod obserwację jego dom i pilnowali domu jego żony. Te same osoby z jakiegoś powodu, którego nie potrafił zrozumieć, śledziły jego córkę. I teraz, jeśli dobrze zrozumiał, zagroziły miasteczku, w którym się znajdowali.

- Ale nie mają przewodnika - powiedział Tommaso, przyjaciel jego córki - ani jakiegoś przedmiotu z Kilmore Cove, bez którego nie mogą tu dotrzeć.

- Przedmiot mogliby mieć - burknął Nestor, najstarszy z zebranych, wyraźnie zły.

- A co by to było?

- Zeszyt Morice'a Moreau - przypomniał ogrodnik. - O ile wiemy, zanim znalazł się w Londynie na Frogal Lane, mógł przez całe lata pozostawać w mojej bibliotece.

- To poważny problem - zauważył Black Wulkan, drapiąc się po czarnej brodzie.

Popatrzył na Nestora bardzo zatroskany.

- W każdym razie przewodnika nie ma - powtórzył Tommaso.

- To prawda. Z drugiej jednak strony... jeśli naprawdę ci dwaj, bracia Nożyce, zdołali dojechać do miasteczka, to wątpliwość pozostaje - powiedział ogrodnik, błędząc niespokojnym spojrzeniem po cieniach za oknem.

- Jaka wątpliwość?

- Ta, co zawsze - odparł Black Wulkan. - Czy Kilmore Cove jest, czy też nie jest Miejscem z Wyobraźni.

Tommaso w zadumie potarł sobie czoło. - Jasne, że jest.

- Cóż, chłopcze, co do tego nie wszyscy jesteście zgodni. I nigdy nie byliśmy - uciął krótko Nestor.

- Według mnie, jest - powtórzył z uporem chłopiec.

- A według mnie, przeciwnie, nie jest - wtrąciła się Julia z wyrazem nudy na twarzy, jedyna dama w tym gronie.

- Nie byłabym wcale zachwycona odkryciem, że mieszkam w miejscu, które nie istnieje. Pan Bloom przyglądał się jej z uwagą. Była mniej więcej w wieku jego córki, była bardzo miła, a jej oczy lśniły inteligencją. Ale przede wszystkim wydała się panu Bloom osobą praktyczną. Pogratulował sobie w duchu tego spostrzeżenia.

Stopniowo dyskusja coraz bardziej się ożywiła. Obracała się wokół pytania, jak najlepiej stawić czoła zagrożeniu, realnemu czy przypuszczalnemu, ze strony Podpalaczy. Najgorsze było to, że dwaj najstarsi w tym gronie mężczyźni nie mogli dojść do porozumienia. Nestor był zdania, że najlepiej nie robić nic i czekać, zważywszy, że jak się zdaje, Podpalacze w gruncie rzeczy nie są tacy liczni. Black przeciwnie, proponował plan ataku frontального: odkurzyć stare koparki, zatarasować ulice, odeprzeć wszystkimi możliwymi środkami, jakie mieli do dyspozycji, wszelkie próby wślizgnięcia się kogokolwiek do miasteczka. I to jeszcze mógł pan Bloom zrozumieć.

Kiedy jednak „spiskowcy” w domku ogrodnika wspomnieli o jakiejś książce, dzięki której mogą rozmawiać z Anitą, pan Bloom już nie wytrzymał.

- Wybaczcie... - wtrącił - czy mógłbym zobaczyć tę książkę?

W odpowiedzi podali mu szybko cieniutki zeszyt ilustrowany kilkoma niezwykle precyzyjnymi i misternymi rysunkami. Potem mu wyjaśnili, że w tej chwili, w trzech

V[^] I KONSPIRATORZY Z WYOBRAŹNI t[^]
ramkach, które zdobiły kilka stron zeszytu, nie ukazuje się żaden wizerunek, że zatem zeszyt w tym momencie nie działa.

Pan Bloom spostrzegł jednak, że przeciwnie, w jednej z ramek ktoś był: bardzo niski mężczyzna, siedzący na stosie poduszek.

W kuchni zapadło złowrogie milczenie.

- To on - wyszeptał Tommaso.

- On, to znaczy kto, przepraszam? - spytał nieco speszony pan Bloom

Wyjaśnili mu, kim był ów „on”.

- A zatem to byłby ten człowiek, który zagraża Kilmore Cove, temu drugiemu miejscu i mojej córce?

- Dokładnie tak - odparł Nestor.

- Czy wy sobie nie zdajecie sprawy z absurdalności całej tej sytuacji?

Nestor spojrział wymownie na Blacka Wulkana, jakby z wyrzutem, że sprowadził do Kilmore Cove pana Blooma, a dawny kolejarz dał mu znak, żeby odczekał jeszcze chwilę, jakby obecność pana Blooma stanowiła w jego myślach część większego planu, o którym nie miał dotąd okazji pomówić z przyjacielem.

Nikt nie miał ochoty na dodatkową polemikę.

- A jak to się robi, żeby z nim porozmawiać? - spytał nagle tata Anity.

- Nie z nim. Proszę szybko zamknąć tę książkę, tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

- Wcale nie lepiej! - oburzył się bankowiec. - Chcę spróbować! Jeśli uporam się choćby z jedną z tych niesamowitych, pozbawionych logiki rzeczy absurdalnych, o jakich tu mówicie, może zdołam przekonać samego siebie, że nie trafiłem na oddział wariatów.

- Zgoda, panie Bloom... - ustąpił Nestor po zastanowieniu. - Nauczę pana, jak rozmawiać z Wojniczem. Będzie pan przestrzegał moich instrukcji ściśle co do joty, nie piśnie pan słówka, kim pan jest i gdzie się pan znajduje, a potem zamkniemy książkę.

- Zgoda.

- Proszę położyć rękę tutaj.

- Gdzie?

- Na rysunku.

- I co dalej?

- Proszę zrobić, co mówię, a będzie pan mógł zacząć rozmowę.
- Pan Bloom zbliżył dłoń do stronicy, ale tuż przed jej dotknięciem, zatrzymał się.
- O co chodzi? - zapytał zniecierpliwiony Nestor.
- Proszę mi wyjaśnić jedną sprawę: ten człowiek chce spalić wszystko to, co ma związek z Kilmore Cove, ponieważ myśli, że ono nie istnieje? Czy tak?
- Tak.
- A jednak wyruszył w podróż, żeby je odnaleźć.
- Tak.
- Mówiliście, że chce usunąć wszystko to, co uważa za powierzchowne, podrobione, nieistniejące.
- Tak.
- A jednak, jak się zdaje, ma egzemplarz tej książki. Coś, co jest jawnie przedmiotem nieistniejącym. - Obecni znowu potwierdzili. - Więc albo jest to wariat, albo... przyciąga go to, czego nienawidzi. Jakby nie mógł kochać tego, co chciałby pokochać. Nadażę pan za mną?
- Nadażam - odpowiedział Black Wulkan.
- Żadnych zastrzeżeń - zgodził się Nestor.
- Pan Bloom zbliżył palce, by dotknąć rysunku w zeszytce. Jednak cofnął dłoń, jakby się zawahał. - Jaka jest najkrótsza droga dojazdu do Kilmore Cove? - zapytał.
- Droga na Bannows - odparł Black Wulkan, zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać.
- Bannows, świetnie - przytaknął pan Bloom.
- I od razu przytknął palce do kartki papieru.
- W tym samym momencie posłyszał w głowie głos, który go zapytał: - ŻE CO? MOŻNA WIEDZIEĆ, KTO MÓWI?
- Pana Blooma zatkało z wrażenia. To niemożliwe! To naprawdę działało.
- Dobry wieczór, panie Wojnicz - zdołał w końcu wykrztusić.
- Nestor zerwał się na równe nogi, ale Black go powstrzymał.
- SKĄD PAN ZNA MOJE NAZWISKO?
- Czy zechciałby pan przestać krzyczeć, z łaski swojej? Słyszę pana doskonale.
- Dobrze. Ale kim pan jest?
- Niech pan sobie daruje to pytanie. Czy jest pan jeszcze w Londynie?
- Nie... hmm... jestem w podróży.
- Doprawdy? W podróży? A gdzie?
- Wojnicz chwilę się zawahał, zanim odpowiedział.
- W Kornwalii.
- Co za zbieg okoliczności! Ja też! Co by pan powiedział na propozycję spotkania, na przykład jutro?
- Doprawdy...
- Od lat próbuję zrozumieć, jak działa ta książka. Może przypadkiem pan to wie?
- Nie. Nie całkiem. Właściwie sędzę, że to nie może działać, ale... niech pan sobie wyobrazi, że zaledwie kilka godzin temu zdarzyło mi się skorzystać z tego zeszytu, żeby rozwikłać pewną szaradę. To istne szaleństwo, nie wydaje się panu?
- Tak, ja też z trudem daję temu wiarę, ale... dobrze, że rozmawiamy? Czyż nie?
- Tak, tak, rzeczywiście.
- Spotkajmy się jutro. Może wspólnie uda się nam odkryć tę tajemnicę.
- Gdzie i kiedy?
- O dziewiątej na skrzyżowaniu do Bannows.
- A zatem o dziewiątej.
- Czy zechciałby pan przestać krzyczeć, z łaski swojej? Słyszę pana doskonale. • /
- Dobrze. Ale kim pan jest?

- Niech pan sobie daruje to pytanie. Czy jest pan jeszcze w Londynie?
- Nie... hmm... jestem w podróży.
- Doprawdy? W podróży? A gdzie? Wojnicz chwilę się zawahał, zanim odpowiedział.
- W Kornwalii.
- Co za zbieg okoliczności! Ja też! Co by pan powiedział na propozycję spotkania, na przykład jutro?
- Doprawdy...
- Od lat próbuję zrozumieć, jak działa ta książka. Może przypadkiem pan to wie?
- Nie. Nie całkiem. Właściwie sędzę, że to nie może działać, ale... niech pan sobie wyobrazi, że zaledwie kilka godzin temu zdarzyło mi się skorzystać z tego zeszytu, żeby rozwikłać pewną szaradę. To istne szaleństwo, nie wydaje się panu?
- Tak, ja też z trudem daję temu wiarę, ale... dobrze, że rozmawiamy? Czyż nie?
- Tak, tak, rzeczywiście.
- Spotkajmy się jutro. Może wspólnie uda się nam odkryć tę tajemnicę.
- Gdzie i kiedy?
- O dziewiątej na skrzyżowaniu do Bannows.
- A zatem o dziewiątej.
- Świetnie. Do jutra.

Pan Bloom oderwał palce od kartki i zakrzyknął uradowany: - Fantastycznie! To naprawdę działa!

- Doskonale się pan spisał, panie Bloom - pogratulował mu Nestor, choć siłą rzeczy nie mógł słyszeć odpowiedzi Wojnicza. - Pański zmysł praktyczny mile mnie zaskoczył. Black Wulkan rzucił Nestorowi spojrzenie, które mówiło: „Widzisz, że nie na próżno go tu przyprowadziłem?”

- A teraz - dodał stary ogrodnik - jeśli wolno zapytać, czy mógłby pan nam wyjaśnić, co zamierza pan dalej robić?

Kiedy pan Bloom skończył przedstawiać swój plan, wszyscy zgodzili się, że to dobry pomysł. Potem, zważywszy późną porę, zdecydowali, że czas się rozejść spać.

Julia we własnym łóżku. Tommaso na tapczanie w domku Nestora. Pan Bloom w domu Blacka Wulkana, który z góry przeproszał gościa za bałagan, jaki tam zastanie.

- Wie pan, jak to jest, kiedy w domu brakuje kobiecej ręki. To prawdziwa klęska.

- Wiem coś o tym - odpowiedział ze smutkiem pan Bloom.

I po raz kolejny obiecał sobie, że kiedy skończy się cała ta historia, przeniesie się do Wenecji, do żony i córki, do swoich ukochanych kobiet.

Z bankiem czy bez banku.

nazwisko: Robert Bloom

miejsce urodzenia: Glastonbury, 13 grudnia 1967 miejsce zamieszkania: Londyn

znaki szczególne: dokładny, uporządkowany i metodyczny od małego postępował zgodnie z tradycją rodzinną i jako dorosły znalazł sobie spokojną pracę w banku. Ale spokój na dłuższą metę staje się nudny!

Rozdział 19

SALE STRACHU

W Sali Równowagi zaczynało się coś dziać.

Osoby o złocistej skórze uwijały się jak pszczoły i nim minęła chwila, w Zgromadzeniu zapanowało pełne napięcia milczenie. Przedstawiciele różnych Miejs z Wyobraźni zajęli wyznaczone im miejsca, rozsiani po sali jak świecące punkciki.

Qwerty wdrapał się na katedrę i uroczyście obwieścił:

- Otwieramy zebranie!

Zabrzmiął dzwonek.

- Witamy naszego prezesa!

Rozległy się skąpe brawa nielicznych obecnych.

Spojrzenie Anity padło na złocisty korytarz, gdzie kilka minut wcześniej stał Zefir. Ale po olbrzymie nie było już śladu.

Jason złożył list, który dopiero co skończył czytać. - Musimy go przemycić - powiedział, rozglądając się nerwowo dokoła.

Anita zrobiła poważną minę.

- Przeczytałeś list, który nie był przeznaczony dla ciebie.

- No i?

- To bardzo poważna sprawa.

- Nie w tym wypadku.

- Właśnie, że tak. To... nie do przyjęcia. To znaczy, że nie można ci zaufać.

- Anita, błagam! Widziałeś, kto go napisał? Penelopa!

- A ty widziałeś, do kogo był zaadresowany? Do jej męża. To jest list prywatny, a ty naruszyłeś ich intymność.

- No i co z tego? Jesteśmy na tropie budowniczych wrót od lat, a Ulysses jeszcze dawniej, zanim my wymówiliśmy słowa „Wrota Czasu”. - Zamachał listem przed nosem bardzo zasadniczej przyjaciółki. - Wiesz, co ona tu pisze?

- Nie. I ty też nie powinieneś tego wiedzieć.

Jason skierował się do swojego krzesła. Był tak przejęty tym, co się stało i listem Penelopy, że prawie nie zauważał, co się dzieje dokoła nich.

Jakiś wielce sędziwy osobnik w długim płaszczu, który ciągnął się za nim po ziemi, i w migocącym wymyślnym nakryciu głowy, włókł się irytująco wolno w stronę katedry.

Wszystko w nim, od ubrania po sposób poruszania się, było obrazem starości i kruchości. Kiedy ostatecznie dowlókł się do katedry i podniósł głowę, żeby powitać obecnych, mało brakowało, a nakrycie głowy spadłoby mu na plecy.

Głos mu trącił pleśnią, a tak był skrzeczący i dokuczliwy jak brzęczenie muchy.

- Drodzy przyjaciele! Witam was uroczystie w Labiryncie! - rozpoczął z patosem swoje przemówienie. - W miejscu, w którym spoczywają wspomnienia człowiecze. Zebraliśmy się tu, żeby...

- Nie powinieneś być go czytać - powtórzyła Anita naburmuszona.

- Właśnie, że powinienem - odparł półgłosem Jason.

- Właśnie, że nie!

- Penelopa może jeszcze żyć.

- No i co z tego?

- Co z tego? Jak możesz mówić „co z tego”? Sądziłem, że się zabiła, spadając z urwiska. Wszyscy tak myśleliśmy. Mąż sprawił jej pogrzeb i pochował ją w grobowcu rodzinnym, a niech to!

- Jeśli tak, to pochował też samego siebie.

- Przeczytaj list!

- Ani mi się śni.

- Penelopa zeszła do Labiryntu! - perswadował Jason. - Odkryła istnienie tego miejsca i...

- Ble ble ble! - przedrzeźniała Jasona Anita na tyle głośno, że zmusiła go do milczenia. Potem zatkała sobie uszy rękami i tak zastygła, milcząc z wzrokiem utkwionym w jakiś punkt prosto przed sobą.

- ... i zatem odczuwam ogromną satysfakcję - skrzeczał tymczasem prezes Zgromadzenia Miejsc z Wyobraźni -że znajduję się dzisiaj tutaj, by zapoczątkować te prace, które, jak sobie obiecuję, przyniosą w darze naszym krajom nowe reguły i nowe postawy...
 - Penelopa dotarła tu, nie korzystając z Wrót Czasu -przekonywał Jason.
 - Powiedziałam ci już, że mnie to nie obchodzi.
 - I bała się. Bała się, że ją nakryją. Obawiała się, że nie wróci już nigdy do domu i dlatego pozostawiła ten list. To przecież oczywiste. Jej słowa czekały na odczytanie z górą dziesięć lat!
 - A ty nie potrafisz poczekać bodaj dziesięciu sekund, żeby nie wtrącić nosa w cudze sprawy.
 - A żebyś wiedziała. I ty też tak powinnaś robić.
 - Jason, nie zmuszaj mnie, żebym wstała.
 - Ale to jest właśnie to, co musimy zrobić! - zawołał Jason zdenerwowany. - Wstać i natychmiast udać się na poszukiwanie Penelopy!
 - Jason!
 - Czy nie rozumiesz? Ona może tu jeszcze być, w tym Labiryncie.
 - Jason!
- Dźwięk dzwonka nakazał im natychmiastowy spokój.
- Młodzi! Uspokójcie się, proszę! - zwrócił im zza katedry uwagę Qwerty.
- Jason z Anitą przeprosili, uśmiechając się nieco speszeni. W ciszy, jaka teraz nastąpiła, jednostajny głos prezesa zabrzmiał ponownie w usypiającym wystąpieniu: -... a zatem tradycji, którą reprezentujemy, mogą czynić zadość tylko cele osiągnięte w trakcie...
- Co za człowiek! - szepnęła Anita przez zaciśnięte zęby.
 - Co się przejmujesz tym człowiekiem! Musimy stąd wyjść i to prędko! Albo umrzemy z nudów.
 - A dokąd zamierzasz iść?
 - Penelopa pisze, że...
 - Nie chcę nic wiedzieć, co pisze Penelopa! Pytałam cię, dokąd zamierzasz iść. A poza tym, dopóki zebranie się nie skończy, nie możemy nikogo o nic zapytać.
 - I to znaczy, że poradzimy sobie sami, jak zawsze.
- Śmiało, idziemy.
- Tak na oczach wszystkich?
 - Teraz ja wstanę, a ty idź za mną.
 - Dlaczego?
 - Ponieważ ja się nigdzie bez ciebie nie ruszę.
- Anita odwróciła się nagle i Jason pocałował ją w usta.
To było odruchowe, nieprzewidziane i całkowicie nie do pohamowania.
- To były najmiłsze słowa, jakie kiedykolwiek od ciebie usłyszałam, wiesz? - szepnęła mu na ucho.
- I znowu zadźwięczał dzwonek upominający ich, a jego echo rozległo się po sali.
- O la la, młodzi! Trochę powagi!
- Jason wstał, Anita za nim.
- Wybaczcie nam! Wybaczcie! - zawołał Jason na tyle głośno, żeby go wszyscy usłyszeli. - Nie martwcie się, już nie będziemy przeszkadzać! Panie Qwerty! Panie prezesie! Koledzy! Do zobaczenia!
- Po czym zwrócił się do Anity: - Teraz albo nigdy!
- Zeszli ze schodów po dwa stopnie naraz, czerwoni na twarzy ze wstydu.
- W którą stronę? - spytała półgłosem Anita, kiedy byli na dole amfiteatru.
 - W prawo - zdecydował Jason, nie odwracając się.

Dzwonek pana Qwerty całkiem oszalał. Wśród obecnych wyczuwało się niezadowolenie. Ale dzieci się nie zatrzymały.

Nawet kiedy jakiś długonogi mężczyzna rzucił się za nimi w pogoń.

- Zefir! - uśmiechnął się Jason, gdy go rozpoznał. - Już się martwiłem, co się z tobą dzieje.

- Chyżo umykamy, nudy unikamy, kto wie, co zrobimy,

czy tutaj wrócimy! Och, przepraszam! Obawiam się, że powróciłem do starych nawyków...

- Nie przejmuj się - odpowiedział mu wyrozumiały tym razem Jason. - Powiedz raczej, czy się czegoś dowiedziałeś?

- Zadałem wiele pytań, mój przyjacielu.

- To bardzo dobrze, bo teraz właśnie potrzebujemy odpowiedzi.

Jason szedł śpiesznie, ciągnąc za sobą Anitę. Powiedział Zefirowi, gdzie ma ich zaprowadzić, a olbrzym wbił w niego zatroskane spojrzenie.

- W ruiny?

- Tak, właśnie. W ruiny. Mówiłeś mi poprzednio o ruinach w Salach Strachu.

- To bardzo nierozsądne, mój chłopcze. Mogę chociaż zapytać, dlaczego chcesz, żebym tam cię zaprowadził?

- Tam musi się znajdować to, czego szukam.

Zefir pokręcił głową. - Mocno wątpię, czy w Salach Strachu można cokolwiek znaleźć. Tam, w dole nie ma nic, słychać tylko bezustanne zgrzytanie.

- To była sala budowniczych, nie? - nalegał Jason, usiłując pochwycić spojrzenie przewodnika, który unikał jego wzroku. - To tam konstruowali wrota, dobrze mówię?

Zefir szedł szybko swym kołyszącym się krokiem. Nie odpowiedział.

Doszli znowu do Sali Idei i z niej weszli w korytarz, gdzie złociste światło poszarzało od kurzu.

Nie był uprzątnięty i pusty jak inne, lecz zawalony gruzem. Wkrótce ruiny zablokowały prawie całkowicie przejście i trójka skulonych wędrowców musiała iść gęsiego, żeby posuwać się do przodu.

- Czy ty wiesz, co tu się wydarzyło? - zapytał Jason przewodnika, przepychając się przez gruzy.

- Nie bardzo. Nie.

- A co wiesz o budowniczych drzwi?

- Prawdę mówiąc, niewiele, ale pytałem innych z Labiryntu, kiedy wy poszliście na swoje miejsca. Weźcie pod uwagę, że to tylko ich wersja... Zdaje się, że kiedy zapadła decyzja w sprawie przyhamowania konstruktorów, większość z nich zaakceptowała ją. Przerwali pracę w laboratorium i przestali używać kuźni do wyrobu zamków i kluczy, jak również heblować drewno z własnych drzew na budowę drzwi. Wielu, ale nie wszyscy. Mała grupa chciała nadal je budować.

Przedostali się pod zrujnowaną arkadą i poszli dalej długą ścieżką oczyszczoną z gruzu.

- Laboratoria znajdowały się tutaj - ciągnął Zefir - a powodem, dla którego te opuszczone pomieszczenia nazwano Salami Strachu było to, że kiedy stało się jasne, że ta grupka zapalonych konstruktorów nigdy nie ustąpi, ktoś wysłał tu...

- Co?

- Bestię - odpowiedział Zefir, wskazując coś przed sobą.

- Mówisz, że wysłano tu bestię, żeby ich... zabiła?

Zefir nie odpowiedział. - Co za bestię?

Olbrzym o złocistych oczach pokręcił głową. Nie wiedział. Ale nie to było problemem.

Problem leżał w tym, że nie wiedział, czy to zwierzę jeszcze żyło, czy nie.

NAD URWISKIEM

Ciemna sylwetka urwiska Sal ton Cliff rysowała się groźnie na tle nocnego nieba.

Wielka mewa, krążąca w powietrzu dzięki prądom wznoszącym, dostrzegła kątem oka trzy dziwne postaci, które przycupnęły tuż przed krawędzią skalną potężnego masywu sterczącego z morza. Machnęła skrzydłem i oddaliła się wzgardliwie, podczas gdy jakaś mniejsza piszczala coś zwrócona ku niej. Coś jakby: - Trzymaj mnie!

Mały Flint, starając się z całej siły zachować równowagę na stromych schodkach biegnących w dół aż na plażę, wychylił się, by spojrzeć w dół.

- Widzisz ją? - spytał niecierpliwie wielki Flint przytrzymując w pasie najmniejszego z kuzynów, mając głowę odwróconą w drugą stronę, żeby nie spoglądać w przepaść.

- Tak, jest łódka i nic więcej.

- Jak to łódka? Oni mówili o łodzi wikingów... - przypomniał mu Flint średni, który rozsiadł się wygodnie, opierając się plecami o ścianę.

Mały Flint w zamyśleniu przytaknął. - Może trochę przesadzili. Ja widzę tylko małą łódkę.

- A jednak to musi być ważne, jeśli powiedzieli, że ten Wojnicz absolutnie nie może jej zobaczyć - upierał się Flint średni.

- Tak powiedzieli, ja też to pamiętam - odezwał się największy z trójki kuzynów.

- Pomyślcie, bracia - przerwał im mały Flint. - Co mogłoby być aż tak ważne na tej łódce?

- Nie wiem.

- Ani ja.

Jednak mały Flint to wiedział.

Siedzieli, ciesząc się nocnym wietrzykiem, który igrał z chmurami, rozpraszając je po niebie. Skała za plecami ciągle jeszcze była nagrzana słońcem i przesiąknięta zapachem morza.

- Musimy uzgodnić plan i to szybko - zdecydował w końcu mały Flint.

- Dobrze mówisz, plan - powtórzył z przekonaniem średni Flint.

- A gdzie znajdziemy plan do uzgodnienia o tej porze?

- spytał zmieszany wielki Flint.

- Każ się zamknąć swojemu kuzynowi - warknął mały Flint. - Bo go zrzucę z tych schodów.

- Ale ja też jestem twoim kuzynem! - zaprotestował wielki Flint.

- Uprzedzam cię: jedną nogą już jesteś w przepaści.

- Ale...

- Spadaj.

Na twarzy wielkiego Flinta pojawił się wyraz gniewu, lecz choć niechętnie, Flint zamilkł.

- Z tego wszystkiego, co usłyszeliśmy dziś wieczorem...

- podsumował mały Flint.

- Nie zrozumieliśmy kompletnie nic! - zakończył za niego wielki Flint.

- **TERAZ TO NAPRAWDĘ ZLECISZ!**

- Dobrze, już dobrze! Już nic nie powiem! Ale ty masz charakterek...

Mały Flint wziął głęboki oddech i zaczął raz jeszcze podsumowanie: - Z tego wszystkiego, co usłyszeliśmy dziś wieczorem, wynika, że pewne sprawy są, moim zdaniem, ważniejsze od innych. •

- O wiele ważniejsze - powtórzył za nim jak echo Flint średni, nie mając przy tym zielonego pojęcia, o jakie to sprawy chodzi.

- Pierwszą rzeczą, jaką zrozumiałem, jest to, że jutro przybywa do miasteczka szef naszych szefów. Czyli szef tych dwóch, co mają astona martina.

- Kto wie, jaki on ma samochód - rozmarzył się Flint średni, usiłując wyobrazić sobie coś najzupełniej cudownego i luksusowego. ,
 - Druga sprawa... - ciągnął mały Flint - to ta, że panowie, których śledzimy, nie mają zamiaru pokazać mu pewnych rzeczy. Kluczy, które znajdują się w tej drewnianej szkatułce. I łódki, która tam stoi pod urwiskiem. Nasuwa się pytanie: dlaczego?
 - Właśnie, dlaczego?
- Ich „dlaczego” zawisło na długo w bryzie morskiej.
- No, bo tak - odpowiedział sam sobie w końcu mały Flint, jakby był wyrocznią. - My nie możemy wiedzieć, dlaczego oni nie chcą, żeby ten szef zobaczył pewne rzeczy. Jasne? Dwaj pozostali przytaknęli ruchem głowy.
 - Ale my możemy tak zrobić, żeby on je... zobaczył. Jasne?
- Głowy dwóch pozostałych kiwały się z boku na bok, gdy kuzyni wysilali się, by zrozumieć, do czego zmierza lider ich grupki.
- W rezultacie chcę powiedzieć - podsumował przemowę mały Flint - tylko tyle, że nas nie powinno obchodzić, dlaczego te rzeczy miałyby pozostać w ukryciu. My się ograniczymy tylko do... przeszkodzenia im w ukryciu ich.
 - A jak? - zapytał średni Flint, otrząsając się z apatii.
 - Oto mój plan: ty kuzynie - wyszeptał, zwracając się do wielkiego Flinta, który ciągle jeszcze siedział naburmuszony - zejdziesz na plażę, wykradniesz łódkę i popłyniesz nią do miasteczka...
 - Ja? A dlaczego ja? - zaprotestował tłuscioch, nagle się ożywiając.
 - ... gdzie urządzimy to tak, że szef naszych szefów jutro ją zobaczy...
 - Tak, tak, ale dlaczego ja?
- Mały Flint wybuchnął: - Nie pojmujesz stary ośle, że musimy rozdzielić zadania? I ktoś musi wykraść tę łódkę. Kto jako jedyny z nas potrafi wiosłować?
- Ja! Przegonię was obu, kiedy tylko będę chciał.
 - No właśnie.
 - Ale... - wielki Flint za późno się zorientował, że sam się wrobił. - No, tak. O kurczę.
 - Zatem ty teraz zbiegniesz po schodkach, weźmiesz łódkę i zaczekasz na nas na plaży - podsumował mały Flint.
 - A my tymczasem? - zapytał Flint średni.
 - Rozdzielimy się. Ty... wejdiesz do domku ogrodnika i ukradniesz jakikolwiek klucz z tych, które leżą w pudełku.
 - Który?
 - Wszystko jedno, każdy jest dla nas dobry. Jeśli będziemy mieć szczęście, nie zauważą tego, chyba że wtedy, kiedy już będzie za późno.
 - W porządku.
- Potężna fala rozbiła się z hukiem o skały.
- A ty? - spyтали jednogłośnie małego Flinta dwaj kuzyni.
 - Ja... mam zamiar wspiąć się na to wielkie drzewo w ogrodzie. I zająć się osobiście najdelikatniejszą częścią całego planu.

Rozdział 21

KAPŁANKA Z KILMORE COVE

Mimo zmęczenia Julii nie udawało się zasnąć. Może była po prostu zbyt zmęczona, żeby spać. Przytulona do poduszki słyszała, jak wali jej serce, miarowo i uparcie, i jakkolwiek się ułożyła na łóżku, ten dźwięk jej towarzyszył, przeszkadzając w zaśnięciu.

Dobrze знаła to uczucie.

Od dziecka.

To z powodu Jasona.

Była z bratem głęboko związana, zawsze tak było, niezależnie od odległości, jaka ich dzieliła. I jeżeli coś zdarzało się jednemu z nich, drugie to natychmiast wyczuwało. I przeżywało. I wtedy pojawiało się to uczucie.

Czuła, jak narasta w niej strach, ale nie jej własny. To był strach Jasona.

Kiedykolwiek coś groziło jemu, z nią też coś się działo.

Leżała teraz w ciemności z oczami szeroko otwartymi i myślała. Przyzwyczaiła się do tego, że jej brat bliźniak jest nieobliczalny. I wiedziała, że jeśli zaistnieje najmniejsza możliwość wladowania się w kłopoty, Jason natychmiast z niej skorzysta.

To nieustanne walenie serca i dławiący ucisk w klatce piersiowej były czymś więcej niż złym przecuciem.

To było jak wołanie o pomoc.

„Jason jest w niebezpieczeństwie” pomyślała Julia.

I tylko ona jedna o tym wiedziała.

Nie zapalając światła, wstała z łóżka i wzięła do ręki zeszyt Morice'a Moreau.

Gałęzie olbrzymiego jesionu uderzały o ściany domu.

Wiatr.

Dął coraz mocniej.

Julia wyszła z sypialni akurat w chwili, gdy czyjeś niepewne kroki na dachu zbliżały się do jej okna.

I czyjaś ręka zastukała w szybę.

Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrzanych drzwiach pokoju z wieżyczką.

Podczas długich dni choroby spędzonych w łóżku bardzo wychudła.

Ale dopiero co zakończony dzień przywrócił jej twarzy odrobinę rumieńców.

Julia otworzyła drzwi, weszła i zamknęła drzwi za sobą.

Niebo było ciemnognatowe i wyglądało groźnie.

Usiadła przy ulubionym stoliku Ulyssesa Moore'a i zapaliła małą lampkę.

Odsunęła kolekcję miniaturowych modeli okrętów i położyła na stole zeszyt Morice'a Moreau.

Otworzyła go.

Uczucie niepokoju wzrosło.

Nie znalazła nikogo na żadnej stronie.

- Proszę cię, Jason... proszę cię... nie rób głupstw.

Skupiła się i z zamkniętymi oczami przywoływała w duchu swego brata.

- Odpowiedz mi. Odpowiedz mi - powtarzała jak w litanii.

Ale kiedy znowu otworzyła oczy, zrozumiała, że wszystko na nic.

Wtedy zaczęła pomału przewracać kartki do tyłu. Przewróciła tę z płonącym zamkiem i dalej, aż doszła do ramki, w której zazwyczaj ukazywała się Ostatnia.

Znowu zamknęła oczy.

„Rick...” pomyślała. „Proszę cię, Rick, odpowiedz mi. Chociaż ty... proszę cię...”

Nikt się nie pojawił. Ale Julia się nie poddawała.

Oparła obie ręce o zeszyt i niczym kapłanka starożytnego kultu pogańskiego usiłowała przywołać swego brata oraz chłopca, którego kochała.

W powietrzu czaiło się niebezpieczeństwo.

Wyczuwała je.

Kłuło ją serce.

I czuła ucisk w dołku.

Pragnęła, żeby znowu byli wszyscy razem.

WŚRÓD RUIN

Najpierw znaleźli kuźnię.

To była wielka sala pogrążona w mroku, kończąca się gardzielą wygaszonego teraz pieca. Wąski kanał wykuty w kamiennym bloku, którym stopiony metal spływał prosto do form zamków i kluczy. Ze ścian sterczały wielkie żelazne haki, na których były zawieszane różnego rodzaju narzędzia o nie zawsze jasnym przeznaczeniu: nożyce, sierpy, młoty, pobijaki... Były też miechy i wielkie wachlarze. Na ziemi leżały pudełka pełne odpadków i surowej rudy.

Wszystko to wyglądało tak zwyczajnie, całkiem jakby kowale zrobili sobie tylko krótką przerwę w pracy.

Ale gdy przyjrzało się temu uważniej, można było dostrzec oznaki upadku: na ziemi wałały się połamane przedmioty. A wszystko pokrywała gruba warstwa szarego kurzu.

I ryty.

Wszędzie wydrapane ryty: na ścianach, na piecu odlewniczym, na posadzce.

Kto albo co je pozostawiło?

- W Willi Argo też są wydrapane napisy... - szepnął Jason na ich widok. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Zawsze myślał, że to Ulysses Moore je porobił, kiedy usiłował otworzyć Wrota Czasu, nie posiadając czterech kluczy.

Anita szła zamyślona kilka kroków za Jasonem i Zefirem. Miała zdrętwiałe nogi i stopy. Ciężyły jej powieki i chętnie zatrzymałaby się i przespała. Ale jednocześnie rozglądała się bezradnie dokoła, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Idziemy dalej? - zapytał złocisty olbrzym.

- Idziemy - potwierdził Jason.

I ruszyli całą trójką, zostawiając za sobą kuźnię.

Następna sala to musiała być stolarnia, gdzie trafiały przygotowane futryny i płyty drzwiowe. Była to ogromna komnata, całkiem pusta. Tu także panował bałagan. Deski i kawałki połamanego drewna, narzędzia porzucane po posadzce.

I głucha cisza.

- Jak sądzisz, czym jest naprawdę Labirynt? - spytał nagle Jason, zwracając się do Zefira, gdy wędrowali w stronę Sal Strachu.

- Miejscem bez kresu - odpowiedział olbrzym. - Jak pamięć świata.

Tak to było.

Pamięć.

Nie miejsce w całym tego słowa znaczeniu, lecz materia, z której brały początek i którym nadal żywiły się Miejsca z Wyobraźni. Jedyny sposób, żeby przeżyć poza czasem.

Labirynt tworzył ciąg pozakręcanych korytarzy z tysiącem sal zupełnie różnych, jak umysł ludzki. Był złocisty i ciemny, otoczony niekończącymi się ścianami. Miał drzwi, które pozwalały do niego wejść i wyjścia, które prowadziły wszędzie.

Był zamieszkały przez różnorodne idee, które się trzepotały rta wietrze.

Znajdował się pod spodem, w głębinie, i był powiązany z powierzchnią przez nieskończone odgałęzienia.

Miał jedną część ciemną, gdzie jego własne światło zamierało, aż stawało się patyną z szarego kurzu.

I właśnie tam się kierowali.

Do ciemnej części pamięci świata.

Gdzie były ruiny i rzeczy przekreślone, wymazane.

Rzeczy, o których nikt nie chciał już mówić.

Kiedy cisza stała się jeszcze bardziej przytłaczająca, zwolnili bezwiednie kroku.

Chyba dlatego, żeby nie robić hałasu.

Powietrze stało się gęste, nasycone olejem i natrętnym zapachem dziczyzny. Złociste światło głównych korytarzy zgasło i zamieniło się w szarą poświatę, która stopniowo czerniała, w miarę jak się posuwali. Zarysy rzeczy stawały się niewyraźne, podobnie jak nieliczne sale, które mijali po drodze: ogromna sypialnia, kuchnie, spiżarnie. Gdziekolwiek skierowali spojrzenie, widzieli tylko zniszczone sprzęty i porozrzucane wkoło przedmioty. Przygnębiająca góra rupieci, którą nikt nigdy nie chciał się zająć. Cząsteczki kurzu w powietrzu zatykały nozdrza i przyczepiały się do włosów. Drażniły oczy aż do łzawienia. Kiedy Anita zaczęła kasłać, Jason podał jej chusteczkę, by zasłoniła sobie nią nos, żeby móc iść dalej.

Przeskoczyli przez ostatnie już rumowisko i nagle znaleźli się pod gołym niebem. Spojrzawszy w górę, ujrzeni ogromne ciemne pęknięcie, biegnące przez część beczkowego sklepienia, które niegdyś musiało nakrywać całą salę. Jakimś cudem tkwiły w nim jeszcze gęsto popękane kawałki kamieni, lecz cała środkowa część sklepienia runęła i teraz była tylko wyszczerbioną czarną dziurą.

Gdziekolwiek spojrzeć, leżał tylko gruz.

Sala jakby runęła na samą siebie i wszystko pogrzebała.

Anita i Jason z otwartymi ustami patrzyli na to niesamowite i zarazem przygnębiające miejsce. Jason ogarnięty głębokim oburzeniem, a Anita przerażona okrucieństwem i bólem, jakie wyczuwała zawieszony jeszcze w powietrzu, którym nie dało się oddychać.

Nie rozmawiali. Nie mieli o czym.

Jason postawił nogę na gruzie.

I w tym momencie go zobaczył.

Zatkało mu dech w piersiach.

Po czym się obrócił, wyciągnął rękę, żeby schwytać dłoń Anity i przyciągnął dziewczynkę do siebie. Wskazał jej powód, dla którego chciał aż tutaj dotrzeć.

Mniej więcej w środku tej ogromnej sali, niedaleko od miejsca, w którym przystanęli, ujrzeni niewielki balon.

Kołysał się łagodnie w powietrzu, kilka metrów nad ziemią, zakotwiczony w gruzach długą miedzianą liną.

Balon był opasany siecią z miedzianych drutów i miał kolor ciemnobrązowy. Wiklinowy pleciony kosz zdobiły metalowe zawijasy i dziwne okrągłe iluminatory, jak na starych transatlantykach.

- Co to jest? - szepnęła Anita na widok balonu.

Jason natychmiast rozpoznał, kto ten aerostat zbudował. Nie sposób było się pomylić, widać było w tym rękę Petera Dedalusa.

- To balon, którym przyleciała tu Penelopa - powiedział po prostu.

- Skąd?

Chłopiec spojrział w górę, w ciemną czeluść, która się otwierała nad ich głowami.

Tam, ponad oberwanym sklepieniem, znajdował się wylot na zewnątrz.

- Ale jak on może tu... jeszcze być? - spytała zdumiona Anita.

- Musimy to zbadać.

Posłyszeli za sobą obsuwanie się jakichś kamieni i chwilę potem Zefir pojawił się obok nich.

- Wiedziałeś, że to tu jest? - zapytał go Jason, nie przestając patrzeć na balon.

- Nie - odparł gigant. - Ale to dobra wiadomość.

- Dlaczego?

- Jeśli ciągle tu jest, to znaczy, że właściwie nic nie może go zniszczyć.

Po czym, nic nie mówiąc, ruszył dalej po gruzach.

Ich kroki rozbrzmiewały w pustce.

Każdy potracony i toczący się kamień, każdy cięższy oddech, rozlegały się głośnym echem wśród ruin, po których się posuwali.

- Co to było? - spytała w pewnej chwili Anita, kiedy tak szli przed siebie.

- Co? Ja nic nie słyszałem, a ty? - zwrócił się Jason do Zefira.

Olbrzym pokręcił głową.

- Może mi się tylko zdawało - mruknęła Anita.

Ale była niemal pewna, że postyszała jakiś ciężki oddech.

Albo jakieś dziwne skrobanie. Jakby pocieranie kamienia o kamień.

Albo pazury drapiące o skałę.

Podeszli pod balon. Widziany z dołu wyglądał jak wielka klepsydra zawieszona na niebie.

Anita jednak skierowała wzrok na rumowisko, które ich otaczało, w poszukiwaniu czegoś, co mogło być źródłem dziwnego dźwięku.

Ale niczego nie zauważyła. Zupełnie niczego. Tylko ruiny.

I cokolwiek to było, ów hałas sprzed chwili już się nie powtórzył.

Zefir chciał teraz podejść bliżej zakotwiczonego w gruzach balonu, ale Jason go powstrzymał.

- Zaczekaj - powiedział.

Zauważył coś niezwykłego w linie kotwicznej, która przytrzymała balon. I chciał się przekonać, co to jest...

Podniósł z ziemi kamyk i rzucił nim w balon. Miedziana siatka, w którą był spowity, zaskwierczała od prądu elektrycznego.

- Na Bachusa! - zawołał z wrażenia Zefir.

- Peter wszystko zawsze robił najlepiej, jak można - szepnął chłopiec z uśmiechem pełnym podziwu. Komora kotwiczna była połączona z urządzeniem w kształcie prostopadłościanu, brzęczącym jak mała prądnica. W górnej części tej skrzyneczki znajdowało się kilka okrągłych dysków jak te, służące do szyfrowania zamków w kasach pancernych.

Pokręta były ustawione w określonym układzie cyfr i liter:

- W sumie jest ich siedem - policzył Jason. Spróbował pokręcić na chybił trafił jednym z siedmiu

dysków, tym z literą E. Odkrył, że wybiera on też wszystkie pozostałe samogłoski: A, I, O, U. Tarczki z numerami natomiast przewidywały pięć możliwych ustawień: 5, 10, 50, 100, 500.

- A teraz? - spytała Anita z przejęciem.

- Nie wiem - odpowiedział Jason - ale znając Petera, musi istnieć jakiś logiczny klucz pozwalający to urządzenie otworzyć.

- W liście Penelopy nic nie ma na ten temat? - zapytała Anita i natychmiast zaczerwieniła się, speszona własnym pytaniem.

- Niestety, nie - odpowiedział Jason, odczuwając lekką satysfakcję, ale nie dał tego po sobie poznać.

Potem zauważył, że wszystkie tarczki są identyczne. Pięć numerów, pięć samogłosek. Klucz z siedmiu liter. Pięć numerów. Pięć samogłosek. Pięć numerów. I pięć samogłosek.

- Do licha... - mruknął zdezorientowany. - To jest trudniejsze, niż myślałem.

Ustawił wszystkie tarczki na „10”, a samogłoski na „A”. Nic.

Spróbował ustawić wszystkie tarczki na „50”.

Potem na „100”.

Nic.

I dalej nic.

Pochylny nad pokrętłami, zaczął szaleńczo obracać literami i numerami, przesuając je na chybił trafił. Ale mógłby tak kręcić cały dzień. Bez skutku. „Pomyśl, Jasonie, pomyśl”.

- Siedem cyfr - szepnął w końcu. - Dlaczego właśnie siedem? Co można ułożyć z siedmiu cyfr?

Rozwiązanie musiało być proste. I genialne.

Jak we wszystkich maszynach Petera Dedalusa. „Zaczekaj moment...”

Pięć liter, pięć numerów, siedem liter, siedem cyfr.

Peter Dedalus.

„A gdyby tak...?”

Przekręcił dwa pokręta i ustawił tarczki z samogłoskami na „E” i na „A” ze słowa „Dedalus”.

I obserwował rezultat.

Potem nagle zapytał: - Anita?

- Słucham?

- Znasz rzymskie cyfry. Jak się pisze „pięćset” rzymskimi cyframi? To jedna litera, nie?

Dziewczynka chwilę się zastanowiła.

- Wydaje mi się, jeśli dobrze pamiętam, że to „L” jest pięćdziesiąt.

„Dedalus” miał jedno „L”.

Jason obrócił piątą tarczkę i ustawił ją na „50”.

Anita przyklęła obok niego.

- Pięćset to jest „D”...

Jason ustawił pierwszą tarczkę na „500”. A potem zrobił to samo z trzecią.

Na pierwszych pięciu tarczkach tak ustawionych teraz było „500 E 500 A 50”, które przetłumaczone na rzymskie cyfry odpowiadały słowu „D E D A L”.

Brakowało dwóch ostatnich.

Anita pokręciła w zadumie głową. - „U” i „S” nie występują w cyfrach rzymskich.

- To do niczego - podsumował zrezygnowany Jason.

Potem nagle twarz dziewczynki się rozpromieniła. - Nie, wcale nie, tylko zamiast „U”,

Rzymianie używali litery „V”, która odpowiada cyfrze pięć.

- Świetnie - powiedział Jason, ustawiając przedostatnią tarczkę na „5”. - A ostatnia litera? „S”?

- Ba - odpowiedziała Anita, wzruszając ramionami. - „X” brzmi podobnie, spróbuj z dziesiątką.

Jason nastawił ostatnią tarczkę.

500 E 500 A 50 5 10

Z metalicznym zgrzytem siedem tarczek wskoczyło do pudełka i utworzyło napis:

DEDALUX

- To działa! - wykrzyknęła Anita.

- Peterze Dedalusie, jesteś prawdziwym geniuszem! - zawołał uradowany Jason.

- W rzeczywistości to jest słowo klucz idealnie pasujące do sytuacji tego, kto chce wyjść z labiryntu - zauważyła zachwycona dziewczynka. - Dedalus po łacinie znaczy właśnie labirynt, a lux oznacza światło, światło w tunelu!

Jason podniósł się z kolan bolących i niemiłosiernie trzeszczących. Gdy tylko usłyszał, że prądnica balonu przestała warczeć, oparł ostrożnie rękę na miedzianej linie, która trzymała balon zakotwiczony przy ziemi. Już prąd przez nią nie płynął.

- Gotowe - powiedział. - Teraz możemy go ściągnąć w dół!

Skorzystał z pomocy Zefira, który dotychczas siedział z boku, rozglądając się niespokojnie dokoła.

Pomału zaczęli ściągać balon w dół.

W pewnej chwili Anita ich powstrzymała. - Słyszeliście? - zapytała z trwogą, podnosząc głos.

Tym razem Jason też to usłyszał.

Hałas przesuwanego gruzu. Z daleka, gdzieś za nimi.

- Zefir?

Przewodnik nasłuchiwał, rozglądając się na wszystkie strony. Po czym powiedział tylko: - Szybciej.

Pochwycił obiema rękami miedzianą linę, za którą ciągnęli i szarpnął nią z całej siły. Uwiesił się na niej całym ciężarem.

- Szybciej!-powtórzył.

Anicie też udzieliła się ta nagła gorączka i zaczęła z przerażeniem rozglądać się dokoła. Teraz już słycać było ogromny rumor. Kamienie spadające na inne kamienie.

- Mocno, chłopcze. Ciągnij! - krzyczał tymczasem Zefir, napinając ze wszystkich sił mięśnie. - Ciągnij!

Przesuwane kamienie.

Jakiś niemal niedostrzegalny ruch.

Cień poruszający się w cieniu.

I jeszcze do tego dziwny lament. Straszliwy ryk, od którego cierpnie skóra.

- Co to było? - zapytał przerażony Jason.

- Szybciej, chłopcze, szybciej!

- Jason! - krzyknęła rozpaczliwie Anita.

Kosz balonu znajdował się już niecały metr nad ziemią. Zefir i Jason obrócili się błyskawicznie w stronę dziewczynki.

- Anita, szybko! Wskakuj!

- Widziałam go, Jason! - zawołała dziewczynka, wskazując jakiś punkt w odległej ciemności.

- WSKAKUJ!

Anita wspięła się, uczepiona brzegu wiklinowego kosza. Zefir podsadził ją pod stopy.

Popchnął silnie i spadła na pokład. - Jason!

Jej głos znowu zagłuszył tajemniczy ryk, rozbrzmiewający w sali.

- Wskakuj i ty, śmiało! - krzyknął Zefir.

Ręce chłopca pojawiły się na krawędzi kosza. Anita wstała, próbując utrzymać równowagę, złapała dłonie Jasona i pociągnęła ze wszystkich sił, by mógł wspiąć się do kosza. Bez rezultatu.

Potworny rumor.

Coraz to bliżej i bliżej.

Coś przepychało się wśród gruzów.

Coś wielkiego.

Olbrzym odwiązał linę kotwiczną i balon uniósł się w górę.

- Zefirze! - zawołał Jason, ciągle jeszcze uczepiony na zewnątrz kosza.

- Lećcie, lećcie! Śmiało! - odkrzyknął z ziemi olbrzym.

- Zefirze, nie! Wskakuj!

Jednak w odpowiedzi olbrzym tylko się pochylił, zebrał z ziemi dwa kamienie na szczęście i wrzucił je na pokład.

- Nie zapominaj o nich, chłopcze!

Balon szedł szybko w górę. Był już ponad dwa metry nad ziemią, prawie trzy.

Cień, który zamieszkiwał tutaj, zbliżał się tymczasem coraz bliżej.

Pokonywał odległość, wznosząc kurz i rozrzucając kamienie.

- Spuszczamy się! - krzyknął Jason. - Anita, opuść balon!

- Ale jak?

- Zawór od gazu! Otwórz go! Otwórz!

Chłopiec spojrział w dół. Cień był bezkształtny.

Była to tylko ciemność strzelająca iskrami ze swoich niewidocznych pazurów.

Anita znalazła zawór, odkręciła go, balon sapnął i zniżył się o kilka centymetrów.

- Nie! Lećcie! - krzyknął znowu Zefir.

Cień dotarł teraz na odległość kilku centymetrów od jego stóp.

- Niech się wam szczęści, dzieciaki! - pozdrowił ich gigant, machając swą wielką ręką. - I niech wam towarzyszy zawsze radość, a nigdy smutek!

- NIE! - krzyknął Jason, kiedy cień przesunął się pod balonem. - Ja cię tu nie zostawię! Anita z przerażeniem zobaczyła, jak ręce Jasona odrywają się od kosza. Rzuciła się, by je złapać, ale nie zdążyła. Spojrzała w dół. Nie dostrzegła nic poza ruchomymi cieniami. Potem, w ułamku sekundy, coś ogromnego i bezkształtnego pochłonęło przestrzeń pod nią. Wszystko znikło w chmurze szarego kurzu.

- NIE! - krzyknęła zrozpaczona. - NIE! NIE! TO NIEMOŻLIWE!
Kurz i cień znowu się poruszyły. Coś wystrzeliło w górę, wyrzucając gwałtownie balon do góry.

Dziewczynka zachwiała się i runęła do tyłu.

Uderzyła o coś twardego.

Straciła przytomność.

Balon zaczął teraz znowu wolno wznosić się w górę i nie-sterowany, płynął w stronę ciemnej rozpadliny na sklepieniu.

Tymczasem wśród gruzu kurz się podnosił i opadał, a kamienie i głazy toczyły się we wszystkich kierunkach. Znowu pojawiły się złociste błyski.

Rozlegało się też wycie, ale Anita już go nie słyszała.

Dalsze złociste błyski.

I płomyki.

Ogień. Cień. Kurz. Ruiny.

Krzyk.

Iskry.

Pazury.

Anita odbierała to wszystko, nie widząc i nie myśląc, czując głuchy ból, uciskający w skroniach.

Może śniła.

Śnił jej się Labirynt z lotu ptaka, rozciągający się we wszystkich kierunkach niczym skorupa olbrzymiego żółwia, osłaniająca tę płataninę komnat i korytarzy.

Błyskały dalekie światła. A w ciemności falowały jakieś postacie tańczące jak żagle albo skrzydła fantastycznych stworzeń.

- Jason - szepnęła Anita, kiedy lśniące eksplozje zapalały się wokół niej i balon kołysał się jak podczas burzy - to niemożliwe, Jason...

Pomyślała o śmierci. O kurzu. O ciemności.

Ale też o złocie.

O snach.

O nadziejach.

I o przyjaciółkach.

Rozdział 23

PRZEBUDZENIA

Malariusz Wojnicz obudził się w doskonałym humorze.

Co więcej, obudził się w całkiem innym humorze niż zazwyczaj. A ponieważ całe życie budził się w fatalnym humorze, tego ranka był właściwie pewien, że jest szczęśliwy.

Spuścił nogi na podłogę i mimo dokuczliwego bólu kręgosłupa, udało mu się nie narzekać na materac, na którym spał. Innym razem określiliby go jako twardy, prehistoryczny, z Trzeciego Świata. Ale tym razem brak terminów porównawczych przeszkodził mu w głębszej analizie problemu materaca. Malariusz Wojnicz używał w swoim życiu tylko trzech materacy:

jednego wypchanego kłębuszkami

welny, na którym spał od dziecka, kiedy żyła jego matka, drugiego, absurdalnie twardego i zbitego, którego przez kolejne dziesięć lat kazała mu używać jego siostra Viviana, i trzeciego, niezwykle miękkiego, szwedzkiego materaca z końskiego włosia („ten sam model, na którym sypia król Szwecji” wyznał mu sprzedawca), który sobie kupił sam, kiedy uzyskał niezależność finansową.

Zagwizdał.

I nagle przestał, zapytując sam siebie, jak mu się to w ogóle udało?

Nie wiedział, że potrafi gwizdać.

Rad z tego odkrycia, spróbował ponownie zagwizdać. Jedną nutę wysoką, a potem niską.

Zaczął jakąś melodię. I gdyby tylko spędził bodaj jedno popołudnie w swoim życiu na słuchaniu muzyki, mógłby zagwizdać jeszcze jakąś. Problem jednak tkwił w tym, stwierdził teraz z odrobiną goryczy, że nie zna właściwie żadnej melodii.

Zawsze uważał, że piosenki to całkowita strata czasu. Ale teraz, kiedy czyścił sobie energicznie zęby przed lustrem, ten jeden jedyny raz zadowolony z własnego odbicia, zanotował sobie w myśli, że powinien zrewidować niektóre ze swoich sztywnych poglądów w tym względzie.

Poza wszystkim piosenki były całkiem dobre do gwizdania.

Ubrał się, wkładając pierwszą zmianę, jaką wsunął do walizki ze starannością kogoś, kto przewozi materiały

^ _PRZEBUDZENIA_.

wybuchowe o szczególnej mocy. Miał właśnie wrzucić do kosza ubrania z poprzedniego dnia, kiedy nagle, patrząc na koszulę i spodnie raz tylko użyte, zdecydował, że tym razem ich nie wyrzuci.

Od dziecka przyzwyczał się do noszenia ubrań poza domem jeden jedyny raz, zważywszy ogromne ryzyko zetknięcia się z zarazą, mikroorganizmami, cząstkami brudu i innymi zagrożeniami realnego świata. Tak postępował całe życie. Nie mógł gwałtownie odmienić swoich przyzwyczajzeń.

Ale mógł je stopniowo modyfikować.

I tak, pozostawił koszulę i spodnie raz używane na widoku, na krześle.

Na krześle, które się chwiało, zauważył z odrobiną niesmaku.

Dołączył do tego bilecik, na którym napisał, że ktokolwiek zechce z nich skorzystać, może je sobie wziąć w prezencie.

Zastanawiał się nad ostatnim słowem, „prezent”, na ogół nieobecny w jego codziennym słownictwie. Potem się namyślał, czy podpisać bilecik.

Walczył ze sobą kilka minut.

Na koniec zdecydował, że nie podpisze.

Przebrał się i jednocześnie zadał sobie pytanie, czemu zawdzięcza ten niespodziewanie dobry humor? Jeszcze kilka godzin wcześniej, kiedy był gotów ściąć głowę swemu kierowcy i podpalić całą Kornwalię, był pogrążony do głębi w swoich problemach i przekonany, że bez jego szybkiej interwencji, wydarzenia, z jakimi musi sobie poradzić, przybiorą tak wielkie rozmiary, że zniszczą cały świat.

Ale po telefonie od siostry, wszystko się nagle zmieniło.

I to był punkt zwrotny.

Bunt.

W końcu pokazał tej sekutnicy, że może coś zrobić bez jej aprobaty, jak chociażby podróż, ot co.

I nawet małe kłamstewko, jakie dołączył na koniec rozmowy, że jest w podróży dla własnej przyjemności, okazało się nad wyraz satysfakcjonujące.

O, tak. Po raz pierwszy sam decydował.

- Mariusz - powiedział do siebie, oglądając się raz jeszcze w lustrze. Na dźwięk własnego głosu i własnego imienia, nieomal podskoczył.

Od wielu lat nie wymawiał już swojego prawdziwego imienia. Imienia, które go doprowadzało do mdłości, kiedy je nieustannie słyszał powtarzane obsesyjnie przez Vivianę. Mariusz tu. Mariusz tam. Mariusz, nie. Mariusz, tego nie wolno. Mariusz, to niedobrze. Mariusz, to niesłuszne. To zabronione, Mariuszu. To niemożliwe Mariuszu, powiedziałam nie!

Zamknął oczy i znowu je otworzył.

Gniew go opuścił.

Na małym biurku obok łóżka znajdowały się inne jeszcze niespodzianki, które na niego czekały.

Z jednej strony ta szkodliwa gadająca książka. Kiedy dotykał jej okładki, zawsze odczuwał dreszczyk emocji.

Ale była wielka różnica między narastającą emocją, którą czuł, kiedy chciał coś zniszczyć czy podpalić a... tą książką.

Szkodliwa książka była podniecająca. Z nią było trochę tak, jakby się pomyślało, napisało i narysowało coś, co łamało zakazy jego siostry. Jakby się sięgało do świata wyobraźni, który Wojnicz do niedawna nienawidził, ignorował i niszczył.

Jakby rzeczywistość wcale nie była niebezpieczna.

Kto wie, co powiedziałyby Viviana, gdyby się dowiedziała, że poprzedniej nocy dopomógł całkowicie obcemu człowiekowi rozwiązać szaradę, a wkrótce potem umówił się z innym, posługując się stronicą tej książki.

Możeby jej wyznał, że ta książka zaczyna mu się naprawdę podobać. I że osoby, które spotkał na jej kartach, miały to coś, trudne do określenia, coś szczególnego, co kazało mu czuć, że żyje. I ta zagadka! Była to ekstrawagancka wersja słynnej łamigłówki znanej fizykom jako „zagadka Einsteina”. Cóż łatwiejszego do rozwiązania?

Pewien obraz przemknął przez pamięć Wojnicza.

Ten obraz to były białe kitle zaprzyjaźnionych lekarzy Viviany, którzy - kiedy był on jeszcze dzieckiem - zmuszali go do opowiadania wszystkiego, co mu się wydarzyło, ponieważ jego siostra była przekonana, że brat jest szalony.

A ponieważ Mariusz nie miał im nic do opowiedzenia, a lekarze oczekiwali, że z nimi porozmawia, zmyślał. Zmyślał historie, rzeczy, miejsca.

A doktorzy robili się wówczas wyrozumiali i mówili mu: „Te rzeczy nie istnieją. Nie ma ich. Nie tak funkcjonuje świat, mój mały”.

„Nie tak funkcjonuje świat” pomyślał Wojnicz, odpędzając w myślach daleko lekarzy i swoją siostrę. Pielęgniarkę z piekła rodem.

„Wynoście się wszyscy!”

Sprawdził godzinę.

- Ja mam ważne spotkanie.

Ostatnią rzeczą, jaką włożył do walizki, był egzemplarz własnej powieści Serce nie sługa.

Była to romantyczna opowieść, miła, lekka, która mu zabrała 57 lat pracy. I która, aż do poprzedniego wieczoru, kiedy wszedł do pokoju w hotelu w Zennor, liczyła pięćdziesiąt sześć stron.

Stron doskonałych.

Bezbłędnych.

Potoczystych i dobrze napisanych.

Wykwintnych.

Godnych cytowania.

Stron, które doprowadziłyby do wściekłości każdego innego krytyka w Londynie, ponieważ były nie do zaatakowania. Pozbawione defektów, zatem niemożliwe do odrzucenia.

I oto druga zdumiewająca rzecz, jaka się wydarzyła. Poprzedniego wieczoru, rozciągnięty na tym paleolitycznym łóżku, które mu zrujnowało kręgosłup, ale które jednak wyglądało na łożo królewskie, Mariusz Wojnicz wykreślił dziesięć stron, uznając je za nudnawe.

Mało oryginalne.

I zdecydowanie banalne.

Pierwsze ustępy ożywił zdaniem krótkimi i wciągającymi, porzucając Proustowską manierę opisywania niebieskiego kapelusika bohaterki na dwóch stronicach po trzydzieści wersów każda. Kazał biec zdarzeniom o wiele szybciej niż to początkowo przewidział. Zapisał piórem co najmniej dwadzieścia nowych stron.

A teraz, stojąc nad otwartą walizką, pedantycznie uporządkowaną jak podziemia w banku, czytał te nowe stroniczki i czuł przyśpieszone bicie serca.

Były dobre.

I było ich aż dwadzieścia.

Napisane w niecałe trzy godziny.

- W drogę! - rzucił sobie samemu hasło i zaraz wyszedł z pokoju.

W Willi Argo Julię obudził głos mamy.

Dziewczynka usnęła na kołdrze, przyciskając zeszyt Morice'a Moreau do piersi.

- Czy czujesz się na siłach, żeby dzisiaj już pójść do szkoły?

Julia otrząsnęła się w jednej chwili, wynurzając się z głębin swoich męczących snów. Prawie nic nie pamiętała z ubiegłej nocy.

Tyle, że...

Rozmawiała z Rickiem za pośrednictwem zeszytu.

Rozmawiała długo, aż do zmęczenia.

I teraz znowu źle się czuła.

Była rozpalona.

Zanim mama podeszła do łóżka, Julia zdołała ukryć zeszyt pod kołdrą. Potem z ogromnym wysiłkiem obróciła się w jej stronę i uśmiechnęła.

- Myślę, że nie, mamó... - odpowiedziała. Podążyła jej ręką, żeby mama zbadała puls.

Bardzo to lubiła, czuła się wtedy pod opieką.

Ziewnęła.

Mama przysiadła na łóżku i przyłożyła delikatnie dłoń do czoła Julii. - Wydaje mi się, że wróciła ci gorączka.

- Tak myślisz?

Gwałtowne bicie serca.

Strach.

Jason.

Zniknęli.

Już go nie wyczuwała.

Nie czuła już nic, tylko straszne gorąco.

Zaczęła się pocić.

Mama pokręciła głową. - Jeszcze nie jest dobrze - powiedziała, podnosząc się z łóżka. -

Złapałaś naprawdę paskudną infekcję, skarbie.

Julia obróciła się na łóżku.

- Nie wychodź z domu, pamiętaj! Zejdź na dół, poczytaj sobie coś, jeśli chcesz, popatrz, jak Nestor pracuje w ogrodzie, ale nic ponadto. Z ojcem ja sama porozmawiam.

Dobrze, mamó.

- Może jednak lepiej, żebym została przy tobie?

Julia pomyślała o planie, o tym, co powinna zrobić.

Pójść za Nestorem, Blackiem, panem Bloomem i Wojniczem do miasteczka i upewnić się, że nikt się do nich nie zbliża.

Ale w tym stanie...

- Nie ma powodu, mammo. Sama sobie świetnie poradzę.

Mama się uśmiechnęła. - Ale ja wolę tysiąc razy zostać w domu niż wychodzić do miasteczka. Nawet jeśli to trwa głupie kilka minut, skarbie...

Julia przestała się uśmiechać. Z mamą w domu nie mogła ani poddać się ziołowej kuracji Nestora, ani opuścić Willi Argo, ani... właściwie niczego nie mogła.

- Która godzina? - spytała.

Zaledwie matka wyszła z sypialni, Julia wyskoczyła z łóżka i chwyciła ubranie z poprzedniego dnia.

Było straszliwie późno! Za kilka minut dziewiąta.

Za chwilę spotkanie z Wojniczem!

A ona zasnęła! Jak mogła tak zasnąć?

Kiedy się ubierała, myśli tłukły się jej po głowie jak szalone.

- Co zrobili pozostali?

Otworzyła okiennice, żeby spojrzeć na domek Nestora.

Niespodzianka.

Między drewnianymi szczebelkami okiennicy tkwiła karteczka.

Skąd się tu wzięła?

Wiatr poprzedniego wieczoru?

Julia przechyliła się przez parapet i spojrzała w lewo, w stronę urwiska i otwartego morza, potem w prawo, w stronę wielkiego jesionu, którego gałęzie sięgały aż dachu domu.

Wyjęła bilecik, przeczytała go i zdumiała się bardziej niż kiedykolwiek.

Bilecik zawierał dwa słowa:

Jesteś prześliczna.

Kto mógł napisać coś tak głupiego?

Może Rick wrócił?

Ale to nie był jego charakter pisma. Ten był bardziej kanciasty i niewprawy, jakby kogoś nienawykłego do pisania.

Tommaso?

Albo... kto?

- Tego tylko mi jeszcze brakowało - mruknęła gniewnie Julia. - Tajemniczego wzdychacza. Spojrzała na domek Nestora. Był zamknięty. A przed garażu zniknął motocykl.

Już pojechali?

A Tommaso?

Dlaczego nikt jej nie zbudził.

A Rick?

A Jason?

Powoli przestała zadawać sobie te wszystkie pytania i trochę się uspokoiła.

Ktoś wspinał się do okna jej pokoju.

I...

I...

Julii trudno było logicznie myśleć.

Skrzyżowała ramiona na parapecie i oparła na nich głowę, a wiatr z Kilmore Cove wiał jak szalony.

I jakby przygnany wiatrem, wpadł jej do głowy pomysł.

Rozdział 24

KOMITET POWITALNY

- Jedzie - ogłosił Black Wulkan, opuszczając lornetkę.

- Na pewno? - spytał Nestor.

- Jest za pięć dziesiąta. I czarna luksusowa limuzyna za kilkaset tysięcy funtów na horyzoncie - zauważył były kolejarz. - Nie mam żadnych wątpliwości.

Nestor westchnął. Obrócił się w stronę pana Blooma, który dał mu znak ręką, że wszystko gra.

Nestor znowu skierował wzrok na szosę. Lśniący punkcik, mknący po wzgórzach. Malariusz Wojnicz był coraz bliżej. Dojeżdżał do skrzyżowania w Bannows.

- O czym myślisz? - Spytał Nestora Black Wulkan, domyślając się, co przyjacielowi chodzi po głowie.

- Że jest trochę tak, jak za dawnych czasów - odpowiedział Nestor.

- W dawnych czasach staraliśmy się trzymać z daleka od nudziarzy - przypomniał Black.

- Tak, ale... być tutaj, ja i ty, po tylu latach... Wydaje mi się, jakby cofnął się czas. Nawet jeśli...

- Chciałbyś, żeby był tu Peter i inni?

- Może Leonard, tak - mruknął Nestor. - Zwłaszcza, żeby zrozumieć, co mu strzeliło do głowy, żeby publikować zbeletryzowaną opowieść o naszym życiu pod moim nazwiskiem.

- Może dlatego, że „Leonard Minaxo” nie nadawało się na okładkę?

- Mógł mnie o to przynajmniej zapytać.

Black Wulkan zaśmiał się ironicznie. - Nigdy by nie zdołał cię nakłonić do wyciągnięcia z kufra twoich dzienników.

- I jakiś tłumacz, który utrzymuje, że był w Kilmore Cove...

- Mnie o to nie pytaj. Nie wiem, co ci powiedzieć.

- Pytam ciebie, bo tylko ty tu jesteś.

- Jeśli o to chodzi, to jest też pan Bloom. Hej tam, panie Bloom! Wszystko w porządku?

Tata Anity w odpowiedzi poprawił tylko kołnierzyk koszuli, do której założył nowiutki krawat z szafy Nestora.

- Cudownie - zapewnił.

Stary ogrodnik zgniótł czubkiem buta jakąś gałązkę. -Miejmy nadzieję, że miał dobry pomysł - mruknął pod nosem.

- Nowe pomysły bywają pożyteczne, Nestorze - zauważył Black.

Nestor zaczekał, co przyjaciel jeszcze miał do powiedzenia.

- A ponieważ jesteśmy w nowym tysiącleciu i same pomysły już nie wystarczają, potrzebny nam też ktoś, kto pracuje w banku. Bez banków już teraz nic się nie da zrobić, mój stary. Zielone światło dla młodych.

Wszystko to rozgniewało Nestora bardziej niż kiedyś. Młodzi. Banki. Pieniądze. Gdyby Black Wulkan dorzucił jeszcze do tego coś na temat telewizorów i komputerów, wymieniłby wszystko to, co szkodliwego i bezużytecznego produkował współczesny świat. Jakby już zapomniał o poważnych powodach, dla których przez wszystkie te lata Nestor, Penelopa i ich przyjaciele próbowali trzymać Blacka jak najdalej od Kilmore Cove.

A teraz stał tu i wygłaszał swoje poglądy, z którymi Nestor zupełnie się nie mógł zgodzić.

Tymczasem Wojnicz był już tuż-tuż. Nadjeżdżał w chmurze kurzu.

- Nie wiem - powiedział Nestor, patrząc na drogę. - Jest coś w tej twojej strategii, co mnie nie przekonuje. To jest trochę tak, jak z Trojanami, którzy wpuścili drewnianego konia, a potem się okazało, że jest pełen wrogów.

- To jest bentley - uściślił Black Wulkan.

- To żaden drewniany koń - powtórzył przyjaciel, wskazując na drogę. - To jest czarny bentley.

- Co?

Limuzyna, lśniąca jak spojrzenie szaleńca, zatrzymała się w samym środku skrzyżowania. Kierowca wysiadł, by otworzyć duże drzwiczki z tyłu i ze skórzanego fotela wyskoczył człowieczek o drobnej twarzy i okrągłych oczach.

Zdumienie Nestora było równie wielkie jak wysiłek, by nie wybuchnąć śmiechem. I to coś, to był ich śmiertelny wróg? Szef Podpalaczy, którego tak się obawiali?

Pan Bloom zachował się o wiele bardziej dyplomatycznie i natychmiast ruszył mu naprzeciw.

- Pan Wojnicz, jak mniemam - przywitał go uprzejmie i mocno uściśnił mu dłoń. - Bardzo mi miło pana poznać. Nazywam się...

„Nie mów mu tego!” pomyślał Nestor. „Nie ujawniaj swojego nazwiska.”

- ... Bolton - dokończył pan Bloom.

- Miło mi, panie Bolton - odpowiedział Wojnicz, raczej chłodno. Potem zwrócił się w stronę Nestora i Blacka Wulkana.

- A to są dwaj moi drodzy przyjaciele z miasteczka - przedstawił ich pan Bloom. - Pan Black i pan... White. Nestor White.

„Pan Black i pan White...” pomyślał Nestor, uśmiechając się pod wąsem. - Nie da się na to nabrać. Nie może być aż taki zdemencjały.

- Byliby szczęśliwi, towarzysząc nam w zwiedzaniu miasteczka, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Miasteczko jest poniżej. To Kilmore Cove, zna je pan?

We wzroku Wojnicza coś jakby zamigotało.

- Nie wyobraża pan sobie, jak długo go szukałem! - wyznał. - A zatem istnieje! Istnieje!

- Oczywiście, że istnieje! - Potwierdził pan Bloom. - Widzi pan, ja - prawdę mówiąc - poznałem je niedawno, podczas gdy obydwa panowie spędzili tu całe życie.

- A czy słyszeliście może kiedyś o jakimś Ulyssesie Moore? - zapytał ich Wojnicz.

- Może ty? - zapytał z przekąsem Black, zwracając się do Nestora.

- Hmm... tak. Słyszałem o nim, istotnie. Co więcej... wszyscy w miasteczku o nim słyszeli. Byłem jego ogrodnikiem zanim zmarł.

- Umarł?

„ - O, tak. Już jakiś czas temu.

- A żona?

- Ona też umarła - warknął Nestor zaciskając pięści.

- Ależ to cudownie! - zawołał rozanielony Wojnicz. - Ile dobrych wiadomości dzisiaj!

- Czy zechciałby pan porozmawiać trochę o książce? - przypomniał mu pan Bloom. - O tej książce... z wczorajszego wieczoru.

- Właśnie po to tu przybyłem. A jak pan zdobył jej egzemplarz?

Black Wulkan zakasłał. - Myślę, że zamiast tkwić tu na stojąco i łykać kurz, byłoby lepiej porozmawiać o wszystkim przy dobrej gorącej herbacie i pysznych ciastkach! Co panowie na to?

- Doskonale - odpowiedział Wojnicz.

- Czy mógłbym zabrać się z panem? - spytał go pan Bloom. - Moi przyjaciele pojedą na swoim motocyklu.

I tak właśnie zrobili.

- Pan White i pan Black! - wykrzyknął Black Wulkan. Skulony w przyczepie motocykla Nestora wyglądał jak gigantyczny jedwabnik.

- Dopóki nie usłyszałem, jak Bloom prowadzi tę rozmowę, cały ten pomysł wydawał mi się czystym szaleństwem.

- A teraz?

- Teraz myślę, że może to nawet sensowne.

- Wiesz, co ci powiem? Że i ja tak myślę - zgodził się Black.

Nestor prowadził swój motocykl przed bentleyem, jak eskorta policyjna, drogą spadającą stromo w dół w stronę Kilmore Cove. Za zakrętem, niespodziewanie ukazała się zatoka z latarnią morską po jednej stronie a urwiskiem z Willą Argo i parkiem - po drugiej.

„Tak, pomyśl nie był zły i plan mógł się powieść” pomyślał Nestor, zmieniając biegi na ostrych zakrętach przy wjeździe do miasteczka. Wyobrażał to sobie dosyć prosto: trzeba przekonać Wojnicza, że notatnik z podróży Mo-ric'e'a Moreau, którego dwa egzemplarze już mieli, jest

rzeczywiście bardzo osobliwą książką i zaproponować mu odkupienie jego egzemplarza. Nawet za cenę wygórowaną, bardzo wygórowaną, żeby tylko szef Podpalaczy zgodził się na pozbycie się zeszytu.

„Znam ich, takich jak on...” powiedział poprzedniego wieczoru pan Bloom. „Za odpowiednią cenę wszystko ci sprzedadzą. Tym bardziej, gdy alternatywą jest tylko wrzucenie do ognia, czyż nie?”

Spłaceniem zeszytu zająłby się fundusz Newton, własność Blacka Wulkana, za pośrednictwem banku pana Blooma. Wraz ze zniknięciem i przypuszczalną śmiercią, być może w starciu z wielorybem, swojej jedynej córki, Obliwii Newton, Black stał się dziedzicem niezłej ilości jej finansowego imperium. Obliwia, poza nim i siostrą matki, miss Biggies, nie miała żadnych krewnych. W rezultacie Black był teraz bardzo bogaty. I właśnie ten ogromny majątek zainspirował pana Blooma i podsunął mu pomysł drugiej części planu.

Po co mieliby kupować taką książkę? To bardzo proste! Żeby otworzyć w Kilmore Cove muzeum! Muzeum, które przyciągnęłoby turystów do tego miasteczka, tak trudnego do znalezienia.

I tu pojawiła się pewna trudność. Nie znali motywów, jakimi kierował się szef Podpalaczy, udając się w podróż do Kilmore Cove i nie wiedzieli, jakich tajemnic poszukiwał. Trzeba będzie w rozmowie z Wojniczem improwizować stosownie do jego reakcji.

Stanął na tym, że pan Bloom da z siebie tyle, ile tylko zdoła. A jeżeli Wojnicz polował na tutejsze tajemnice w celu ich zniszczenia wspólnie ze swoimi przyjaciółmi Podpalaczami, najlepszą rzeczą, jaką mogliby mu ofiarować, byłyby tajemnice unicestwione już przez nich samych.

Szukał Kilmore Cove? Gdyby go nie znalazł, uczucie, że kryje się za tym coś tajemniczego, urosłoby aż do obsesji. Cóż więc mogło być lepszego niż zawiezenie go prosto do Kilmore Cove i pokazanie, że to najzwyklejsze w świecie miasteczko z niewieloma mieszkańcami, może nieco dziwnymi, i garstką rybaków, a w ogóle nic zgoła tajemniczego?

Nestor próbował w myśli uprzedzić ewentualne pytania Wojnicza: niejaki Ulysses Moore napisał, że Kilmore Cove było miejscem magicznym? Z licznymi Wrotami Czasu?

Doskonale. Tylko że ten, kto to napisał to nie mógł być Ulysses Moore, bo on już nie żył. Oto jego grób w mauzoleum. Oto grób jego żony. Oto opuszczony park. A historia z drzwiami? Do jakich drzwi się odnosi? Do tych? A może do tych? Albo do tamtych? Ostatecznie mogliby otworzyć kilkoro starych drzwi, żeby mu pokazać, że nie ma za nimi dosłownie nic dziwnego.

A tajemnica Willi Argo? A ten Jason Covenant, który mu naubliżał za pośrednictwem kart książki okna?

Wtedy Nestor, udając, że wiąże się to z wieloma trudnościami, zawiózłby go na szybki obchód Willi, korzystając z nieobecności właścicieli, którzy wyskoczyli właśnie do miasteczka. Potem opowiedziałby im o Covenantach i ich jedynym synu, Jasonie, wyjątkowym łobuziaku, który kiedyś, bez ich wiedzy, położył ręce na gadającej książce. A dziadek Ulyssesa Moore'a? Fakt, że zamknął Klub Podróżników w Wyobraźni, a na jego miejsce założył Klub Podpalaczy?

Cóż, przecież to właśnie było powodem, że jeden egzemplarz książki trafił do Willi Argo, a drugi pozostał w Londynie! Ot i cała tajemnica.

Moore'owie byli kolekcjonerami rzadkich książek, bibliofilami. Nie tylko dobroczyńcami miasteczka. Cóż w tym złego? I jaka znowu tajemnica?

„A ta druga kobieta? A dziewczynka?” mógłby jeszcze zapytać Wojnicz.

Wtedy trzech mężczyźni wyznaliby, że są już na tropie właścicielek tych dalszych egzemplarzy. I te dwa także mają zamiar odzyskać. Dowiedzieli się, że jeden egzemplarz jest w posiadaniu rodziny Bloomów, w Wenecji i dlatego skontaktowali się z nią i zaprosili pana Blooma do Kilmore Cove.

Żadna zatem kombinacja, żadne tajemne powiązania.

Książka. Oto co było jedyną rzeczą naprawdę dziwną. Ale była też powodem, dla którego zamierzali wykupić wszystkie egzemplarze. Żeby zrobić z nich główną atrakcję miejscowego muzeum.

„Będą chronione w gablocie i nikt nigdy nie będzie już mógł ich użyć. Ale pozostaną na zawsze w legendzie, która przyciągnie turystów...”

Jasne i proste.

Im dłużej Nestor powtarzał sobie te wszystkie bujdy, tym bardziej sam zaczynał w nie wierzyć.

Nie miały słabych punktów. Nie widział problemu.

Wystarczyłoby tylko trzymać tego człowieka z dala od kluczy do Wrót Czasu i od Metis, łodzi, która odpoczywała u stóp urwiska. I wtedy gra potoczyłaby się gładko, bez względu na to, czy Wojnicz zgodziłby się odsprzedać zeszyt czy nie.

Zaparkowali.

Black skurczył się w sobie, żeby wydostać się z przyczepy. - Będziemy jego przewodnikami jak się patrzy, Nestorze. I Wojnicz odjedzie stąd w przekonaniu, że to najnudniejsze miasteczko w świecie. Z dwoma zdziwaczałymi staruchami, zamierzającymi wydać oszczędności całego życia na ufundowanie dziwaczного muzeum.

Nestor kiwnął głową. - Jasne. Proste jak wypicie szklanki wody.

Podniósł wzrok i puścił oko do Tommasa, który stał na czatach po drugiej stronie placu.

„Przedstawienie rozpoczęte”.

nazwisko: Wiktor „Black” Wulkan

miejsce urodzenia: Kilmore Cove, 18 października 1947 znaki szczególne: wielkie zdolności artystyczne. To on wyrzeźbił figurę rybaczką w Willi Argo. miejsce zamieszkania: długo w Królestwie księdza Jana, teraz znowu w Kilmore Cove.

Rozdział 25

OSTATNI WYJEŹDŻAJĄ

Wyruszyli w środku nocy.

Zaczął się od tego, że obudził ich chłopiec o rudych włosach i zapytał: "Chcecie wrócić do domu?"

Bracia Nożyce pomyśleli, że sobie z nich żarty stroi.

Ale w spojrzeniu tego chłopca nic na to nie wskazywało.

„Muszę was jednak uprzedzić. Może się okazać, że podróż będzie bardzo niebezpieczna”.

Obaj skoczyli na równe nogi, przecierając oczy i masując zeszytywniałe członki.

„A ona?” zapytali, wskazując kobietę.

„Ona zostaje tutaj” odpowiedział rudowłosy chłopiec.

„Dlaczego chcesz nas ze sobą zabrać?” zapytał kędzierzawy brunet.

„My jesteśmy niedobrzy” dorzucił blondyn.

Chłopiec uniósł fuzję z miedzianą lufą naładowaną sztucznymi ogniami i wskazał na parasole - miotacze ognia. „Ponieważ potrzebuję kogoś, kto umie się nimi posługiwać” odpowiedział. Dwaj bracia Nożyce spojrzeli po sobie.

Ciągle padało. Deszcz ulewny, lodowaty. Rwał liście roślin i kładł trawę na łące.

Nie dało się schodzić po skalnej ścianie.

Poszli więc w drugą stronę.

„Dokąd nas prowadzisz?” zapytali dwaj bracia Nożyce, którzy szli, huśtając łańcuchami.

„Do moich przyjaciół” odpowiedział chłopiec o rudych włosach.

I tak, całkiem jak we śnie, weszli do dziwnego okrągłego budynku.

Wejście do niego było pozbawione drzwi.

Wewnątrz jednak drzwi były. Drzwi koloru kości słoniowej.

Ciągle otwarte.

Kobieta i chłopiec o rudych włosach uściskali się.

On powiedział: „Chodź z nami”.

A ona odpowiedziała: „Nie, Rick. Nie mogę zostawić tego wszystkiego, do czego jestem przywiązana”.

Chłopiec nie nalegał. Zgodził się z nią. „Ja też” odpowiedział. „Wróć. Wrócimy wszyscy”.

Kobieta wręczyła mu zeszyt, ale chłopiec o rudych włosach odmówił przyjęcia go. „Nie. On jest twój”.

„Bardziej się przyda tobie niż mnie” nalegała kobieta. „Zaczekam na was. Nie będę się już lękała, że ktoś mógłby tu przyjść. Niczym nie ryzykuję”.

W końcu chłopiec przyjął zeszyt, jak również fuzję. Sprawdził, czy zabrał wszystko: pochodnie, świece, wodę i jedzenie.

Po czym dał znak braciom Nożycom, żeby przekroczyli wrota.

On wszedł na końcu. „Zamknij je” szepnął Ostatniej. I, już w ciemności, ruszyli w drogę.

Zeszli na sam dół. Aż do rzeki.

Łódź powróciła na swoje miejsce. Bracia Nożyce milczeli. Myśleli o Dantem Alighieri.

O jego podróży w zaświaty. Myśleli, że się pomylili.

Że Miejsca z Wyobraźni istnieją naprawdę.

I mogą być straszne. Albo wspaniałe.

Przepłynęli rzekę. Otworzyli środkowe drzwi kluczem z główką w kształcie jeżozwierzka.

Weszli w złocistość. Szli, dopóki nie spotkali innych osób. Zapytali o Jasona, Anitę i Zefira.

Zatrzymali się dłużej przed korytarzem zawałonym gruzem.

A potem weszli. Jak duchy.

Rozdział 26

KLUCZ Z WIELORYBEM

Zaraz za rogiem Tommaso Ranieri Strambi został pchnięty na mur tak mocno, że aż zabrakło mu tchu. Po chwili spadł mu na plecy grad ciosów.

Kiedy podniósł głowę, żeby zrozumieć, co się dzieje, poczuł, jak chwytają go dwie mocne ręce. Pociągnęły go za nogi, wykręciły jedno, a potem drugie ramię i w końcu został związany linką ściskającą mu przeguby dłoni.

Chłopaczysko, które go obezwładniło, przeklęło. - Czy może ktoś podejść i zawiązać węzeł?

Podszedł drugi z napastników. - Coś ty tu wziął zamiast sznurka? Jakieś sznurowadła?

- I co z tego? Moje nigdy się nie rozwiązują.

Wciągnęli Tommasa do czegoś w rodzaju piwnicy i posadzili go na ziemi.

Z nosa leciała mu krew, piekły stłuczone policzki, a koszulę miał zaplamioną czymś ciemnym.

Panował całkowity mrok.

Krzyknął.

Kilka rąk natychmiast zatkało mu usta.

- Siedz cicho!
- Czego się drzesz?
- Mówilem wam, żeby go zakneblować!

Trzy pary nóg otoczyły go, ktoś wcisnęła mu chusteczkę do ust i obwiązała bawełnianą taśmą. Potem w końcu zapalili światło.

- No i jak? - odezwał się zaczepnie mały Flint. - Jak się teraz czujesz, co?
- Zauważ, że nie może ci odpowiedzieć - zauważył wielki Flint. - Dopiero co go zakneblowaliśmy.
- To nie było pytanie do odpowiedzi, kuzynie. To było pytanie czysto retoryczne. Coś jak... „Nie ma co, ładnieś się spisał”.
- Taa... - odezwał się średni Flint i powtórzył: - Ładnieś się spisał.
- Związany i zakneblowany jak salami - dorzucił najmniejszy z Flintów ze złośliwym uśmiechem.
- Już nikogo nie przestraszysz bez tej maski kruka i bez czarnego płaszcza! - wrzasnął ten największy.
- Mgggtt-MMM! - usiłował coś powiedzieć Tommaso.
- Co on powiedział? - spytał średni Flint.
- Mmm-gg-mm... - spróbował powtórzyć wielki Flint.
- Cicho tam, wy dwaj! On nie powinien mówić - stwierdził mały Flint. - On powinien jedynie potakiwać. Potakiwać - schwycił głowę Tommasa i zaczął nią poruszać w górę i w dół - ... albo negować. - Kręcił teraz głową Tommiego w prawo i w lewo.

/

Średni Flint zmarszczył czoło. - Nego... - co?

- Negować - powtórzył mały Flint. - To przeciwieństwo potakiwania.
- Zauważ, że takie słowo nie istnieje! - zaprotestował wielki Flint.
- Jasne, że istnieje! Jeśli istnieje potakiwać, musi też istnieć coś przeciwnego!
- No, to możesz powiedzieć „nie potakiwać”, nie?
- Ale nie mówi się „nie potakiwać”! - wydarł się mały Flint.

Tommaso zaczął popiskiwać i kopać, żeby zwrócić na siebie ich uwagę i dać do zrozumienia, że poza problemem leksykalnym, doskonale wie, o co chodzi.

Mały Flint przełknął jakoś złość i zaczął przesłuchanie.

- Przejdźmy do spraw ważniejszych: wiesz, kim jesteśmy?

Tommaso pokręcił przecząco głową.

Mały Flint ciągnął: - Jesteśmy kuzyni Flintowie. A Kilmore Cove to nasze miasto. Nasze, nie Covenantow

czy ryżego. Albo ich przyjaciół. Ponieważ ty jesteś ich przyjacielem, tak?

Tommaso patrzył na niego bez ruchu.

-TAK? - nalegał mały Flint.

Tym razem Tommaso przytaknął.

- Bardzo dobrze. Ponieważ, widzisz, tym razem mamy zamiar zniszczyć wasz piękny plan. I kiedy my pójdziemy pokazać łódź pod urwiskiem, wiesz dobrze komu, ty tutaj sobie grzecznutko posiedzisz. Zgoda?

Tommaso lekko kiwnął głową.

- Ty oczywiście wiesz, o kim mówię, nie? - spytał go jeszcze mały Flint.

Tommaso chwilę się namyślał, po czym dał znak, że nie wie.

- Wojtek - wtrącił wielki Flint. - Nonnicz. Jakoś tak się nazywa.
- Szef. Ten z czarną limuzyną.

W tym momencie Tommaso dał znak, że wie.

- Jak widzisz, zaczynamy się rozumieć - stwierdził z zadowoloną miną mały Flint. - Wyobrazasz chyba sobie, co zamierzamy zrobić?

I znowu, choć to była nieprawda, Tommaso kiwnął głową.

Po czym dwaj więksi kuzyni wyszli z piwnicy.

Co powiedzieć?

Jak to było możliwe?

Wojnicz nie umiał znaleźć odpowiedzi, ale wiedział, że właściwie dobrze... się bawi.

Przechadzał się po tym położonym nad zatoką miasteczku z kamiennymi domami od ponad trzech godzin i jeszcze go nie opuścił dobry humor, z jakim wstał z łóżka.

I nie tylko. Zdał sobie sprawę, że prawie wszystko, co myślał o Kilmore Cove i o jego mieszkańcach, było błędne.

Większa część jego podejrzeń już się rozwiała.

„Miasteczko z Wyobraźni? Też mi pomysł!”

Miasteczko było tu, dokoła niego, ze swoimi koślawymi domami i balkonami tonącymi w kwiatkach.

Ach, i jeszcze naturalnie ta cukiernia.

- Jak ona się nazywa?
- Chubbera... - odpowiedział mu pan Black spokojnie.

Właśnie, tak, Chubbera!

Była prawdziwym rajem dla smakoszy. Z herbatą z rabarbaru tak wyśmienitą, że Wojnicz odważył się wsypać do niej całą łyżeczkę cukru.

W dodatku to nie był klub. Nie było Piresa, ani jego jędzowatej siostry kontrolującej wszystko. Tu nikt go nie znał!

Czuł się wolny.

Wolny, gdy się przechadzał i rozglądał wokół.

I gdy słodził herbatę z rabarbaru.

Poczuł nagle chęć zaznajomienia się z tutejszymi ludźmi i to do tego stopnia, że zapytał o nazwisko miłej pani, nieco roztargnionej, która szła, -niosąc ogromną torbę pełną zakupów, świeże jarzyny, ryby dopiero co złowione i gorący chleb, a za nią, niczym cień, sunął tłum miauczających kotów.

„To Miss Biggies, panie Wojnicz”.

Wojnicz był o krok od tego, by ofiarować pani pomoc w niesieniu zakupów. Miss Biggies jawiła mu się niczym upragniona góra uczuć i serdecznej troski. Ciekawe, co zamierzała ugotować z tej obfitości darów bożych? Ciekawe, czy potrawa będzie smakować jej mężowi?

I o czym to Wojnicz myślał!

Zakupy? Kuchnia? Żona? Mąż?

I czy jemu się naprawdę podobały te położone nad morzem domki z tynkiem zżartym przez sól morską?

Jasne, że mu się podobały!

A to stare domostwo nad urwiskiem?

Marzenie.

Żadnych w tym tajemnic, rozumie się. Jest tylko pogmatwane wariactwo w etnicznej oprawie, ciut powyżej zwykłej przeciętnej. Jednym słowem dosyć, by wprawić w pewne zakłopotanie kogoś, kto jak to on, zawsze był maniakiem porządku. Wystarczył mu rzut oka na sypialnię Jasona, by zrozumieć, co to musi być za nicpoń.

Wojnicz i ten Jason Covenant dwa razy starli się na kartach gadającej książki, ale to był tylko drobny incydent, nic więcej.

Jak zresztą zapewniał o tym pan White.

Potem poszli do parku.

„My sądzymy, panie Wojnicz” wyjaśnił mu pan Black „że ktoś użył nazwiska biednego Ulyssesa Moore'a po odwiedzeniu naszego miasteczka. Ale to jasne, że wszystko sobie wymyślił, rozumie pan?”

„Och, naturalnie, że rozumiem!” zawołał Wojnicz, niezwykle wyrozumiały. Zresztą jego również podczas pobytu tutaj naszała chęć napisania kilku stron swojej powieści.

Potem zobaczył na własne oczy grobowiec Moore'ów. Ostatnich dwoje z rodu tu pochowano i ktoś nawet przyniósł im świeże kwiaty.

„Widzi pan, jak byli kochani w miasteczku” zwrócono jego uwagę.

„Jasne, jasne” odpowiedział.

A jednak nie żyli.

Rodzina Moore'ów ostatecznie wygasła.

W mauzoleum pozostał pan White. Zatrzymał się tam. Wyznał, że nie czuje się już na siłach, by ponownie zejść do miasteczka.

„Do widzenia zatem, panie White” - pożegnał go sympatycznie Wojnicz.

„Do widzenia, panie-Wojnicz. Do zobaczenia wkrótce, miejmy nadzieję...” wykrztusił pan White, dotykając czoła jak kapitan okrętu.

„Dziwny typ, co?” zauważył potem Wojnicz, zostając z czarnobrodym miliarderem, panem Black.

„Komu pan to mówi, panie Wojnicz. Komu pan to mówi!”

Kiedy Wojnicz i Black podeszli nad samo morze, dostrzegli dwóch kędzierzawych chłopaczków, którzy na wszelkie sposoby starali się zwrócić na siebie ich uwagę.

- Proszę pana! Proszę pana! - nawoływali.

To uderzyło szefa Podpalaczy. Skąd mogli go znać?

Black Wulkan usiłował ich przepędzić, ale bez skutku.

- Plotki szybko się rozchodzą w miasteczku - zauważył pogodnie.

Tymczasem szukał wzrokiem Tommasa, zastanawiając się, gdzie też chłopak przepadł.

- Ach, jacy sympatyczni! - zawołał Wojnicz, kiedy zrozumiał, że dwaj chłopcy chcieli mu za wszelką cenę pokazać swoją łódkę, a może zaproponować przejażdżkę po morzu.

Uśmiechnął się uprzejmie i odrzekł: - Następnym razem, kochani, następnym razem!

I odwracając się, ruszył w stronę drewnianej gospody z jednym stolikiem ustawionym w słońcu.

- No i? - spytał niecierpliwie mały Flint, kiedy kuzyni powrócili do piwnicy. - Jak poszło?

KLUCZ Z WIELORYBEM j

Obaj Flintowie mieli smutne miny i wydawali się niepocieszeni.

- Nie rozumiem, kuzynie... - odezwał się płacząco średni Flint. - Nawet nas nie wysłuchał.

- To nie pokazaliście mu łodzi? - spytał z niedowierzaniem mały Flint.

- Tak, ale... nie okazał najmniejszego zainteresowania.

- Jak to możliwe?

Mały łobuz spojrział speszony na Tommasa. - Wczoraj powiedzieli jasno, że...

- Wiemy o tym, kuzynie!

- My też to słyszeliśmy!

- Dosyć! - wrzasnął rozeźlony mały Flint - teraz spróbujemy wyjaśnić sprawę.

Usadowił się przed Tommasem i rozkazał mu: - Spójrz na niego uważnie i odpowiedz nam.

Czy wiesz, co to jest?

Ku wielkiemu zdumieniu chłopca z Wenecji mały Flint wyciągnął z kieszeni klucz z główką w kształcie wieloryba.

Z wyrazu twarzy Tommasa, mały Flint zorientował się natychmiast, że chłopiec dobrze wie, o co chodzi.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze... - ciągnął mały Flint. - Ponieważ teraz nie możemy już sobie pozwolić na pomyłkę. Więc mów! Co to jest?'

Tommaso zabełkotał.

- Wyjmij mu knebel.

Uwolniony od chustki, chłopiec nabrał głęboko powietrza i usadowił się wygodniej pod ścianą. Bolały go usta.

- Do licha - jęknął. Zaczynało go złościć to przedłużające się porwanie.

- Więc? - ponaglił go mały Flint.

- Ten klucz nie jest wasz - przygadał im Tommaso. -Powinniście go natychmiast zwrócić!

- Wiemy doskonale, czyj jest! - odparował mu średni Flint. - Wykradłem go wczoraj wieczorem z pudełka!

„I nikt się nie zorientował?" pomyślał wstrząśnięty Tommaso.

- Co powie nasz szef, kiedy mu go pokażemy? - pastwił się nad chłopcem mały Flint.

- Myślę, że nic - odparł Tommaso.

- Nic?

- To zwykły klucz.

- To dlaczego jest taki ważny? - nalegał mały Flint. -Wiemy, że chcecie go ukryć.

Dlaczego?

- Klucz z wielorybem nic nie oznacza! - odpowiedział Tommaso.

- Widzisz? - pożałował średni Flint. - Wiedziałem, że powinienem zabrać ten ze smokiem!

- To wszystko jedno! - krzyknął wściekły Tommaso. -To są tylko klucze!

Ale mały Flint nie dawał się tak łatwo wyprowadzić w pole. - Ach, doprawdy?

Poszukał kratki ściekowej w piwnicy, a gdy tylko ją znalazł, przybliżył do niej klucz. - Ta dziura prowadzi do kanału. A kanał do morza. Mówisz mi, że mogę wrzucić tu klucz, a ty... że cię to nic nie obchodzi?

Tommaso zaczął się pocić.

Mały Flint mógł to naprawdę zrobić. Mógł wyrzucić klucz z wielorybem.

- Nnie... rób... tego - wyjąkał Tommaso.

- A zatem jest coś wart, jednakże...

- Ma przede wszystkim wartość sentymentalną. Nic ponadto.

Mały Flint udał, że wrzuca go do ścieku.

- NIE! - krzyknął Tommaso. - Powiem ci! Powiem ci, ale mi obiecaj, że go nie wyrzucisz!

Łobuz uśmiechnął się złośliwie. - Teraz zaczynamy dochodzić do porozumienia.

- Teraz zaczynamy - powtórzył jak echo średni Flint.

Tommaso spuścił smutno głowę i po większej dawce gróźb i szturchańców, dał się nakłonić do mówienia.

- Otwiera drzwi w księgarni Kalipso? - spytał zdumiony mały Flint. - No i? Co w tym takiego nadzwyczajnego?

- Kłamiesz! - zarzucił Tommiemu średni Flint.

- Nie, przysięgam wam! - krzyknął chłopiec. - To prawda.

- Jak wolisz - zdecydował na koniec mały Flint.

- To jasne, że nie chcesz nam pomóc. Jak tak, to wiesz, co zrobimy?

- Wiesz, co zrobimy? - wtórował mu Flint średni.

- Pójdziemy zapytać o to samą Kalipso - uciął krótko najmniejszy. Potem wskazał kuzynom Tommasa i rozkazał:
- Zakneblujcie go z powrotem i zostawcie tutaj. I uwińcie się, bo czekam na was na górze.
- Ja nie pójdę do Kalipso! - zaprotestował wielki Flint. - Zawsze mnie zmusza do przeczytania jakiejś lektury!

Rozdział 27 POWRÓT NA POWIERZCHNIĘ

Kiedy Anita otworzyła oczy, dotarło do niej, że balon się zatrzymał. Zamrugała raz i drugi, ponieważ dokoła niej panowała niemal całkowita ciemność. Potem poczuła, że ma obolałe ramię.

Ile to czasu minęło?

Gdzie była?

Otrząsnęła się.

Jej pierwszą myślą był Jason, Zefir i to, co wydarzyło się w Salach Strachu. Pomyślała znowu, z dreszczem przerażenia, o bezkształtnym cieniu, który wychynął znikąd, o tej bestii, która ich pochłonęła, jak tylko mogła się zbliżyć.

Zaledwie ich usłyszała.

Pomyślała o chwili, w której Jason upadł.

Rozejrzała się dokoła po koszu balonu i dostrzegła dwa kamienie, talizmany Jasona, i dziwny przedmiot w kształcie sześcianu, o który uderzyła głową.

Dopomagając sobie stopą, przyciągnęła go do siebie. Był to blok metalu wielkości pudełka na buty, z dziwnym otworem dokładnie w środku i mocnym zamknięciem z boku. Składał się z dwóch połówek ściśle ze sobą zespolonych.

Potem poczuła szarpnięcie balonu.

I krzyknęła.

- Anita? - zawołał ją znajomy głos. - Anita, słyszysz nas?

Dziewczynka kiwnęła głową, otepliała.

Znowu ktoś czy coś szarpnęło balonem.

Czy to była jej wyobraźnia, czy naprawdę... opadała?

- Anita, dobrze się czujesz?

„Śnię” pomyślała. „Śni mi się głos Jasona”.

Jason zniknął w ciemności. W kurzu. W pazurach tej kreatury z cienia.

- Może zemdlą - odezwał się drugi głos.

Anita powoli wracała do świadomości.

Ten głos...

Czy to możliwe, żeby to był...

Rick?

Przekręciła się na bok, głowa jej mało co nie pękła. Dotknęła dwóch talizmanów. Balon jeszcze trochę opadł.

- Jest dosyć mały... - zauważył trzeci głos. - Nie zmieścimy się w nim wszyscy, mowy nie ma.

- Jest nas pięcioro, bracie. Nie dwiecie - odezwał się drugi głos. - Złocisty jest ranny. I nie ruszy się stąd.

Balon ciągle opadał. I opadał.

Potem na krawędzi kosza pojawiły się dwie ręce. I twarz Jasona.

- Anita? Dobrze się czujesz?

Ujrzała go spowitego w mrok i blade rozproszone światło. Chyba się do niego uśmiechnęła.

- Ty przecież nie żyjesz - odpowiedziała miękko. - Widziałam.

Jason powiedział coś jeszcze, ale Anita już tego nie usłyszała.

- Gdzie jesteśmy? - pytała speszona dużo później.

- Budzi się! - zawołał Jason, przyklękając obok niej. Anita otworzyła oczy, jeszcze zamroczona. Wszędzie było ciemno.

Było tyle ludzi. I Jason.

Z ręką na temblaku.

- Hej! - odezwał się do Anity.

- To ty...

- Ciii... Uderzyłaś się w głowę.

- Ale... twoje ramię?

- To tylko stłuczenie - odpowiedział Jason.

Potem również Rick przy niej przyklękął. - Cześć, Anita. Miło cię widzieć.

Anita nic z tego nie rozumiała. Jakim cudem znalazł się tu Rick?

A tamci dwaj? Kim byli?

- Rick i bracia Nożyce ledwo tu zdążyli - wyjaśnił jej Jason, widząc jej pytający wzrok.

- I przepędzili to... coś. Kiedy zobaczyło płomienie i sztuczne ognie, rozpląnęło się w ciemności.

- Ale...

- Na szczęście balon utknął w stropie i zdołaliśmy go ściągnąć znowu na dół - dokończył chłopiec.

- A Zefir? - szepnęła Anita z przejęciem.

- Z nim gorzej - przyznał Jason. - Zanieśliśmy go do mieszkańców Labiryntu. Został z nimi.

Anita spróbowała rozejrzeć się dokoła. Widziała teraz twarze Jasona i Ricka i tych dwóch mężczyzn, którzy ich śledzili.

- Przykro mi, panno Anito - odezwał się pierwszy, brunet, raczej zmieszany.

- Przykro? Z powodu? - spytała.

Pozwoliła sobie pomóc i usiadła oparta plecami o wiklinowy kosz.

- Że nie uwierzyliśmy panience wcześniej - wtrącił się blondyn.

- Nie mogliśmy sobie wyobrazić... tego wszystkiego.

- Nie mogliśmy sobie wyobrazić... i koniec. Podtrzymała przez Jasona i Ricka, Anita dźwignęła się

na nogi.

Wyjrzała na zewnątrz.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

Jej głos odbił się echem w nicości, która ich otaczała. Strumień światła z elektrycznej latarki Ricka oświetlił dalekie ściany skalne.

- Nie wiemy - odpowiedział Jason. - Ale wznosimy się.

Wszyscy byli wykończeni.

Ustalili dyżury, gdy tymczasem balon unosił się w górę. I zapadli w sen.

Zbudził ich kędzierzawy brunet, nie wiadomo, ile godzin później.

- Zatrzymaliśmy się - wyjaśnił. Podnieśli się wszyscy, aż kosz się rozkołysał.

Kędzierzawy miał rację: balon się zatrzymał.

- Która to może być godzina? - spytał Rick, ciągle jeszcze trochę zamroczonej.

- Jest pierwsza - odpowiedziała Anita, sprawdzając wskazówki na chronografie Petera Dedalusa. Był to jedyny zegar, który nigdy nie stawał.

Jason się wychylił, by spojrzeć na balon nad ich głowami. Nie udało mu się właściwie nic zobaczyć z wyjątkiem lin, które łączyły balon z koszem.

Rick wychylił się po drugiej stronie, przebijając mrok światłem latarki. Oświetlił balon, a zaraz potem kilka skalnych ścian.

Dwaj bracia Podpalacze próbowali rozkołysać delikatnie balon, ale zauważyli, że ani drgnął.

- Nie rozumiem... - Jason pokręcił głową. - Nie wygląda mi na to, żebyśmy wpadli na skały.

- Znam to miejsce... - szepnął Rick.

I mówiąc to, oświetlił latarką przesło mostu nad nimi, który łączył ze sobą dwa krańce szczeliny skalnej. Balon zatrzymał się dokładnie pod mostem.

- Musimy go przesunąć! - zawołał.

Po czym włożył sobie latarkę między zęby i złapał za dwie najgrubsze liny przytrzymujące balon, potrząsając nimi gwałtownie. Dwaj Podpalacze mu pomagali, a podskok balonu przesunął go o kilka centymetrów.

- Wszyscy razem, śmiało! - zachęcał ich Rick.

- Złap tę linę!

- Na moje trzy, ciągnijcie! Raz, dwa... trzy!

Tym razem balon prześlizgnął się obok krawędzi łukowatego garbu mostu.

- Jeszcze raz! - rozkazał Rick. - Raz, dwa... trzy!

W końcu balon uwolnił się całkiem i znowu zaczął się wznosić.

- Szybko! - zawołał Rick, chwytając za linę zakotwiczoną, a balon płynął wzdłuż zewnętrznej ściany mostu.

- Wiedziałem! - zawołał po chwili.

Światło latarki tylko częściowo oświetliło zarys skały w kształcie wielkiej małpy zawieszanej na splecionych lianach.

- Co wiedziałeś? - spytała go Anita.

- Że jesteśmy pod Willą Argo! - wykrzyknął chłopiec o rudych włosach.

Most był teraz w pełni widoczny: długi i wąski, łukowato wygięty pośrodku. Wyglądał widmowo. Niektóre z wygaszonych latarni zamieniły się w figury zwierząt: małpy, dziecko, wielkiego smoka i wieloryba z podniesioną płetwą ogonową. Żaby, kota z wyciągniętym pyszczkiem, groźnego aligatora, konia. Kulę najeżoną szpilkami - jeżozwierza. Lwa przycupniętego jak sfinks i mamuta z zakrzywionymi kłami.

Kosz się przechylił do przodu.

- Rick?

Ale rudowłosy chłopiec już wyskoczył. Przywiązał szybko cumę do podstawy pomnika i uszczęśliwiony wznosił ramiona ku niebu. - Jesteśmy w domu!

Rozdział 28

GOSPODA NA PLAŻY

Gospoda nazywała się Windy Inn.

Przy stoliku siedział tylko jeden klient sączący spokojnie jakiś napój. O kilka kroków stąd była plaża i lśniące morze.

Black Wulkan, Wojnicz i pan Bolton alias Bloom, stali na skrzypiącej podłodze za progiem gospody.

- Co pan na to, żeby tak zakończyć wizytę dobrym obiadem? - zapytał pan Bloom. - I przy okazji pogadać trochę na temat muzeum?

„A właśnie, projekt muzeum” przypomniał sobie Wojnicz.

I zaczął sobie wyobrażać gablotkę z czterema zeszytami i białą tabliczką:

DAR ' MARIUSZA WOJNICZA

Dar. Słowo zupełnie niezwykle w codziennym słownictwie doktora Wojnicza, ale tego dnia już po raz drugi ten człowiek zdobywał się na wolność. Pierwszy dzień bez Viviany. Pierwszy triumfalny dzień jego nowego życia.

- Och! - wykrzyknął w duchu. - Gdybym tylko wcześniej wiedział, że to takie proste! - szepnął.

- Słucham?

Usiedli przy stoliku. Wojnicz, Black i Bolton.

- Nic, nic, tak tylko głośno myślałem - odpowiedział Wojnicz. - Sprawy osobiste. Zrzuciłem z siebie wielki ciężar.

Zamówili rybę z rusztu dla dwóch i herbatę z rabarbaru.

- Albo nie! - zmienił zamówienie Wojnicz. - Dla mnie też ryba! Z ziemniakami!

I kiedy czekali na posiłek, pomyślał o minionych dniach, o telefonach od Eca i braci Nożyców, o wszystkich podejrzeniach, jakie wzbudziły w nim ich sprawozdania, o tysiącu powiązań między Domem Bazgrołów, Morice'em Moreau i Moore'em a tym nieszkodliwym miasteczkiem.

- Mówimy o książce, panie Wojnicz... - pan Bolton odchrząknął - którą dla ścisłości powinniśmy nazywać „zeszyt podróżny”.

Wojnicz przytaknął. Ale czy ten pogodny pan Bolton wiedział, przez ile lat ta książka go prześladowała? Ile bezsennych nocy spędził, próbując rozpaczliwie wyjaśnić jej istnienie? I jak tymczasem łatwo, dzięki małemu buntowi, zdołał przywrócić sprawom właściwe wymiary. Czy ta książka była naprawdę tak szczególnym przedmiotem, że zasługiwała na przechowywanie w muzeum? Postanowił się odważyć i uczynił poufne wyznanie.

- Ten „zeszyt podróżny” przyprowadził mnie o szaleństwo. I żeby coś z tego zrozumieć, posunąłem się aż do nabycia Domu Bazgrołów z funduszu nieruchomości... i zorganizowałem prace przy renowacji.

- Doprawdy? - spytał pan Bolton, lekko podskoczywszy z wrażenia.

- Jedynym pewnikiem w odniesieniu do tego Morice'a Moreau był jego zrujnowany dom w Wenecji. Przeklęte miejsce, jak mówią: wydaje się, że ktoś go podpalił w połowie ubiegłego wieku...

- Spodziewam się, że to nie pański klub... - zażartował pan Black, ale w połowie zdania ugryzł się w język.

- Och, nas jeszcze wtedy nie było, przynajmniej oficjalnie

- odpowiedział Wojnicz, również żartując, ale i on na tym poprzestał. Jakiś malutki alarm zadzwęczał mu w głowie.

- W rzeczywistości mieliśmy szczęście, bo konserwatorka przedstawiła nam kosztorys doprawdy minimalny. Połowa tego, co spodziewaliśmy się wydać!

- Prawdziwy dar losu... - wyrwało się panu Boltonowi, który zanotował sobie w myśli, żeby o tej sprawie koniecznie powiedzieć żonie.

- Sądziłem, że w tym domu znajdę rozwiązanie. Rozpaczliwy wysiłek pochwylenia czegoś, co jest nieuchwytnie. I co, o ironio losu, jeszcze tylko bardziej pokomplikowało całą historię...

- Ponieważ właśnie podczas renowacji pojawił się drugi egzemplarz - zakończył za niego pan Bolton. - A znalazła go moja cór... znaczy... pewna dziewczynka.

- Mała Anita Bloom. Właśnie.

- Ale wróćmy do książki i projektu naszego muzeum - wtrącił pan Black w obawie, że za moment grunt może stać się zbyt śliski. - Powiedział nam pan, że docenia ten pomysł. I wydaje się, że byłoby dobrze, gdyby pan umożliwił nam wejście w posiadanie swojego egzemplarza.

Wojnicz wyobraził sobie nowiutką tabliczkę:

DAR Z UPRZEJMOŚCI MARIUSZA WOJNICZA Z LONDYNU

I wyobraził sobie zwiedzających, którzy czytali jego nazwisko. Wydawało mu się, że prawie ich słyszy, jak się dopytują: „Kim jest Mariusz Wojnicz? Kim jest ta ważna osobistość?”

Mariusz Wojnicz. Nie Viviana. Uśmiechnął się.

Ryba była wyborna.

I ziemniaki świetnie ugotowane.

- No więc... - wykrztusił z siebie pan Black. - Wiem, że to mało elegancko rozmawiać o tym przy tak wyśmienitym obiadku jak ten, ale gdybyśmy mogli uzgodnić cenę...

- Cenę? - podskoczył Wojnicz.

- Tak... cenę kupna pańskiego zeszytu.

W umyśle Wojnicza tabliczka DAR Z UPRZEJMOŚCI zamieniła się nagle w nieco mniej budującą Z TRUDEM ZDOBYTA OD i cały obraz mentalny tej historii z muzeum uległ zmianie. - Och, nie! - zawołał, potrząsając energicznie głową. - Nie ma o czym mówić.

- Proszę zważyć, że jesteśmy gotowi zainwestować sporą kwotę, żeby... - „tylko uwolnić się od ciebie” chciałby zakończyć zdanie Black Wulkan.

- To nie jest kwestia ceny - odpowiedział Wojnicz. - Zeszytu nie sprzedam, koniec kropka.

Dwaj mężczyźni wymienili między sobą zatroskane spojrzenie.

- Myślałem, żeby go wam podarować - dorzucił z uśmiechem.

Pan Black i pan Bolton odetchnęli z ulgą.

- Och, ależ... ależ... to doprawdy wspaniałomyślne z pana strony, panie Wojnicz! - odpowiedzieli prawie jednogłośnie.

- Jak tylko muzeum będzie gotowe, naturalnie! - zakończył Wojnicz, gasząc ponownie ich uśmiechy.

Nastąpiły kłopotliwe minuty, podczas których pan Bolton i pan Black kolejno usiłowali przekonać Wojnicza, by zostawił zeszyt w miasteczku zanim zostanie urządzone muzeum, podczas gdy on utrzymywał, że to będzie dobra okazja, by znowu się spotkać.

Nagle, w kulminacyjnym punkcie rozmowy...

- Panowie pozwolą? - zapytał mężczyzna, który dotąd popijał coś przy stoliku z boku w zupełnej samotności. - Witam wszystkich. Cześć, Black. Panowie wybaczą, że się wtrącam, ale... nazywam się Bowen, doktor Bowen.

Black Wulkan pozdrowił go szybko, po czym poszukał wzrokiem Tommasa. Gdzie też on się podział? Dlaczego go tutaj nie było? Miał od nich odciągnąć doktora Bowena.

- Posłyszałem niechcący kilka słów z waszej rozmowy... - ciągnął doktor Bowen. - I kiedy usłyszałem pańskie nazwisko, pomyślałem sobie: "Wojnicz! Kto to taki? Z takim nazwiskiem to może być tylko on!"

Mariusz Wojnicz natychmiast poderwał się z krzesła. Ten mężczyzna go znał? Zapamiętał jego nazwisko i chciał się z nim przywitać jak z kimś sławnym?

O, jakże uwielbiał to czarujące miasteczko nadmorskie!

- Dlatego ośmieliłem się wtrącić - ciągnął serdecznie doktor Bowen. - Jestem bliskim przyjacielem Viviany Wojnicz. Pani doktor. I pomyślałem sobie: „Czy to przypadkiem nie jest jakiś jej krewny?”

Rozdział 29

DOBRE KSIAŻKI OCALONE Z MORZA

Kiedy Tommaso został sam, zaczął wiercić się jak szalony, usiłując się uwolnić. W jakiś sposób udało mu się stanąć na nogi, a ponieważ spryciarze Flintowie nie pomyśleli, żeby mu je związać, ruszył biegiem przed siebie.

Otworzył drzwi kilkoma kopniakami, wspinał się po schodach i znalazł się na ulicy. Ciągle biegł, próbując ustalić, gdzie jest. W pewnej chwili wydało mu się, że ulica, którą dopiero co minął, to Humming Bird Lane. A jeśli to, co widział po drugiej stronie, to była dzwonnica kościelna ojca Feniksa... No, to księgarnia Kalipso znajdowała się po przeciwnej stronie miasteczka.

Nadal biegł i o niczym nie myślał. Znalazł się nad morzem, skręcił gwałtownie i wpadł w uliczkę prowadzącą do kamiennych domów.

Oddychanie z kneblem w ustach bardzo go męczyło, ale musiał wytrzymać.

Nie troszcząc się o spojrzenia przechodniów, dobiegł do placzku z fontanną, do którego przylegały z jednej strony urząd pocztowy, a z drugiej - mała księgarnia w Kilmore Cove. Szyld na niej głosił:

KALIPSO DOBRE KSIĄŻKI OCALONE Z MORZA

Wpadł jak strzała. Dzwonek nad drzwiami rozkołysał się gwałtownie i rozpaczliwie zadzwieczał.

Tommi rozejrzał się dokoła: w rogu leżały stosy dopiero co otrzymanych książek. Z jakiegoś dziwnego powodu uderzyła go biało-złota okładka książki zatytułowanej Lud Tarkaanu. Ale przecież nie po książkę tu przybiegł.

Jakieś dziewczątka wychyliło głowę zza wielkiego stosu książek. Spojrzała na niego, zauważyła knebel i zakrwawioną koszulę i krzyknęła. Wstała, ciągle krzycząc.

Chłopiec chciał wyciągnąć ręce przed siebie i dać jej znak, żeby nie krzyczała, ale były one związane na plecach.

- MMMMGHGGHG! - wycharczał, licząc na zrozumienie. Przez chwilę, bardzo długą chwilę, miał nadzieję, że zdążył na czas. Pomyślał bowiem, że Flintowie nie będą mieli odwagi, by wejść do księgarni, albo że gdzieś na ulicy obmyślają jakąś nową strategię kryminalną.

Dziewczyna zastępująca Kalipso nie przestawała krzyczeć. Cofnęła się, jakby w poszukiwaniu telefonu.

Tommaso zrobił krok do przodu, a potem zobaczył, jak zasłona za kasą się wydeła, a na koniec uniosła.

Wyszedł zza niej mały Flint rozpromieniony jak chłopczyk, który dopiero co się dowiedział, że przeszedł do następnej klasy. - Co za wspaniała niespodzianka! - zawołał. Tommaso bez namysłu natarł na niego z pochyloną głową.

Zderzyli się, rozwalając na oczach przerażonej Cin-dy kilka stosów książek. - Chłopaki przestańcie! Przestańcie!

Mały Flint błyskawicznie się podniósł i odskoczył na bezpieczną odległość. Tommasowi podczas bójki wypadł z ust knebel.

- Nie-używaj tego klucza! - krzyknął.

- Bo co?

- Ale ten klucz nie pasuje! - poskarżył się wielki Flint swoim zwykłym głupawym tonem.

- W drugą stronę, kuzynie! - doradził mu Flint średni.

Zza zasłony dał się słyszeć podejrzany dźwięk.

, DOBRE KSIĄŻKI OCALONE Z MORZA .

że zdążył na czas. Pomyślał bowiem, że Flintowie nie będą mieli odwagi, by wejść do księgarni, albo że gdzieś na ulicy obmyślają jakąś nową strategię kryminalną.

Dziewczyna zastępująca Kalipso nie przestawała krzyczeć. Cofnęła się, jakby w poszukiwaniu telefonu.

Tommaso zrobił krok do przodu, a potem zobaczył, jak zasłona za kasą się wydeła, a na koniec uniosła.

Wyszedł zza niej mały Flint rozpromieniony jak chłopczyk, który dopiero co się dowiedział, że przeszedł do następnej klasy. - Co za wspaniała niespodzianka! - zawołał. Tommaso bez namysłu natarł na niego z pochyloną głową.

Zderzyli się, rozwalając na oczach przerażonej Cin-dy kilka stosów książek. - Chłopaki przestańcie! Przestańcie!

Mały Flint błyskawicznie się podniósł i odskoczył na bezpieczną odległość. Tommasowi podczas bójki wypadł z ust knebel.

- Nie-używaj tego klucza! - krzyknął.

- Bo co?

- Ale ten klucz nie pasuje! - poskarżył się wielki Flint swoim zwykłym głupawym tonem.

- W drugą stronę, kuzynie! - doradził mu Flint średni.

Zza zasłony dał się słyszeć podejrzany dźwięk.

Jakieś klik, które wywołało gęsią skórę u Tommasa.

Chłopiec dostrzegł nagle nożyce na ladzie. Odwrócił się plecami, pochwycił nożyce w dłonie i jakimś cudem przeciął linkę krepującą mu przeguby.

- Przestańcie natychmiast! - krzyczał jednocześnie. -To może być niebezpieczne!

- Może dla ciebie! - zadrwił mały Flint, cofając się.

- Dosyć tego! Przestańcie obaj, bo inaczej...

Cindy wysunęła się z groźną miną, trzymając ciężką książkę nad głową.

Klucz w drzwiach za zasłoną obrócił się z kolejnym kliknięciem.

- Za późno, ślicznotko - wyszczał mały Flint.

Odezwał się jęk.

Przeciągły jęk.

Potem skrzyknięcie.

Potem wielki Flint zawiedziony zawołał: - Ale tu w środku nic nie ma!

A drugi krzyknął: - O, kurczę! A co to takiego? -I w następnym momencie wszystkich ich zmiotła potężna fala.

W nadmorskiej gospodzie Mariusz Wojnicz ciągle trwał w szoku.

Zauważył w roztargnieniu jakiegoś chłopca związanego i zakneblowanego, jak wbiegał w zaułek wychodzący na promenadę nadmorską. Ale nie to spowodowało jego milczenie.

To pucołowaty doktor, który stojąc przy ich stoliku, nadal się uśmiechał.

Najdroższy przyjaciel Viviany Wojnicz.

Jego przeklętej siostry.

Siedząc na skraju krzesła, zdrętwiały po słowach doktora Bowena, szef Podpalaczy oniemiał i znieruchomiał niczym słup soli.

- Czy powiedziałem coś niewłaściwego? - spytał speszony doktor Bowen, kiedy spostrzegł, że niezręczna sytuacja trwa zbyt długo.

- Hmm... Bowen - wtrącił się Black Wulkan, wstając od stolika, by odprowadzić doktora na jego miejsce. - Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale... sądzę, że tak. Pozwolisz?...

- Spytałem go tylko, czy zna Vivianę Wojnicz! - zaprotestował doktor Bowen.

- A, jak się zdaje, on nie chce słyszeć o żadnej Vivia-nie Wojnicz. Może to jest jego była żona, która mu siedzi na karku z armią adwokatów, kto może wiedzieć?

Doktor Bowen się odwrócił. - Rozumiem, ale to jeszcze nie powód, żebyś mnie tak popychał!

- Wybacz, nie chciałem - powiedział Black Wulkan, który chyba okazał się trochę bardziej bezpośredni, niż to było konieczne.

- A właśnie, że tak, że chciałeś. Chciałeś mnie ośmieszyć w oczach swego przyjaciela.

^ejgr SIS

Black Wulkan spojrzał na niego zdumiony. - Co ty mówisz?

- Kiedy przestaniesz mnie prześladować?

W słowach doktora kryła się zadawniona niechęć, uraza niemająca nic wspólnego z obecną sytuacją. Bowen zachichotał nerwowo. - W każdym razie, idę sobie. Pozbawiam was kłopotu. Wsunął drżącą rękę do kieszeni i wyciągnął z niej pognieciony bilet na samolot i monetę, którą rzucił na stolik jako zapłatę za napój.

- Zostaw, ja ureguluję... - próbował go ułagodzić Black.

- Też coś! - zachnął się doktor. - Wiesz, co ci powiem, Black? Mogłeś sobie darować powrót do Kilmore Cove. Wcale nam tu ciebie nie brakowało!

Po czym skinął głową na pożegnanie panu Bloomowi i panu Wojniczowi i odszedł.

Black patrzył, jak się oddala i pokręcił głową poirytowany tą idiotyczną rozmową.

To nie była niczyja wina, ale pewne sprawy z biegiem lat ulegają pogorszeniu. I jego stosunki z doktorem Bowenem należały właśnie do takich spraw.

Zgarnął odruchowo papierki i monetę pozostawioną przez doktora na stoliku i odwrócił się. Ptaki ucichły.

Wszystkie naraz.

Wszystkie w jednej chwili.

Black Wulkan spojrzał najpierw na morze.

Potem na domy.

Panowała niesamowita cisza.

- Przykro mi z powodu tego, co zaszło, panie Wojnicz - odezwał się pan Bloom.

- Nie musi pan przeproszać. To nie panów wina. Ale... to dziwne...

- Co?

- Jeszcze kilka minut temu byłem przekonany, że seria zbiegów okoliczności mniej czy bardziej szczęśliwych przywiodła mnie tutaj z ważnego powodu...

Pan Bloom uznał, że najlepsze, co może zrobić, to milczeć.

- Wyobraźnia jest najbardziej zdradzieczą zdolnością ze wszystkich, panie Bolton - ciągnął Wojnicz. W jego głosie wyczuwało się głębokie rozczarowanie. Gorycz porażki.

Zagryzł usta w pewnej chwili, ale potem podjął swój wywód. - Dziś wyobraziłem sobie, że to będzie inny dzień. Wyobraziłem to sobie ze wszystkich sił. Chciałem pisać, czułem się dobrze. To dobre powietrze morskie nadęło mnie jak indyka. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Dzień się jeszcze nie skończył, panie Wojnicz...

- Ale skończyła się moja wyobraźnia. Najpierw wasz znajomy ściągnął mnie nieoczekiwanie z powrotem na ziemię.

Przypomniał mi dokładnie, kim jestem i będę, skazany na wieki. Jestem bratem swojej siostry. I jasne, że on nie ponosi tu żadnej winy, ale...

Pośpieszne kroki Blacka Wulkana przerwały w połowie wyznania Wojnicza.

- Słyszeliście? - zapytał podniecony eks-kolejarz. - Czy wy także słyszycie tę nienaturalną ciszę?

Uwagę dwóch mężczyzn przyciągnęła najpierw dojmująca cisza, o której mówił Black, a potem jakby huk nadlatującego helikoptera.

- Ja, bardziej od... - odezwał się Wojnicz.

Chwilę potem zerwali się wszyscy trzej na równe nogi.

Bo oto nagle główną ulicę miasteczka zalał potężny wał pędzącej wody, który włókł ze sobą donice, ławki, samochody, przechodniów. W ciągu kilku sekund również czarny Bentley został wessany w morze. Potem, potężna fala wtargnęła na chodnik i skierowała się w stronę portu.

- Uciekajmy! - krzyknął Wojnicz na widok zbliżającej się góry wody. - Szybciej! Szybciej! Uciekajmy!

Ani pan Bloom, ani Black Wulkan nie dali sobie tego dwa razy powtarzać.

Rozdział 30

SŁOWA Z PRZESZŁOŚCI

Punktualnie o pierwszej Nestor usłyszał pierwsze krzyki.

Dobiegały z daleka, były regularne. Wydawało się, że ktoś wzywa pomocy.

Przystanął w połowie ścieżki. Trawy kołysały się łagodnie, a chmary owadów brzęczały wśród kwiatów. Chmury na niebie miały złociste otoczki i szybko przemieszczały się od morza ku lądowi. Na rozległej płaszczyźnie oceanu nie było żadnej łodzi.

Krzyki raptownie ustały i znowu się rozległy, jakby osoba czy osoby wzywające pomocy zatrzymały się dla nabrania tchu.

Dobiegały z rodzinnego mauzoleum.

Nestor zawrócił po własnych śladach, nachmurzony. Wyciągnął z kieszeni sztruksowych spodni pęk kluczy i otworzył bramkę prowadzącą do grobowca jego rodziny.

Krzyki stały się wyraźniejsze.

- Hej! Czy ktoś nas słyszy? Pomocy!

- Wypuście nas!

Ależ to były głosy...

Ricka!

Jasona!

Nie odpowiedział, ponieważ uznał, że najpierw musi do nich dojść. Pokuśtykał szybko w dół po schodach i wszedł w korytarz między grobami. Minał pusty grób swojej żony, zasłany kwiatami, jakie codziennie tu przynosił.

Jak się już zorientował, wołania dzieci dobiegały z głębi korytarza łączącego mauzoleum Moore'ów z podziemiami Willi Argo.

Pełen niepokoju, Nestor doszedł do furtki. Zapalił światło i ciemność ustąpiła słabemu blaskowi wśród grobów.

I potem ich zobaczył.

Byli w piątkę, uczepli kraty w furtce oddzielającej groby od mostu zwierząt.

Jason, Rick, Anita. I...

- NESTOR! - zawołał Jason, jak tylko go dostrzegł kuśtykającego w mroku. - NESTOR, CAŁE SZCZĘŚCIE! Byłem pewien, że nas usłyszysz! Nestorowi nie przyszło do głowy na razie żadne sensowne pytanie. Z kluczami w ręku doszedł do furtki, zanim się zdecydował na wątpy uśmiech. - A można wiedzieć, co wy tu robicie? - burknął, szorstki jak zwykle.

- Proszę cię! Otwórz nam! - wołały dzieci.

- Chwileczkę, chwileczkę... A... ci panowie? Za dużo pytań.

Poczuł jak poprzez kratę furtki ręce Jasona i Anity dotykają jego głowy i ramion, próbując go uściskać. Cofnął się odruchowo, po czym zaczął majstrować przy zamku. -Otworzę, otworzę. Tylko musicie mi natychmiast wszystko wytłumaczyć.

Szczęśliwym trafem nie natknęli się na Malariusza Wojnicza podczas jego niedawnej wizyty w mauzoleum. Byłoby nad wyraz trudno znaleźć wytłumaczenie dla takiego spotkania...

Wzrok ogrodnika padł na podarte ubrania dwóch mężczyzn.

- To są bracia Nożyce, Nestorze - wyjaśnił Jason.

- Podpalacze - uściślił Rick.

- Tak, ale jesteśmy pełni skruchy... - dodał pokornie kędzierzawy.

- Jeszcze jak! - potwierdził pospiesznie blondyn. Nestor się zawahał.

- Wpuść ich - poprosił Jason. - Ocalili mi życie.

Furtka jęknęła w zawiasach, a zaledwie się otworzyła na tyle, żeby dało się precyzyjnie, dzieci rzuciły się Nestorowi na szyję i uściskały go.

- Gdybyś wiedział, Nestorze, jak bardzo jesteśmy szczęśliwi, że cię widzimy!

- Jesteśmy w domu! Jesteśmy w domu!

Dla niego jednak, zawsze takiego powściągliwego i niechętnie okazującego uczucia, te uściski to był istny szok. Od dawna nikt go już nie uściskał. Przynajmniej od upadku Penelopy z urwiska. Czuł się jak dziadek z wnukami. I wcale mu się to nie spodobało, ani trochę, bo mu uświadomiło, jaki jest stary. Stary zmęczony zrzęda.

Doznał wcześniej tego samego uczucia tylko raz w życiu.

Kiedy postanowił sprzedać Willę Argo.

Wyszli na zewnątrz.

- No, więc może zdecydujecie się opowiedzieć mi, jak to się stało, że tu jesteście?

Popatrzyli po sobie szczęśliwi, nie wiedząc od czego zacząć.

- To zasługa Julii - zaczął Rick. - To ona zdołała mnie przekonać, że Jason był w niebezpieczeństwie.

- I tak, w końcu, udało się nam przejść przez drzwi

- Życie?

koloru kości słoniowej, a potem wejść do Labiryntu... -dodał Jason, puszcżając oko do przyjaciela.

- Dokąd Rick ledwo zdążył na czas - dodała Anita.

- To była batalia naprawdę scenograficzna - wtrącił kędzierzawy.

- Nawet, jeśli monstrum dało nogę przy pierwszym ogniu... - dokończył blondyn, kręcąc parasolem.

- Ale potem? Jak udało się wam tu trafić? - spytał Nestor tuż przedtem, zanim dostrzegł balon w wątlým świetle okrągłych latarni.

Podskoczył.

- Pamiętam go, ten balon...

- To Petera - wyjaśnił Jason. - Znaleźliśmy go tam, w podziemiach.

- W podziemiach?

- Na dnie rozpadliny.

Nestor pokręcił głową. - Ta przepaść nie ma dna.

- Właśnie, że ma: to jest Labirynt - odpowiedziała Anita. -.Labirynt znajduje się pod wszystkimi Miejskami z Wyobraźni i łączy je ze sobą. Wrota...

Ale mężczyzna nawet jej nie słuchał.

- A jednak... my schodziliśmy w dół stąd... Ale nie było dna. Nie było żadnego dna...

Dzieci spojrzęły po sobie.

- Muszę zaczerpnąć powietrza - odezwał się Jason.

Na powierzchni padli na trawę.

Cała piątka była utyłana w błocie, wymizerowana i z podkrężonymi oczami. A w ich spojrzeniach pojawiło się coś bardzo dorosłego.

Coś czego nie było, gdy wyjeżdżały.

Nestor przyględał się w zamyśleniu tej dziwnej gromadce i zamierzał zadać im pytanie, co mają zamiar zrobić, ale Jason nie dał mu na to czasu. Odprowadził go na bok, gdzie dwaj Podpalacze nie mogli ich widzieć i pokazał mu metalowe pudełko, o które Anita uderzyła głową, tracąc przytomność.

Składało się z dwóch żelaznych części szczelnie do siebie przylegających. Kiedy Jason je otworzył, zobaczyli, że wewnątrz znajdowały się misterne wyłobienia oraz specjalny kanalik wlewny zapewniający dostęp z zewnątrz do środka formy.

Była to forma odlewnicza do metali.

- Gdzieście to znaleźli? - wykrztusił Nestor.

Miał jednak wrażenie, że zna odpowiedź.

- Należał do budowniczych wrót - odpowiedział Jason. - Poznajesz główkę tego klucza?

- Trzy żółwie - szepnął stary ogrodnik.

- Właśnie. A to jest forma odlewnicza, z której zrobiono pierwszy klucz. I odpowiedni zamek.

- A jak to znaleźliście?

- To nie my znaleźliśmy - odparł Jason. - My znaleźliśmy tylko to, co pozostało z ich laboratorium. Ale wszystko zostało zniszczone...

- A przez kogo?

- Przez tych, którzy uważali, że Wrota Czasu skazałyby Miejsca z Wyobraźni na zagładę. Mogli to być na przykład mieszkańcy Atlantydy.

Nestor się smętnie uśmiechnął. Pomyślał o tym, jak Leonard został ranny i szepnął:

- W końcu im też nie poszło lepiej... - Ale ta forma odlewnicza... jeśli to nie wy ją znaleźliście, to kto?

- Penelopa - odpowiedział cicho Jason.

Nestora jakby prąd poraził. Spojrzał pytająco na młodego Covenanta.

- Ona pierwsza zeszła do Labiryntu... - ciągnął Jason. - Ale kiedy my tam dotarliśmy, jej już nie było, poszła sobie. Przynajmniej tak myślę.

Przeszukał swój plecak i wyciągnął z niego kopertę.

- Zostawiła list do ciebie - szepnął, wręczając kopertę Ulyssesowi.

Nagle umilkły wszystkie zwierzęta w parku.

Ptaki-przestały śpiewać.

Zwierzęta w krzakach zamarły.

Zapadła grobowa cisza.

Cisza absolutna.

Która skierowała ich uwagę na zatokę Kilmore Cove.

Cisza trwała jeszcze kilka sekund, po czym wypełnił ją przerażający huk.

A potem krzyki, klaksony samochodów, alarmy.

Dwaj Podpalacze skoczyli na równe nogi. - To nie my! - krzyknęli, podnosząc w górę ręce, jakby się poddawali.

Rick zatkał uszy rękami i skulił się.

Chwilę potem wszyscy puścili się biegiem.

Wszyscy z wyjątkiem Nestora, który - przeciwnie - zastygł z kopertą w ręku wręczoną mu przez Jasona. Jakby nic z tego, co działo się dokoła, jego nie dotyczyło.

Trzymał w rękach list od swojej żony.

Wziął głęboki oddech i zaczął czytać.

Drogi Ulyssesie,

Jeśli czytasz te kartki, znaczy to, że sprawy potoczyły się inaczej, niż przypuszczałam. A zatem uważam, że jestem Ci winna kilka słów wyjaśnienia. Mam nadzieję, że potrafisz mi wybaczyć, jeżeli nie będą całkiem zrozumiałe, jak to lubisz. I jeżeli moje podejrzenia okażą się całkowicie bezpodstawne.

Zacznę od nich, dla większej jasności.

Zawsze czułam, że w grupie Wielkich Wakacji była jakaś nuta fałszywa. Błąd, którego mimo wszelkich wysiłków, nie potrafiłam wychwycić. To było tak, jak gdyby ktoś z nas, ktoś bardzo bliski, postępował inaczej niż chciał być przez nas postrzegany. I od razu zaznaczam, że nie mam tu na myśli Petera ani jego niezręcznej próby ukrycia przed nami swej miłości do niewłaściwej osoby i najbardziej banalnych błędów, jakie przez tę miłość popełnił.

Nie mówię też o „zdrajcy”; takie określenie byłoby przesadą i sugerowałoby scenariusz niezgodny z moimi intencjami.

Mówię o kimś, kto z pewnością nie pasował idealnie do twojego projektu. O kimś, kto wiosłował pod prąd, kto nie chciał tak naprawdę odkryć tajemnicy Wrót Czasu. O, to może najlepsze określenie.

A ponieważ moje podejrzenie mogło wynikać jedynie z jakiejś absurdalnej obsesji żony, która się przesadnie zadrecza, wołałam je zachować dla siebie, zamiast się nim z tobą podzielić. Dlaczego zaczęłam podejrzewać kogoś z grupy? Bo widzisz, nikt nigdy nie wybije mi z głowy przekonania, że wypadek Leonarda to była w rzeczywistości pułapka.

Pułapka na nas wszystkich.

Miała nas podzielić.

Tak więc podjęłam poszukiwania na własną rękę. Powiedziałam Peterowi, że przydałby mi się ten balon, wymyślony do grot. A przed wyjazdem odbyłam spowiedź u ojca Feniksa. Zważ, że żaden z nich nie znał moich planów. I jeśli nic ci nie powiedzieli, to tylko dlatego, że ukryłam

prawdę tak starannie, żeby przypadkiem nie przyszło ci do głowy wyruszyć za mną.

Wołałam, żebyś miał mnie za zmarłą wskutek wypadku, niż z powodu jakiejś mojej szalonej decyzji.

Wołałam spaść do urwiska. Nie z urwisk, skarbie, lecz w głąb naszego urwiska.

No, więc tak. Oboje wiedzieliśmy, że tajemnica Wrót Czasu była głęboko ukryta pod miasteczkiem, które wybraliśmy na spędzenie w nim życia.

I pożerała mnie ciekawość, Ulyssesie. Co kryło się w... głębinie? Jeszcze głębiej niż kiedykolwiek odważyliśmy się zanurzyć?

I tak postanowiłam spróbować zejść w głąb.

Spędziłam kilka strasznych godzin w ciemności. Sądzę, że usnęłam, schodząc ciągle coraz niżej. Obawiałam się, że zabraknie mi powietrza, że upał albo zimno staną się nie do zniesienia, tymczasem nic takiego się nie stało. W końcu gdzieś dotarłam. Nie wiedząc jeszcze dokładnie gdzie, ponieważ w miejscu lądowania i dokoła mnie były tylko ruiny i opuszczone komnaty.

Potem spotkałam kilka osób i poznałam nazwę tego miejsca: Labirynt.

Sądzę, że jest to najstarszy labirynt, jaki kiedykolwiek zbudowano.

Wszyscy są tu bardzo uprzejmi. I podobnie jak mieszkańcy Kilmore Cove i innych miejsc, do których podróżowaliśmy,

są dziwnie nieświadomi, że mieszkają w miejscu bardzo zamkniętym i ograniczonym, którego granice stanowi z jednej strony świat realny, a z drugiej, mrok światów zapomnianych. Wiem, że te słowa wydadzą ci się od rzeczy, ale myślę, że sednem losu ludzkich istot jest ograniczenie się do spędzenia życia w tej małej części świata, gdzie się urodziły. Bo więcej nie byłyby zdolne znieść.

Każdy z nas, jak sądzą, wcześniej czy później pogodzi się z myślą, że liczba spraw, które zdolny jest pojąć, jest ograniczona. I wyobraża sobie, że ta porcja to już wszystko, ponieważ to jedyny sposób, by móc żyć spokojnie bez większych wątpliwości.

Jestem zatem tu.

Piszę do ciebie z samego serca Labiryntu, w sali, w której -jak odkryłam- zbierają się okresowo przedstawiciele różnych Miejsz z Wyobraźni, żeby decydować o własnej egzystencji. Dowiedziałam się o pradawnych bitwach i zemstach tych, którzy właśnie tutaj, w tych salach, konstruowali Wrota Czasu, ria tych, którzy sprzeciwiali się temu i próbowali im przeszkodzić.

Zostawiam Ci ten list przede wszystkim dlatego, że nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła powrócić do Willi Argo i osobiście opowiedzieć Ci o tym, co odkryłam. Nawet jeśli, mój kochany - uwierz mi - tak bardzo bym tego chciała!

A po wtóre dlatego, że kiedy pewnego dnia także Ty zejdiesz tu, do podziemi, ze mną czy beze mnie, to żeby istniał namacalny dowód, że raz jeden dotarłam gdzieś przed Tobą.

Kocham Cię, stary zrzędo.

W tej chwili niczego bardziej nie pragnę, jak uścisnąć cię raz jeszcze

Twoja na wieki Penelopa Moore

W parku Willi Argo pani Covenant stała na skraju urwiska z salaterką w ręku. Początkowo pomyślała, że to nastąpiła eksplozja przewodów gazowych. Ale to było coś o wiele gorszego. Z góry widać było w całej rozciągłości ogrom strat: rozszalałe wody nadal cofały się z centrum Kilmore Cove w morze, porywając ze sobą wszystko, co napotykały po drodze. Woda zalała już całkowicie plac koło cukierni Chubbera, porwała większość łodzi z portu, a po gospodzie Windy Inn pozostawiła tylko stos desek.

Pani Covenant była bezpośrednim świadkiem strasznego widowiska: gospoda pomału wygięła się i połamała, aż w końcu została zmyta i wywleczona w morze.

Na pełnym morzu, w oddali pływały samochody.

Donice z kwiatami - kilkaset metrów od wybrzeża.

Ludzie w wodzie wymachujący rękami, uczepieni kawałków połamanych ławek.

Pani Covenant pomyślała o swoim mężu w sklepie, ale zabrakło jej sił, by krzyknąć.

I wróciła biegiem do domu, żeby zatelefonować.

- Julia! - zawołał Jason, kiedy doszedł do ulicy.

- Jason! Rick!

Julia, kiedy tylko posłyszała huk, wybiegła za furtkę, żeby zobaczyć, co się dzieje. I ku swemu największemu zdumieniu natknęła się na Jasona, Ricka, Anitę i jeszcze jakichś dwóch obszarpańców, których nigdy wcześniej nie widziała.

- Czy dobrze się czujecie? - spytała zziębnięta, czując obejmujące ją ramiona Jasona.

- My tak - odpowiedział ponuro brat i obrócił się w stronę miasteczka w dole.

Julia zrobiła kilka kroków do przodu i stanęła jak wryta na widok apokaliptycznego spektaklu w Kilmore Cove, które zostało zalane masą wody. - Tato... - szepnęła.

- Można wiedzieć, co wyście tam w dole wykombinowali? - spytał ją Rick z przejęciem.

Julia złapała się rękami za głowę. - Nie wiem! - jęknęła. - Wiem tylko, że... Wojnicz jest w miasteczku!

- Wojnicz? Co on tu u licha robi?

- To może się pomyliłem... - odezwał się kędzierzawy.

- Może to jednak my\ - dokończył za brata blondyn.

- Nie widzieliście przypadkiem Nestora i innych? - spytała Julia zdenerwowana..

- Nestor jest w parku - odpowiedział Rick. - A ci inni, to kto?

- Black, twój ojciec... - powiedziała Julia cichutko, zwracając się w stronę Anity.

- Mój... ojciec? - podskoczyła dziewczynka, spoglądając trwożnie na ciemną masę wody, która teraz przelewała się z powrotem do morza.

- ...iTommaso.

Rozdział 31

MEŻCZYŻNA W OKNIE

Pani Bloom zjadła obfite śniadanie.

Po czym, z mapą w ręku, odczekała aż w centrum otworzą księgarnie i zaczęła je kolejno odwiedzać. Nie było ich znowu tak dużo; Weronę nie wyglądała na miasto licznych czytelników. W pierwszych dwóch nic nie wskórała. Leniwi sprzedawcy spoglądali na nazwisko tłumacza wypisane na karteczce podsuwanej im przez panią Bloom, jakby wymagała od nich rozszyfrowania jakiegoś zapisku po arabsku. Kiedy i w trzeciej księgarni nic z poszukiwań nie wynikło, postanowiła zmienić metodę. Zasiadła w dosyć spokojnym barze, poprosiła o książkę telefoniczną i zaczęła wydzwaniać.

Nic z tego. Tłumacz książek Ulyssesa Moore'a był najwyraźniej panem nikim.

Już chciała zrezygnować ze swego planu, kiedy nieoczekiwanie rybka chwyciła przynętę. Udało się jej porozmawiać z jakimś Klaudiuszem, który organizował różne imprezy kulturalne w szkołach i po wymianie kilku stosownych grzeczności, uzyskała ostatecznie adres tłumacza.

Poszła tam z duszą na ramieniu i z nadzieją, że zastanie go w domu.

Nazwisko było na domofonie.

Chociaż tyle: istniał.

Pani Bloom wpatrywała się w to nazwisko przynajmniej z kwadrans.

Co miała mu powiedzieć? „Dzień dobry, panie..., jestem mamą Anity. Widzi pan, parę dni temu moja córka zniknęła z domu, a ponieważ nie wiem, gdzie powinnam jej szukać, pomyślałam o panu”.

Obgryzała sobie paznokcie.

Nie. To nie miało sensu.

- Czy pani kogoś szuka? - usłyszała za plecami czyjś głos.

Zaledwie się obejrzała, już obskoczyły ją dwa maleńkie pieski. Jeden był biały, a drugi czarny. Dokazywały, ile wlezie.

- Pani wybaczy. Leżeć! - rozkazał pieskom właściciel.

Mama Anity pogłaskała je i powiedziała z uśmiechem:

- Proszę się nie przejmować, uwielbiam psy. Nawet jeśli

^ _mężczyzna w oknie_ j

w Wenecji nie możemy ich trzymać, bo moja córka, Anita, woli koty.

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Pani jest... mamą Anity? - spytał z niedowierzaniem mężczyzna.

Pani Bloom otrząpywała machinalnie ubranie, zaskoczona. - Czemu pan pyta? Zna ją pan?

- Parę dni temu, w Wenecji, poznałem pewną Anitę. I jej przyjaciela Tommasa.

Pani Bloom nie mogła się już powstrzymać. - Więc proszę mi powiedzieć, co się z nią stało! - Jej głos był pełen niepokoju.

Mężczyzna skinął głową z poważną miną. - Jasne. Oczywiście. Ale... nie tutaj. Zapraszam panią do siebie.

Weszli na drugie piętro. Otworzył przed nią drzwi i zaprosił do środka. - Pani wybaczy bałagan... - tłumaczył się nieporadnie, uwalniając psy, które zaczęły biegać po domu w poszukiwaniu piłeczki.

Długi korytarz. Wielka biblioteka.

- Właściwie dlaczego pani do mnie przyjechała? - spytał ją tłumacz.

- Ponieważ moja córka zniknęła. I... jej przyjaciel też. I jacyś mężczyźni śledzą mój dom! - wyrzuciła z siebie jednym tchem pani Bloom.

Mężczyzna podrapał się po brodzie, po włosach i westchnął. - No cóż, sądzę, że winieniem pani wyjaśnienie...

- To właśnie spodziewałam się od pana usłyszeć...

- Muszę panią jednak uprzedzić, że to trochę... skomplikowane.

- Cokolwiek by to było, muszę wiedzieć, co się przydarzyło mojej córce.

- Dla mnie... - zaczął swą opowieść tłumacz -... wszystko zaczęło się kilka lat temu, kiedy pani Kalipso przysłała mi kufer pełen dzienników. I wraz z nimi historię raczej niezwykłą. Z zakończeniem nie do przewidzenia. Ale proszę dalej, siądziemy sobie wygodnie.

Zaprowadził ją do zacisznego salonu. Dwie błękitne kanapy, fortepian pod ścianą, wiolonczeła. I jakiś mężczyzna przy oknie, tyłem. Biały piesek dreptał mu między nogami i podgryzał piętę.

Gdy usłyszał, że weszli, odwrócił się i pozdrowił ich gestem ręki.

Był wysoki i przygarbiony jak bocian, a wyraz twarzy miał raczej senny.

- Cześć Fred - pozdrowił go tłumacz. - Pani Bloom, przedstawiam pani Freda Spiczuwę z Kilmore Cove. Fred, to jest pani Bloom.

CDN.

nazwisko-. Fred Drumond, zwany Spiczuwa

miejsce urodzenia: Kilmore Cove znaki szczególne: zniknął z miasteczka dwa lata temu.

Pracował w miejskim archiwum. Jest jedynym człowiekiem potrafiącym obsługiwać maszynę wystawiającą certyfikaty pobytu.

SPIS TREŚCI

1.	Trzej szpiedzy.....	5
2.	Złocisty olbrzym.....	13
3.	Drożdżówki z wanilią	23
4.	Za progiem.....	37
5.	Zaginiona dziewczynka	45
6.	Sztuczna pułapka.....	55
7.	Korzenie tajemnicy.....	69
8.	Czarna dolina.....	79
9.	Telefon donikąd.....	93
10.	Drzewa wiatru.....	107
11.	Dwadzieścia reguł	117
12.	Cienie między krzakami.....	125
13.	W ulewnym deszczu.....	
14.	Dziewczynka od kruków	
15.	Zapiski w dzienniku.....	
16.	W Labiryncie.....	
17.	Papiery, papierzyska i niespodziewany list----	
18.	Konspiratorzy z wyobraźni.....	
19.	Sale Strachu.....	
20.	Nad urwiskiem.....	
21.	Kapłanka z Kilmore Cove	
22.	Wśród ruin.....	
23.	Przebudzenia	
24.	Komitet powitalny	
25.	Ostatni wyjeżdżają.....	
26.	Klucz z wielorybem.....	
27.	Powrót na powierzchnię.....	
28.	Gospoda na plaży.....	
29.	Dobre książki ocalone z morza.....	
30.	Słowa z przeszłości.....	